B. H. Stowe.
II. 567. 279

BIALI I CZARNI.

Obrazy z życia

POŁNOCNÉJ AMERYKI.

(Z Angielskiego.)

TOM II.

KRAKÓW
NAKŁADEM JULIUSZA WILDTA.

CZCIONKAMI CZASU.

1858.

NAPOLEON
№ 137
WYRZYKOWSKI

BIBLIOTEKA NARODOWA BN
T1.567.279

NAPOLEON
1987 k 746/986

Rozdział I.

STRYJ JOHN.

Blisko o cztery mile na wschód od Kanemy, leżała plantacya stryja Niny, do którego, jakeśmy to widzieli, wysłany przez swoję panią Harry, pojechał w nieszczególném usposobieniu umysłu. Stryj John, jak go zwykle nazywała Nina, z imienia, był opiekunem mającym czuwać nad jéj majątkiem, —i trzeba przyznać, że Harry niemógł sobie życzyć lepszego i wyrozumialszego zwierzchnika. Był to jeden z tych poczciwych, łagodnie usposobionych ludzi, którzy każdemu na świecie najlepszego szczęścia życzą, pod warunkiem, żeby tylko oni, o środki ku temu kłopotać się nie potrzebowali. Zaufanie jego w Harrym było nieograniczone, i sam nieraz śmiejąc się serdecznie wyznawał, że to było wielkie dla niego szczęście, bo on sam ze swoją plantacyą, ledwie sobie mógł dać radę. Podobnie jak wszyscy ludzie, którzy *dolce far niente* za główne swego życia zadanie uważają, stryj John był najmocniéj przekonany, że cały

świat był spiknięty przeciw jego spokojności; — co zresztą było rzeczą bardzo naturalną, jeżeli zważymy, iż cały świat rzeczywiście tak jest urządzony, że każdy na nim pracować i zajmować się czemś musi. Łatwo sobie zatem wystawić, co to trudów i kłopotów ponosić musi en, kto się uweźmie, żeby o wszelkiéj pracy i zatrudnieniu nic a nic niewiedzieć.

Stryj John był nadzwyczaj konsekwentnym w swoim systemacie, i dla tego tak dozorcy, jak Murzyni i biali, oszukiwali i okradali go bez litości; — ze wszystkiego jednak najgorsze było to, że go żona wiecznie o to łajała i prawiła mu reprymendy. Natura, czy przeznaczenie, czy jak się tam nazywa ta jéjmość, która losy małżeńskiéj loteryi rozdziela, w przezorności swojéj zestawiając ze sobą najwyższe przeciwieństwa, zrządziła, że ten poczciwy, jowialny, nienawidzący wszelkiéj troski człowiek, połączył się nierozerwanym węzłem z niezmordowanym, energicznym duchem przedsiębiorczym, który nikomu obok siebie niepozwalał ani na chwilę pozostać w bezczynnym spokoju. Żona jego była tą istotą, która mu każdą spokojną chwilę zatruwała, wykrywając coraz to nowe intrygi, oszustwa i sprzysiężenia, w które tak bogate bywa życie na plantacyi, i oddając je pod sąd małżonka Z tego naturalnie wynikała potrzeba wydawania wyroków, zarządzania śledztw i poszukiwań, co wszystko nieznośném było dla człowieka, niczem niezamącony spokój nadewszystko miłującego. Szczerze mówiąc, godna połowica, przy pomocy odpowiedzialności, jaką lenistwo męża na jéj barki włożyło, stała się prawdziwym domowym smokiem hesperyjskim; a małżonek jéj na seryo utrzymywał, że ona nigdy nie

sypia, i dla tego uważa i dla innych sen za rzecz zbyteczną. —

Wszystko by to było dobrze, zwykł on był mawiać; niechby sobie latała po całych nocach, albo spała z głową wytkniętą za okno, żeby lepiéj dopilnować wędzarni; niechby sobie wstawała o pierwszéj, żeby złapać Pompeja, albo wyszpiegować Kuffa, — byleby tylko jemu nazajutrz nic o tém niegadała. Bo dajmy nawet na to, żeby połowa wędzących się szynek między drugą a trzecią godziną została skradziona, i Abijahowi Stinkflint na rum sprzedana, — to i cóż z tego? — On chciał mieć sen spokojny, i gdyby go nawet szynkami opłacać przyszło, to by go chętnie opłacił, bo on spać potrzebował! — A przypuściwszy nawet, żeby najmocniéj wewnętrznie był przekonany, że naprzykład Kuffy jest ostatnim złoczyńcą; to i cóż daléj? — Dowieść mu tego niepotrafił. Kuffy wprzód umiał kłamać niż mówić, na cóż więc mogło się przydać, żeby on się tak okropnie trudził i męczył nad wybadaniem prawdy z Kuffa? Nie, nie! Mistris Gordon, jak zwykł był nazywać swoję połowicę, mogłaby sobie robić coby chciała, byleby jemu dała święty pokój. Nietrzeba jednak mniemać, żeby humór stryja Johna miał być zawsze niezmienny; — natura ludzka ma pewne granice.

Stryj John chociaż najlepszy człowiek w świecie, cierpiał czasami do huraganów podobne napady namiętności. Wtedy z niesłychaną energią tupał nogami, targał wszystko co mu wpadło w ręce, a nawet klął. Cały zasób palnéj materyi, nagromadzony w jego umyśle troską i kłopotami, wybuchał z niego w takich razach, w kształcie rakiet i szmermeli. Wtedy przeklinał Murzy-

nów, dozorców, całą plantacyą, Kuffa, Pompeja, Dinaha, przeklinał nawet wszystkich białych osiadłych w okolicy, klął Abijaha Stinkflint, i wszystkich do stu djabłów wysełał. Potem zionął okropne groźby, w których była mowa o wieszaniu, ćwiertowaniu żywcem, i wysprzedaniu wszystkich do Georgii. Ale wybuchy takiéj wściekłości sprawiały tylko uciechę Murzynom, którzy słuchając ich przewracali oczy białkami do góry, i przygryzali sobie języki, żeby nie parsknąć śmiechem, bo wiedzieli z doświadczenia, że w skutek tak gwałtownego gniewu, ani jeden z nich: ani powieszony, ani poćwiertowany, ani sprzedany do Georgii niebędzie. Gdy więc na stryja Johna przyszedł jeden z takich napadów, robili tak jak kury przed nawałnicą: kryli się po kątach, czekając dopóki burza nieprzeminie. Ale inaczéj miała się rzecz z gniewem pani Gordon, przekonali się bowiem, że pogróżki jéj niebyły próżne; chociaż trafiało się często, że właśnie w chwili kiedy który z nich miał odnieść zasłużoną karę za swoje przestępstwo, stryj John, zwłaszcza kiedy był w dobrym humorze, wpadał między przestępcę i panią, i uwalniał go w tryumfie, częstokroć z narażeniem własnéj osoby na niebezpieczeństwo wytrzymania skutków pierwszego jéj gniewu impetu.

Niech jednak czytelnicy niemyślą sobie, żeby pani Gordon miała być złą kobietą; — była to tylko jedna z tych kobiet, które na całym świecie znane są pod nazwiskiem dobrych gospodyń, i których udziałem jest samotna a ciągła walka z całym światem, o zasady porządku i sprawiedliwości. Gdyby była miała to szczęście urodzić się w Vermont albo w Massahusetts, byłaby była znana w całéj wsi, jako kobieta, któréj ani na

ćwierć łuta na funcie mięsa oszukać niepodobna, i która instynktem odgadnąć potrafi, że ten lub ów siąg drzewa jest mniejszy, albo funt masła odrobinkę lżejszy. Ale wystawiwszy sobie taką gospodynią u steru plantacyi, otoczoną oszustami dozorcami, i białemi złodziejami, którym towarzyskie stosunki niezostawiły innego pola do zarabiania na życie, oprócz złodziejstwa; postawiwszy obok niéj męża, który się o nic nie troszczył, a oprócz tego grunt, którego najpiękniejsze czasy już przeszły, i który niezadługo stanie się całkiem bezpłodnym, — musimy, przyznać iż niepodobna jéj zbyt surowo sądzić za to, że umysł jéj nie zawsze w łagodném był usposobieniu. — Jakoż włosy jéj ciągle były najeżone od zgrozy, i rzadko można ją było ujrzeć siedzącą. Siadała ona wprawdzie czasem na stołku, ale za chwilkę wstawała zaraz, i biegła do jakiego zatrudnienia, albo szła łajać do kuchni, z niebezpieczeństwem płuc swoich.

Gdy Harry zatrzymał konia przed plantacyą, otworzył mu bramę stary Pomp, podżyły Murzyn, który swój obowiązek odźwiernego z wielkiém pełnił zamiłowaniem.

— Bóg z wami, Harry, — to wy być? Mój Boże, gdyby wy zobaczyć teraz naszego Pana! Wielka burza być u nas!

— Cóż to takiego, Pomp?

— No, pan mieć zwyczajnie swój napad. On biegać wszędzie, tupać nogami i kląć jak waryat. Mój Boże, żeby on tylko nie zwaryować. On kazać Jakóba przywiązać! Przysięgać się, że on go kazać w sztuki porąbać! Hehehe! Ładna rzecz! Jakóba kazać przywiązać.

Hohoho! Doprawdy, głupstwo! I on się tak okropnie mordować, ja wam powiadać! Jeżeli wy chcieć mu co powiedzieć, to wy musieć zaczekać aż się to skończyć.

I stary kiwał szpakowatą głową i ledwie się nie zanosił od śmiechu.

Gdy Harry jadąc daléj zwolna przybliżył się do domu, ujrzał zaraz okazałą postać pana, który biegając po werandzie tam i nazad, klął straszliwie i okropnie wymachiwał rękami. Był to człowiek dobréj tuszy, średniego wieku i okrągłego, wysokiego czoła, ocienionego siwiejącym już włosem. Niebieskie oczy, różowa, pełna twarz, usta pełne prześlicznych zębów, nadawały mu, zwłaszcza gdy był w dobrym humorze, powierzchowność przystojnego i miłego człowieka. Ale w téj chwili twarz jego była prawie purpurowa, a grzmiące słowa padały z ust jego na jakiegoś niegodziwie obszarpanego Murzyna, który przywiązany do kobylicy, słuchał ich z największą obojętnością, podczas gdy mnóstwo Murzynów, Murzynek i ich dzieci, gapiło się do koła téj sceny.

— Ja ciebie nauczę! krzyczał pan, ściskając pięści.— Już tego dłużéj ścierpieć nie mogę! Ty psie jeden jakiś! ty! Cóż to, ty niebędziesz słuchał moich rozkazów, co? Ja cię zabiję! tak jest! zabiję! Na drobne kawałeczki każę cię posiekać!

— Ho, ho! niezrobisz ty tego, nie! Ty sam wiesz o tém najlepiéj, że niezrobisz! — zawoła Mrs. Gordon, która oknem wyjrzała w téj chwili. — Oni także wiedzą doskonale że tego niezrobisz! Wyburzysz się, wykrzyczysz, i na tém koniec. Wolałabym, żebyś już nic nie gadał i niegroził daremnie, bo się tylko na śmiech wystawiasz!

— Czy ty będziesz cicho? Ja chcę być panem w moim domu, rozumiesz? Przeklęty pies! Poćwiertuj go Kuff! słyszysz! No, czemu go nierąbiesz? — Tnij! — Czego czekasz?!...

— Jeżeli Massa rozkazać! — rzekł Kuff zawracając oczyma i kłaniając się pokornie.

— Czy ją ci rozkażę? Do stu piorunów, rozkazuję ci! Ruszaj! Posiekaj mi go na miazgę! Poczekaj, ja tam sam zejdę! — I pochwyciwszy długi bicz, który przy nim leżał, zakasał rękawy, i począł biedz po schodach; — ale w zapale swoim, minął jeden stopień, i padając, uderzył głową o to samo drewno, do którego biedny przestępca był przywiązany.

— Ha! kontent teraz jesteś łajdaku! Zamordowałeś mię! Roztrzaskałeś mi głowę! — Teraz mogę z miesiąc odleżeć z twojéj łaski, ty psie niewdzięczny!

Kuffy i Sambo przybiegli mu na pomoc, podnieśli go i poczęli mu czyścić suknie, z trudnością tłumiąc w sobie śmiech, który o mało ich niepodusił. Przestępca zaś uważał tę chwilę za stósowną, do uczynienia pewnych kroków do swego ułaskawienia.

— Ja prosić Massa, mnie przebaczyć! Ja wam powiadać, że oni wyjść do mnie, i powiedzieć, że niechcieć pójść precz. Ja nic złego niemieć na myśli, kiedy ja powiedzieć, żeby być lepiéj, gdyby Massa sam pojechać; ja sobie i teraz tak myśleć, że lepiejby być gdyby Massa sam pojechać. Ci ludzie tacy dziwni, — żadnego z nas niechcieć słuchać. Ja jeszcze raz powiadać, Massa wziąść konia i tam pojechać i tych ludzi wypędzić! — inaczéj nikt ich niepotrafić wypędzić! Z nas żaden niepotrafić, oni się tylko śmiać z nas. Jak Bóg na niebie, tak to

prawda co ja mówić. Bog to widzieć! A jak Massa konia wziąść i pojechać, to sam zobaczyć, że tak być, jak ja powiadać. Ja nic złego niemieć na myśli, — doprawdy, nic!

Przyczyną całéj téj awantury była jakaś biedna rodzina białych, która samowolnie usadowiła się przed kilku dniami, w opuszczonéj chacie, na samym końcu gordonowskiéj plantacyi. Niezmordowana w swojéj czynności Mrs. Gordon, odkrywszy to zdarzenie, póty niedała pokoju swemu mężowi, dopóki nieprzedsięwziął stósownych kroków do wypędzenia tych ludzi. Rozkazał on więc Jakowi, Murzynowi czystéj krwi, żeby nazajutrz rano poszedł i owych nieproszonych gości wyrzucił. Jak, który jak wszyscy Murzyni z plantacyj, przejęty był wielką wzgardą dla takich białych biedaków, niedał sobie dwa razy powtarzać tego rozkazu i w towarzystwie dwóch wielkich psów udał się na tę wyprawę. Ale kiedy zobaczył biedną, nędzną, chorą kobietę, otoczoną czterema zgłodniałemi dziećmi, zamiast ich wyrzucać, przyniósł z sąsiedniéj chaty miskę zimnych ziemniaków i dał im ją z wyrazem téj pogardliwéj litości, z jaką się rzuca kość psu zgłodniałemu. Potem wrócił do domu i powiedział swemu panu, iż niemógł tych ludzi wypędzić, — i że, jeżeli on, to jest pan, chce tego koniecznie, to niech sam do nich jedzie.

Stara to historya, że wybuch gniewu, częstokroć niema żadnego związku z tém, co pozornie zdaje się być jego przyczyną. Kiedy chmura przepełniona jest elektrycznością, to mniejsza o to, z czém się zetknie: zawsze następują błyskawice i grzmoty.—P. Gordon tego dnia odebrał był kilka listów, z których niemiłe powziął wiadomości;

żona wycięła mu była niezmiernie długi *pater noster;* placuszki kukurudzane które mu tego dnia podano, nie były wyrośnięte jak należy, a kawa była przepalona; prócz tego czuł jakieś zimno w członkach, a wreszcie między nim a jego dozorcą zanosiło się na gorącą rozprawę. Skutek tego wszystkiego był taki, że nad głową Jaka, chociaż jego postępek dzisiejszy niebył gorszy od tysiąca innych, zahuczała burza i srożyła się w sposób jakeśmy to widzieli. Gdy jednak najcięższe chmury przeszły, p. Gordon poczuł się do obowiązku przebaczenia winowajcy, pod warunkiem jednak, aby mu natychmiast przyprowadził konia, bo on chciał pojechać i przekonać się, czy to rzeczywiście tych ludzi wypędzić niepodobna. Zawezwał także i Harrego który był wielkim jego ulubieńcem, do téj wyprawy, i w kwadrans potem wyruszyli w kierunku owéj nieszczęsnéj chaty.

— Doprawdy, to okropna rzecz, co my posiadacze ziemscy mamy kłopotów, z tą klasą ludzi, — mówił przez drogę pan Gordon. — Należałoby zrobić na nich obławę, i wystrzelać ich i wytępić jak szczury. To byłoby jedyne dla nich dobrodziejstwo; więcéj dla nich zrobić niemożna, tylko wybić ich do nogi; — bo co się tyczy jakiejś litości, i tym podobnie, to wszystko na nic się niezda; chcieć ich wyżywić, to na to samo wyjdzie, jak żebyś jadło do bagna wrzucał. Rząd powinienby jakieś prawa w téj mierze postanowić, — i bądź jak bądź, musi przecież wyjść prawo nakazujące wypędzenie ich z całego państwa.

W czasie téj rozprawy, stanęli nasi jeźdzcy u drzwi nędznéj, zapadłéj chaty, z któréj potłuczonych okien wyglądała pustka i zniszczenie, niby z trupiéj głowy

otworów. Na ich widok dwoje zdziczałych, obtarganych dzieci, umknęło za węgieł. Gordon pchnął drzwi i wszedł. Na wiązce nawpół przegniłéj słomy siedziała w kuczki wynędzniała, chuda kobieta, z wielkiemi wytrzeszczonemi oczyma, z zapadłemi policzkami, z kołtunowatym, rozpuszczonym włosem, z długiemi, wychudłemi rękoma, podobnemi do szponów ptasich. U piersi trzymała równie wynędzniałe dziecko, które wyciągało ku niéj wyschnięte rączęta, jakby żądało pokarmu, którego mu już odmawiała natura; dwoje dziko wyglądających dzieci, z zapadłemi od głodu, sinemi twarzami, wisiało u jéj sukien. Na widok przybyłych, cała ta grupa poderwała się z miejsca, i uciekła w najdalszy kąt chaty, spoglądając na nich przerażonym wzrokiem, podobnym do wzroku stropionych dzikich zwierząt.

— Co wy tu robicie? — zapytał p. Gordon, głosem niezbyt groźnym, bo zły humór znacznie go był już opuścił.

Kobieta nic nieodpowiedziała; tylko po chwili, jedno z dzieci zaskrzeczało ochrypłym głosem:

— My niemamy się gdzie podzieć!

— Tak jest, — potwierdziła matka, — siedzieliśmy przedtem na plantacyi p. Duranta, ale Botfield jego dozorca, wyrzucił nas z chaty. Zdaje się, że dla nas nigdzie już niema miejsca.

— A gdzie jest twój mąż?

— Poszedł za robotą. Ale zdaje się że jéj nigdzie niemógł dostać; widać nas nikt nie potrzebuje. A przecież my musimy gdzieś się schronić, — mówiła daléj smutnym, proszącym głosem. — Nam trudno nawet umrzeć, a dałby Bóg, żebyśmy pomarli.

Wzrok p. Gordona padł w téj chwili na dwa czy trzy zimne kartofle, leżące w skorupie rozbitego garnka, które zdawały się być przedmiotem szczególnéj troskliwości owéj kobiety.

— Co znaczą te kartofle?

— Schowałam je dzieciom na kolacyą.

— Jakto? to niemacie nic więcéj do jedzenia? — zagrzmiał pan Gordon takim głosem, jakgdyby na nowo w straszną złość wpadał.

— Nic, — odrzekła kobieta.

— A coście jedli wczoraj?

— Nic.

— A coście jedli przedwczoraj?

— Znaleźliśmy trochę ogryzionych kości pod chatami Murzynów, a niektórzy z nich dali nam parę kawałków żytniego placka.

— A dla czegóż, u djabła, niebyło posłać do mnie do domu po trochę słoniny? Kto zaś widział żyć kośćmi i resztkami, które Murzyni na śmieci wyrzucą! Czemu nieposłaliście po trochę szynki i mąki? Na miłość Boską, przecież spodziewam się, iż niemyślicie sobie, żeby pani Gordon miała być psem, któryby was pokąsał, — co? — No, poczekajcież, to ja wam tu co przyślę. Otóż to takie ja mam z was pożytki; na dobitkę, jeszcze muszę się o was kłopotać! — No, a jeżeli tu macie zostać, to trzeba będzie coś temu poradzić, żeby się tu na was nie lało.

— Otóż to tak jest, — mówił znów do Harrego wsiadłszy na powrót na konia; — ja, to chyba muszę mieć jakieś wędki na plecach, — każdy się mnie czepia! Durant naprzykład, to wypędza tę hołotę, — Peters

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

ich wyrzuca, — i cóż z tego wynika? Oto oni przychodzą i mnie się czepiają, bo wiedzą, że ja jestem stary mazgaj i koniec! A to djabelnie źle z mojéj strony. — A mnoży się to to jak króliki. Radbym doprawdy wiedzieć, po co Pan Bóg stworzył taką hałastrę? — Takie szubrawcy, to mają taką massę dzieci, kiedy tymczasem ludzie co żyją w pysznych domach, i schną z żądzy posiadania dzieci, niemogą się ich doczekać. A jeżeli nawet doczekają się dwojga albo trojga, to przychodzi szkarlatyna albo koklusz, i zabiera je z tego świata. Bóg z nami, ale doprawdy, na tym świecie, dziwnie się wszystko plecie. — Ale jak ja to opowiem Mrs. Gordon? Już wiem naprzód co ona powie na to. Jak zwykle będzie mi gadać, że ona mi to przepowiedziała. — Radbym, żeby sama do nich poszła, — bardzobym rad! Mrs. Gordon jest najlepsza w świecie kobieta, niema kwestyi; ale strasznie dużo ma energii. A to jest okropna rzecz dla takiego spokojnego człowieka, jak ja! Ale doprawdy niewiem cobym począł, gdybym jéj tego niepowiedział. Już to ja wiem, że ona mi da za tę babę, — ale przecież ja jéj i tak muszę posłać trochę szynki, — to rzecz jasna jak słońce. Zimne kartofle i ogryzione kości! Śliczna historya! Wprawdzie obeszłoby się całkiem bez takich ludzi na świecie, ale kiedy już exystują na nim, to przecież trzeba im dopomódz jako chrześcianom! A, właśnie idzie Jak, — czemu on ich niewyrzucił, zanimem ich zobaczył? Byłby mi całego tego kłopotu oszczędził. Ten huncwot wiedział dobrze co się stanie, skoro ja tam pojadę. — Hej! Jak! Pójdź tu! —

Jak zbliżył się do swego pana z miną na pozór po-

korną, z pod której jednak wyglądało wyraźnie, głębokie zadowolenie z siebie i rodzaj szyderstwa.

— Jak! Weźmiesz sobie kosz!

— Dobrze, Massa! — odparł Jak potakując.

— Czy ty będziesz cicho z twojém dobrze? Milcz, i słuchaj co ci powiem! Baczność! —

Jak spojrzał na Harrego wzrokiem pełnym filuteryi, i stanął w postawie, mogącéj ujść za posąg wyobrażający posłuszeństwo.

— Pójdziesz do pani, — poprosisz jéj o klucz od wędzarni, i tu mi go przyniesiesz.

— Dobrze, panie!

— Prócz tego będziesz pani prosił, żeby mi przysłała ćwierć mąki. Poczekaj!.... bochenek chleba, kilka placków, lub jakiegokolwiek pieczywa, — co będzie pod ręką. Powiesz, że chcę te prowianty natychmiast posłać. — Jak skłonił się i odszedł. — My sobie tymczasem jedźmy powoli, rzekł p. Gordon do Harrego; niech on tam pierwszy zajdzie. Mrs. Gordon wybuchnie najprzód na niego,a tak mnie się mniéj dostanie. — O, bardzobym chciał, żeby to można jako zrobić, żeby ona sama tych ludzi zobaczyła! Niech ją Bóg ma w swéj świętéj opiece! To jest kobieta bardzo litościwa, tylko ona jest tego przekonania, że to wszystko na nic się nieprzyda; — i prawda, ona ma całkiem słusznie! Ale i ta baba ma słusznie: przecież i dla niéj musi być jakieś miejsce na świecie! Świat dosyć jest duży! — Żeby wyszło takie prawo, któreby tych ludzi porównało z Murzynami, no, toby przynajmniéj ktoś miał nad niemi opiekę, i mogliby żyć wygobnie!

Harry nieuważał wcale za rzecz potrzebną, odpowia-

dać na te wszystkie gadania, — bo wiedział że poczciwy stryj John, gadał tylko dla tego, żeby ulżyć swojemu sercu, — i że gdyby jego był nie znalazł na dorędziu, byłby się tak samo przed pierwszém lepszém drzewem rozwodził. Pozwolił mu się więc do syta wygadać, oczekując spokojnie na chwilę, w któréjby mógł zwrócić rozmowę na przedmioty, które go bardziej obchodziły. — Nareszcie w czasie jednéj pauzy odezwał się:

— Mis Nina przysłała mię dziś rano...

— A! Nina! Moja kochana Ninka! Niech ją Bóg ma w swojéj opiece! To ona cię przysłała? A niemogła to ona sama przyjechać pocieszyć starego stryja?... Powiadam ci Harry, Nina to najpiękniejsza dziewczyna w całéj okolicy.

— Mis Nina jest wielce strapiona. Master Tom wczoraj przyjechał pijany, a dzisiaj traktuje ją tak po grubijańsku i samowolnie, że niewie co z nim począć.

— Pijany! no proszę! A to łajdak! On się coś bardzo często upija, — doprawdy, tego już zanadto! Ja mu tutaj mówiłem, kiedym go widział poraz ostatni: „Tom, bój się Boga! Kiedy sobie młody człowiek raz, albo dwa razy na miesiąc podchmieli, no, to dobrze!— to się i mnie przytrafiało, kiedym był młody; ale kiedy kto jest ustawicznie cięty, to nieuchodzi. Że się tam kto raz w kilka czas upije, to nic nie szkodzi; ależ trzeba mieć pewne umiarkowanie, i wiedzieć kiedy przestać; bo jak już przyjdzie do tego, że się człowiek upija codzień, albo co drugi dzień, to niech djabli wezmą!“—Otóż tak mu powiedziałem,—prawie temi samemi słowami,—całkiem bez ogródki;—bo widzisz, ja mu zastępuję miejsce ojca; ale widać że mu to nic nie pomogło. Moja żona,

bo go cierpieć mie może. Za każdą razą jak on tu przyjedzie, zwymyśla go porządnie; — on znowu wymyśla na nią, że aż nie miło słuchać! Mój Boże! cobym ja dał za to, żeby Nina była moją córką! Czemu ona nie przyjedzie do mnie i nie zamieszka tutaj? — Ona właśnie jest taka, jak ja lubię: w sam raz tak żywa, żeby człowiek przy niej nie zasnął. No, a cóż tam słychać z jéj konkurentami? Pójdzie ona za mąż? co?

— Jest tam właśnie dwóch panów, którzy się o nią starają. — Najprzód: p. Karson z Nowego Jorku...

— Do stu piorunów! Przecież za tego Yankesa nie pójdzie! Ojciec jéj w grobie by się poruszył, gdyby to zrobiła!

— Myślę że niebędzie potrzebował robić sobie téj subjekcyi, — odparł Harry, — gdyż o ile mi się zdaje, p. Klayton otrzymał nad nim pierwszeństwo.

— Klayton? — Dobra familia! Ten mi się podoba! To musi być porządny, dobry chłopiec, nieprawdaż?

— Prawda Panie; on posiada plantacyą w południowéj Karolinie, jak mi powiadano.

— Aha! No, to dobrze! Ale mi przykro, żem tak dawno Niny niewidział. Ja, bo niechciałem nawet wiedzieć o tém, żeby ją do Nowego Jorku posełać; ja niemam dobrego wyobrażenia o tych pensyach. Widziałem dziewczęta, które wśród plantacyi tak pięknie wyrosły, jak sobie tylko życzyć można. I po co tu posełać je tam Bóg wie gdzie, żeby sobie tylko głupstwami głowę zazapychały. Ja sam dziękuję Panu Bogu, żem nigdy nie był w Nowym Jorku; i niemyślę tam być nigdy. Urodziłem się i wychowałem w Karolinie, — a moja żona to czysta wirgińska krew! Niebyła ona na żadnéj pen-

syi, — a przecież niebyło w całej Wirginii ani jednéj dziewczyny, któraby się z nią mierzyć mogła, kiedym się z nią żenił. Twarz jéj podobna była do róży Damaszku. Tak, tak; — była to tęga, żwawa dziewczyna! I dzisiaj nieznam drugiéj kobiety, któraby się tak rozumiała na interesach, i tak baczne oko miała na wszystko jak ona. A chociaż mi tam czasem życie trochę goryczą zaprawia, to jednak dziękuję za nią panu Bogu, bo gdyby nie ona, to doprawdy niewiem coby się stało ze mną, i z dozorcą i z Murzynami, i z tą białą hołotą. Niewiem na co mybyśmy wszyscy wyszli!

— Mis Nina wysłała mię tutaj, żebym zeszedł z drogi Master Tomaszowi, — rzekł Harry po chwili. — On tam bowiem, jak zwykle, burmistrzuje niesłychanie. Pan wiesz, że on z dawna ma do mnie nienawiść, która z czasem rosnąć się zdaje. — Ciągle się sprzecza z panią, o każde rozporządzenie na plantacyi, a pan sam wiesz przecie najlepiéj, że ja robię wszystko co można, i zawsze tak pan, jak Mis Nina, byliście ze mnie kontenci. —

— Prawda, — istotna prawda, mój chłopcze! Zostań więc tutaj dopóki zechcesz. Rób co ci się żywnie podoba. Może masz ochotę pójść ze mną na polowanie?

— To mi tylko przykro, — mówił daléj Harry, — że właśnie w takiéj chwili musiałem się oddalić, kiedy na mojéj obecności wiele zależy.

— A, to czemu nie miałbyś wrócić? Na Toma nie trzeba zważać, bo on pijany. Ja już wiem jak to jest. Widzisz kiedy się młody człowiek spije, to nazajutrz jest słaby, nerwy ma rozdrażnione, i humór kwaśny.— Słyszałem, że tam na północy zakładają towarzystwa

wstrzemięźliwości, i zdaje mi się, żeby to niezłe było i dla naszych młodych ludzi, bo się coś zanadto zaczynają pijaństwem bawić. Najmniéj trzecia część z pomiędzy nich dostaje *delirium tremens*, zanim dojdzie lat pięćdziesięciu. — No, — nikt nie może po nich wymagać, żeby zawczasu byli staremi, ale nieźleby było, gdyby się tak naprzykład zobowiązali, że niebędą się upijać więcéj jak raz na miesiąc, lub coś podobnego. —

— Lękam się, — rzekł Harry, — czy Master Tom niezaszedł za daleko.

— Ha, zapewne, zapewne! A szkoda, wielka szkoda! Rzeczywiście, kiedy się kto tak dalece zapomni, to staje się podobny do starego, połatanego kaftana murzyńskiego, z którego niemożna poznać, z jakiego sukna pierwiastkowo był zrobiony. Żal mi tego Toma, doprawdy!

— Dla Mis Niny jest on bardzo przykry,—rzekł Harry, — mięsza się do wszystkiego, a ja niemam prawa stanąć w jéj obronie. A do tego jeszcze wczoraj zaczął mówić z moją żoną, w sposób, którego ja znieść nie mogę i niechcę! Niech on sobie da pokój!

— He! he!—zawołał p. Gordon.— Patrzajcie tego młodzika! Niema co powiedzieć!—No, już ja pomówię o tém z Tomem, a ty Harry powściągaj twoję żywość. Pamiętaj, że młodzi zawsze są młodemi, i że kto żeni się z ładną kobietą, musi być przygotowany na przejścia tego rodzaju. Ale ja już powiem Tomowi, żeby sobie dał pokój. — Ho, ho! Co widzę? Jak niesie kosz i klucz od wędzarni, będzie więc można posłać coś téj hołocie. Kto chce z głodu umierać, niech na mój grunt nieprzychodzi. Jak! weź ten chleb i tę szynkę i włóż do téj staréj rynki; a zobacz, czy się tam ta chata jako po-

łatać nieda. Wezmę tego człowieka do roboty, jak wróci. Tylko to prawda, że my tutaj i tak mamy dwa razy tyle rąk jak nam potrzeba. No, — będzie to jakoś. A ty Harry wracaj do domu i powiedz Mis Ninie, że my tam oboje z Mistres Gordon przyjedziemy na obiad.

Rozdział II.

DRED.

Harry przepędził noc na plantacyi Johna Gordon, i wstał nazajutrz rano bardzo niekontent ze siebie. Dla człowieka czynnego, nic przykrzejszego niemasz nad stan zupełnéj nieczynności. To téż Harry pokręciwszy się trochę tu i owdzie, poczuł wzrastające w sobie wewnętrzne nieukontentowanie. Dotąd bowiem używając wszystkich przywilejów wolnego człowieka, mógł co chciał robić ze sobą, mógł przebywać gdzie mu się podobało, mógł kupować i sprzedawać, i nikt mu się do jego czynności niemięszał, — tém bardziéj czuł się zatem upokorzony, przymuszoną swoją obecną pozycyą.

— Oto kryję się tutaj jak kuropatwa w krzaku, — mówił sam do siebie, — musiałem wszystko porzucić, i wystawić się na to, że mię ktoś może nazwać próżniakiem, łajdakiem! A to wszystko dla tego, że się podobało przyjechać mojemu młodszemu bratu, i słusznie czy niesłusznie przewodzić nademną, a moję żonę

bezcześcić, na co wszystko prawo mu pozwala. Mniejsza o to, że słuszność jest po mojéj stronie, — nic nieznaczy, że on jest człowiekiem najgorszéj kouduity; — każdy za nim się ujmie, a mnie potępi, a to wszystko dla tego tylko, że moja babka urodziła się w Afryce, a jego w Ameryce! Przekleństwo im wszystkim! Ja dłużéj tego nie zniosę! Kto wie co on tam robi i gada z Lizetą, podczas gdy ja tu jestem? Wrócę i stanę naprzeciw niemu jako mąż. Ja z nim zaczynać niebędę, — ale jeżeli on mię zaczepi, to niech się strzeże! On także jedno tylko ma życie, — niech się więc ma na baczności! —

I nienamyślając się długo, Harry wskoczył na konia i puścił się w drogę z powrotem. Droga którą jechał, przechodziła przez ten ogromny pas podmokłego kraju, który bagnistej puszczy nosi nazwisko. Gdy tedy zatopiony w myślach zwolna nią postępował, usłyszał nagle zbliżający się tentent koni, i na jednym ostrym zakręcie drogi spotkał się niespodzianie oko w oko z Tomem Gordon i p. Jekyl, którzy wcześnie wyjechali byli z domu, żeby na pewną stacyą pocztową, jeszcze przed upałem zdążyć. Przez chwilę panowało głębokie milczenie, aż nareszcie Tom, jako ten co zna swoję przewagę, i gotów ją do ostateczności posunąć, — wrzasnął z wściekłym gniewem:

— Stój, przeklęty Murzynie! i odpowiadaj twemu panu dokąd jedziesz?

— Pan nie jesteś moim panem, — odrzekł Harry; a w wymuszonej spokojności z jaką te słowa wymówił, więcéj było goryczy i wzgardy, niż w najżywszém uniesieniu. —

— Ha, psie przeklęty! — krzyknął Tom, uderzając go dwa razy w twarz szpicrutem. — Oto masz, — oto masz! Czy będziesz jeszcze gadał, że niejestem twoim pánem? — Czy pojmujesz ten znak mojéj władzy nad tobą? —

Położenie Harrego w jakiem się znajdował od dzieciństwa, nauczyło go poskramiać wybuchy swego gniewu, ale tą razą twarz jego przybrała wyraźnie okropne cechy śmiertelnéj nienawiści. Było coś majestatycznego, nakazującego, w postawie, w któréj cofnął swojego konia, i rękę podniósł ku niebu; chciał mówić, ale wściekłość głos mu tłumiła. Nareszcie rzekł:

— Bądź pan pewny, Mości Gordon, że znaku tego nigdy niezapomnę!

Są chwile takiego uniesienia, że zdaje się, iż podczas nich wszystkie namiętności człowieka zostają wzruszone, i gromadzą się w jego oku; i w takich chwilach każdy człowiek, siłą wewnętrznéj boleści, zyskuje niepojętą przewagę nad temi, którzy w innym czasie, możeby się ze wzgardą natrząsali z niego. — Nastała krótka pauza, w czasie któréj p. Jekyl, jako człowiek lubiący spokojność, znalazł sposobność trącenia w łokieć Toma, i szepnięcia mu do ucha: „To niewarto tyle fatygi, — jeszcze się na pocztę spóźnimy!“ —

Harry już był zwrócił konia i miał odjechać, kiedy Tom Gordon odwrócił się, i z szyderskim śmiechem zawołał:

— Byłem dziś rano u twojéj żony, i jeszcze bardziéj mi się podobała niż pierwszą razą!

Ten ostatni pocisk trafił w samo serce biednego niewolnika, a boleść, któréj ztąd doznał, silniejsza jeszcze

była od sromu, którym go przyjęły razy szpicruta. — Im daléj jechał, tém bardziéj dolegała mu ta rana, tak, że nareszcie puścił cugle, i strasznemi przekleństwami wybuchnął. —

— Aha! Aha! Przecie ci dojechał do żywego, i oto srożysz się w bezsilnéj wściekłości! — zabrzmiał głos wychodzący tuż przy nim z gęstwiny.

Harry zatrzymał konia i przestał wyklinać. W gęstwinie coś zaszeleściało, coś poruszyło się w krzakach, i nareszcie ten co się odezwał stanął przed Harrym. Był to człowiek czarny olbrzymiego wzrostu i ogromnie zbudowany. Skóra jego była czarniuteńka i szklniąca jak heban. Czerwona flanelowa koszula roztwarta na przodzie, ukazywała piersi i kark herkulesowéj siły, a zawinięte aż po ramiona rękawy, odkrywały muszkuły, którychby się żaden gladyator niepowstydził. Nad szerokiemi barkami, z królewską dumą wznosiła się głowa, nosząca na sobie wyraz głębokiéj i bystréj myśli. Organ badawczy ciemnym pasem rozciągał się ponad jego oczyma, a ta część głowy, którą frenologowie jako siedlisko umysłowych zdolności uważają, wznosiła się wysoko, niby sklepienie jakiéj katedry. Oczy jego na patrzącym robiły wrażenie jakiejś niezmierzonéj głębi, która tak często w oczach Afrykanów spostrzedz się daje. Ale obok tego palił się w nich jakiś nieustający nigdy ogień, który zdradzał ciągłe, z szaleństwem prawie graniczące, wewnętrzne uniesienie. Przypatrzywszy się bliżéj jego głowie, można było na niéj obaczyć jeszcze wydatne organa idealizmu, bojaźni bożéj i silnéj woli, które razem wzięte stanowiły całość, mogącą dać wyobrażenie dzikich z bohaterskiego wieku wojowników.

Około głowy miał okręcony turban ze starego karmazynowego szalu, który jeszcze więcéj charakteru dziwnéj jego postaci dodawał. Spodnie jego z grubego murzyńskiego sukna, ściągnięte były w pasie czerwoną flanelową taśmą, która zarazem służyła do zatknięcia za nią noża zwanego *bowie* i siekiery. Na plecy miał zarzuconą strzelbę, worek z kulami wisiał mu u pasa, a przez ramie miał przewieszoną torbę myśliwską z niewyprawnéj skóry. Jakkolwiek zjawisko to było dziwném i niespodzianém, nie zdało się jednak być nowém dla Harrego, gdyż po chwilowém wzdrygnięciu, odezwał się w tonie poufałéj znajomości, do któréj jednak mieszał się pewien rodzaj uszanowania, a zarazem wstrętu.

— To ty Dred? Niewiedziałem żeś mię słyszał.

— Czym ja ciebie słyszał? — zawołał czarny podnosząc ramię i błyskając dziko oczami. — Dopókiż będziesz się wahał na dwie strony? Czyż Mojzesz nieoparł się temu, kiedy go chciano nazwać synem córki Faraona? Dopókiż zostawać będziesz w zależności od ciemiężców Izraela, którzy mówią do ciebie: „Schyl się, abyśmy po tobie deptać mogli!“ Czyż się czerwone morze nie rozstąpi? Rozstąpi się! — tak Bóg sam mówi! —

— Rozumiem co chcesz powiedzieć! — rzekł Harry, drżąc od wewnętrznego wzruszenia.

— Tak, rozumiesz! — zawołała czarna postać, — A co czynisz? — Czyż niejadłeś wraz z ciemiężcami naszymi szpiku kości naszych, czy niepiłeś potu naszego? — a oczy twe odwróciłeś od ucisku twego ludu! — Czyż nasze kobiety niestały się ich łupem, a tyś na to nie zważał! Czyż nasze twarze nie stały odkryte na ich razy? Czyż niebyliśmy sprzedawani jako owce na rzeź? —

Aleś ty rzekł: „Panie! jam o tém niewiedział!“ I ukryłeś twoje oblicze! Dla tego przekleństwo Meroza spoczywa na tobie, mówi Pan. I dla tego musisz się płaszczyć przed ciemięzcami, i rózgę ich czuć na sobie, a żona twoja stanie się ich łupem!

— Niemów tak, niemów! — wołał Harry proszącym głosem. — Piekło budzisz w moich piersiach!

— Powiedz sam, Harry, — mówił czarny, z uroczystego tonu w jakim dotąd przemawiał, schodząc do tonu zwyczajnéj rozmowy, ale kołąc za to szyderstwem,— Czy cię twój pan nie wybił? To bardzo miła rzecz całować rózgę która bije, nieprawdaż? Nadstawże grzbietu i proś żeby cię jeszcze bić raczył! Cóż? niemasz ochoty? Bądź łagodny i pokorny! To twoja religia! Tyś niewolnikiem, ale chodzisz w cienkiém suknie i sypiasz na puchach. A o żonę niech cię głowa nieboli! Kobiety zawsze wolą panów jak niewolników! I dla czegóżby woleć niemiały? Kiedy kobieta ujrzy, że mąż jéj liże nogi pana swego, to pogardza nim, i słusznie. Przyjmij to z pokorą, mój chłopcze! Weź na siebie stary surdut swego pana i zabierz żonę swoję kiedy mu się już sprzykrzy, i dziękuj za to Panu Bogu! — Idź precz! tyś niewolnik! Ale ja! — zawołał podnosząc dumnie głowę do góry, — jam wolny człowiek! wolny z łaski tego! — I potrzasnął strzelbą. — Wolny, z łaski Pana Zastępów, który gwiazdy liczy i po imieniu je nazywa! Jedź do domu! To jest wszystko, com ci miał powiedzieć. Ty sypiasz na puchowém łożu, a ja na ziemi, wśród bagien! Ty jesz łakocie, a ja żyję tém co mi kruki przyniosą. Ale mnie nie śmie nikt uderzyć, — nikt nie śmie do-

tknąć mojéj żony,— nikt mnie niezapyta: „Co robisz?“— Idź precz! Tyś niewolnik, — jam człowiek wolny.

I jednym atletycznym skokiem zniknął w gęstwinie.

Łatwiéj sobie wystawić, niż opisać wrażenie, jakie ta przemowa zrobiła na rozdrażnionym już i bez tego Harrym. Zgrzytnął zębami i zacisnął pięści nad głową.

— Stój! — zawołał. — Dred! zaczekaj! Ja zrobię jak mi powiadasz! Ja niechcę być niewolnikiem!

Wzgardliwy śmiech był jedyną na to odpowiedzią, i odgłos szybkich kroków ucichnął wkrótce.

Oddalający się Dred począł śpiewać czystym i silnym głosem jednę z tych melodyj, w których siła i zapał mięszają się z dzikim, niewypowiedzianym smutkiem. Głos jego był także szczególniejszego rodzaju. Był on pełny i silny, podobny do głębokich tonów organów, gładki jak aksamit, a jednak przerzynał powietrze z dziwną ostrością, tylko słabszym głosom właściwą. Śpiew ten składały początkowe wiersze psalmu, zwykle w tych okolicach w czasie nabożeństw śpiewanego.

„Bracia! słyszycie ten dźwięk?
„To tak trąby nasze grzmią!
„Oręża już słychać szczęk,
„Męże do boju się rwą.

Zdawało się, że każda nuta tego śpiewu brzmi pełnią wolności. I zdało się Harremu, że każden z tych tonów najgrawa się z jego upodlenia,— i duszą jego targał ból taki, jaki pojąć mogą tylko ci, co sami wiedzą, co to jest być niewolnikiem. W śmiertelnym tym bólu począł przeklinać dzień swego urodzenia.

Nagłe ukazanie się Milly, idącéj z przeciwnéj strony, inny kierunek nadało myślom jego.

— Bóg z tobą Milly, — zawołał zdziwiony. — Gdzież ty idziesz?

— Bóg z tobą moje dziecię! Ja iść na pocztę. Oni mi tam chcieć zaprządz do wozu. Ale ja im powiedzieć, na co ja mieć swoje nogi? Ja niepotrzebować żadnego stworzenia żeby ono mnie wozić, kiedy ja módz chodzić. A potem, to taka przyjemna droga tutaj z rana, popod drzewami. — Ale, mój Boże, co ty to mieć na twarzy?

— Ha! To od Toma Gordon! Przekleństwo jemu! — odparł Harry.

— Niemów tak, moje dziecko! — zawołała Milly poważnie, korzystając z przewagi, jaką jéj wiek i postępowanie nadawało nad Harrym i nad wszystkiemi mieszkańcami plantacyi.

—A kiedy ja będę tak mówił! Dla czegobym niemiał tak mówić? Niemyślę dłużéj być cierpliwym!

— I co ci to pomódz? Jak ci się zdawać? — Kiedy ty Toma niecierpieć, — jak ty módz chcieć być tak zły jak on?

— Nie, ja nie będę taki jak on, — ale się muszę zemścić! Mówiłem znów dzisiaj z Dredem, — i rozdrażnił mię tak, że ledwie żyję, i dłużéj tego znieść nie potrafię!

— Dziecko! rzekła Milly głosem przestrogi. — Ty się mieć na baczności! Ty się strzedz jego! On być na puszczy Synaj, a z nim czarna noc i burza. On niedojść do niebieskiéj Jerozolimy. Ty pomyśleć sobie tylko na

Kaima i Abla! Ty uspokoić się i być dobry i łagodny, a czekać ciebie królestwo niebieskie!

— Ciotko Milly, to wszystko dobre jest dla starych kobiet, tak jak ty; — ale widzisz ja jestem człowiek młody, — mam silne ręce i potężne pięście, a ciało i dusza moja drży żądzą boju! Nie daleko więc zajdziesz, prawiąc mi o niebieskiéj Jerozolimie. Nam tutaj na ziemi także czegoś potrzeba, i już my się o to postaramy. Zresztą zkąd ty możesz wiedzieć, że jest gdzie jakieś niebo?

— Zkąd ja to mogę wiedzieć? — zawołała Milly błyskając okiem i uderzając laską w ziemię. — Zkąd ja to mogę wiedzieć? Z tęsknoty, którą ja czuć za niém, czuć tutaj głęboko, — i uderzyła się silnie w piersi.— Bóg wiedzieć co robić, kiedy nas stworzyć. Kiedy On stworzyć małe dziecię z buzią otwartą, to on téż stworzyć zarazem i mleko, i pierś dla niego. — Harry, my wszyscy nie co innego być tylko duże dzieci, które patrzeć a niewidzieć, i tylko macać koło siebie; — ale nasz Ojciec nas nakarmić — z pewnością nakarmić!

— Jakoś zadługo trzeba na to czekać! — mruknął Harry.

— Dobrze, moje dziecko! A czy to niedługo trwać, zanim twoje ziarno zejść? Czy niedługo trwać, zanim ono kłosy wypuścić? A ty przecież mimo tego siać! Co mi tam o to, co ja tu być, byle ja kiedyś w niebie z Jezusem królować?

— Ja tam nic niewiem o tém!

— Ale ja wiem! Ja wiem moje dziecko, tak pewnie jak to, że ja na tém miejscu stać, że jeżeli ja być dobra tu na ziemi, to ja tam w niebie królować potem

z Jezusem. A każda droga prowadzić do szczęśliwości niebieskiéj, — do szczęśliwości, która niemieć końca!

— No, niech i tak będzie!— rzekł Harry trochę wzruszony, ale nieprzekonany; — bo i na cóżby mi się przydało dowodzić że jest inaczéj? Szczęśliwa jesteś że tak wierzysz, ale ja, niemogę!

— Ale w każdym razie, ty pamiętać, dziecko moje, nierobić żadnego szaleństwa, i jego niesłuchać, bo droga którą on wskazywać, prowadzi przez morze krwi.— Co ci winna Mis Nina? — A ja tobie powiadać, że jak to raz będzie wybuchnąć, to nikogo niebędzie oszczędzić! A więc ty niedrażnić tygrysa, bo ja ci powiadać, że ty jemu potem niedać rady.

— Masz słuszność! To jest szaleństwo! czyste szaleństwo; nawet myśleć o tém niewarto. No, bądź zdrowa ciotko Milly, — Bóg z tobą.

I dawszy koniowi ostrogę, pojechał, i wkrótce zniknął z oczu Milly.

Rozdział III.

SPISKOWI.

Ażeby czytelnikowi dać pewne wyjaśnienia, tyczące się nowéj osoby, w przeszłym rozdziale przez nas wprowadzonéj, musimy się cofnąć nieco w tył, i dotknąć wypadków nader smutnych, a jednak historycznych.

Położenie niewolników w Ameryce, piewiastkowo znacznie różniło się od dzisiejszego. W pierwszych latach kiedy niewola zaprowadzoną została w południowéj Karolinie, niewolnicy używali licznych prerogatyw. Ci którzy należeli do wykształceńszych rodzin, jeżeli chcieli coś umieć, mogli się uczyć czytać i pisać. Mieli zupełną wolność zgromadzania się na nabożeństwa, bez obecności białych świadków, — a niektórym z nich powierzano ważne posady, wielkiego wymagające zaufania. — W skutek tego, inteligencya niewolników wzrosła niezmiernie; ukazali się między niemi poważni, myślący ludzie, z otwartą głową, których czynny duch badał wszystko, porównywał i wyciągał wnioski. Oczywista

rzecz, iż skoro ludność ta raz stanęła na tym stopniu umysłowego rozwoju, w państwie którego rząd gruntował się na zasadach powszechnéj równości, każda mowa publiczna, każda odezwa, każda gazeta, stawała się dla niéj prawdziwie palnym materyałem. Trudno było wymagać zresztą po słudze, który się czuł człowiekiem, ażeby poddawał się chętnie temu, co nieobowięzywało jego pana. W skutek takiego stanu rzeczy, stało się, że kiedy z powodu kwestyi wcielenia Missuri między państwa w których niewola zaprowadzona była, powstały krzyki w całych Stanach Zjednoczonych, krzyki te znalazły wielu bacznych słuchaczów i świadków, między zdolnemi i przedsiębiorczemi niewolnikami.

Pewien wolny Murzyn z miasta Charleston, nazwiskiem Denmark Vesey, był jednym z tych, którzy mieli śmiałość zapragnąć, nagromadzoną w chmurach elektryczność na swój pożytek obrócić. Powziął on zuchwały zamiar, iść za przykładem Amerykanów, i wolność dla niewolników wywalczyć. Wiadomość o tym człowieku czerpaliśmy jedynie w sprawozdaniach, któremi władze rządowe zawiadamiały publiczność o powstaniu, którego on był przywódcą. Sprawozdania te, których w żaden sposób o stronność dla niego posądzać nie można, powiadają, że w tamte strony przywiózł go był niejaki kapitan Vesey, jeszcze bardzo młodym chłopcem, który jednakże odznaczał się już wtedy szczególną pięknością i wielkim rozumem. Przez dwadzieścia lat był on jednym z najwierniejszych niewolników, i dopiero gdy wygrał na loteryi tysiąc pięćset dolarów, użył téj summy na swoje wykupno z niewoli, poczem pracował jako cieśla w Charleston. Odznaczał on się wielką siłą i czyn-

nością, a z powodu nieposzlakowanego charakteru, jak się też same sprawozdania wyrażają, zyskał takie zaufanie między białemi, że kiedy go o spisek obwiniono, obwinienie to nietylko że żadnéj wiary nieznalazło, ale nawet Vesey niezostał aresztowany, dopóki nie ujrzano dowodów, które o zbrodni jego dłużéj powątpiewać nie dozwalały.

Jedno ze sprawozdań mówi: „Trudno pojąć, co go mogło spowodować, do uwikłania się w tym spisku; chyba tylko to, co jeden ze świadków przytacza, a mianowicie: że Vesey miał kilkoro dzieci, które były niewolnikami, i że przy każdéj sposobności zwykł był mawiać, iż pragnie dzieci swoje na wolność wydobyć; — co on téż sam w czasie inkwizycyi, zręcznie na obronę swoję przytaczał.“

Zdaje się że myśl pobudzenia Czarnych do powstania, zajmowała Veseya od lat czterech, w czasie których niezaniedbywał żadnéj sposobności, żeby ziomków swoich drażnić i podniecać.

„Nawet kiedy szedł przez ulicę,—mówi daléj sprawozdanie, nie próżnował wcale; bo kiedy towarzysz jego schylał się przed białym, wedle zwyczaju niewolników, on łajał go za to, mówiąc, że wszyscy ludzie rodzą się wolnymi, i że on niepojmuje, jak ktoś może się podobném postępowaniem tak dalece poniżać; — że onby się nigdy przed białemi niepłaszczył, i że nikt tego czynić nie powinien, kto pojmuje godność człowieka. A gdy mu który na to powiedział: „Cóż robić? My jesteśmy niewolnikami!“ — to on mu odpowiadał z szyderstwem: „Bo zasługujecie na to, żebyście niemi byli!“ A gdy go daléj pytano: „I cóż my mamy robić?“ to on mówił:„ Idź,

kup sobie książkę do czytania dla dzieci, i przeczytaj sobie tam bajkę o Herkulesie i najemniku.“ — Oprócz tego obeznał się on był dokładnie z Pismem Świętém, i używał bardzo zręcznie tych miejsc z niego, które się do jego celów zastósować dały.“

Z czasem związał się Vesey z pięciu innymi niewolnikami niepospolitego charakteru. Imiona ich były: Rolla, Ned, Peter, Monday i Gullah Jack. Sprawozdanie tak o nich mówi:

„W wyborze sprzysiężonych okazał Vesey wielką przezorność i sąd trafny. Rolla, był charakteru tęgiego, i niezmiernie umiał panować nad sobą; — śmiały i ognisty, żadném niebezpieczeństwem niedał się od swego przedsięwzięcia odstraszyć. Neda sama powierzchowność zdradzała, że to był człowiek żelaznych nerwów i szalonéj odwagi. Peter był nieustraszony i energiczny, wierny w wypełnieniu zaciągniętych zobowiązań i jedyny do zachowania tajemnicy; — niestraszyły go żadne trudności, a chociaż rachował na pomyślny skutek, jednakże obmyślał i środki na przypadek niepowodzenia. Gullah Jack miał sławę jako czarownik, i jako takiego bali się go Afrykanie, którzy wierzą w siłę czarów. Utrzymywano, że on nietylko sam raniony być niemoże, ale że jeszcze może rany według woli na kogokolwiek przenosić, i wierzono, że wszystkich swych wspólników w broń zaopatrzy. Był on przebiegły, okrutny i krwi chciwy,—krótko mówiąc: demonicznéj natury. Monday był stały, ryzykowny, milczący i roztropny.“ —

„Jest to smutna prawda, że dobre postępowanie wszystkich spiskowych, wyjąwszy Gullaha, niedozwalało mieć na nich najmniejszego podejrzenia. Owszem posiadali

oni nieograniczone zaufanie swych panów i doznawali wszelkich względów, na jakie położenie ich w społeczeństwie dozwalało. Nawet Gullaha, jakkolwiek zachowanie się jego niebyło całkiem nienaganne, niemożna było uważać za podejrzanego. Ale nietylko przywódzcy używali takiéj wziętości; — między resztą sprzysiężonych było także wielu, w których właściciele ich wielkie pokładali zaufanie, i ani jednego między nimi niebyło, któryby się złém postępowaniem odznaczał.

„Zachowanie się Veseya i pięciu jego towarzyszy w czasie uwięzienia i inkwizycyi, zapewne niebędzie także bez interesu dla publiczności. Vesey podczas indagacyi, założył ręce na piersiach i utkwiwszy oczy w ziemię, zdawał się z wielką uwagą słuchać swego zaskarżenia. W téj postawie czekał nieporuszony, dopóki sąd nie przesłuchał świadków, i dopóki adwokat jego nie uczynił im potrzebnych pytań; potem prosił aby mu wolno było samemu świadków przesłuchać, co też stało się wedle jego życzenia. Następnie miał długą mowę do sądu. Gdy mu odczytano wyrok, kilka łez stoczyło się po jego twarzy. — Rolla udawał, jakoby wyniesionéj przeciwko sobie skargi nierozumiał; a gdy mu takową na żądanie wyjaśniono, doskonale odegrał niesłychane zadziwienie. W ciągu całéj inkwizycyi okazał wielką przytomność umysłu, a gdy się dowiedział, że został skazany, i że się musi na śmierć gotować, zdawał się być bardzo tém dotknięty, ale nieokazał żadnego znaku bojaźni. Neda zachowanie się nie zasługuje na szczególną uwagę; twarz jego była martwa i nieporuszona, nawet w chwili kiedy mu wyrok śmierci czytano, a z oczu jego niepodobna było odgadnąć, jakie uczucia nim mio-

tały. Inaczéj rzecz się miała z Piotrem Poyes, zwykle Peter zwanym. Z twarzy jego przemawiała wyraźnie wyuzdana duma, żądza zemsty, zuchwalstwo, i gorąca chęć dowiedzenia się, jak daleko sięgały poczynione odkrycia; — to ostatnie jednak uczucie nie pochodziło zdaje się z obawy o siebie samego, bo całe jego postępowanie świadczyło przeciwnie, ale raczéj z obawy o powodzenie ich planu, który całą jego duszę pochłaniał. Do samego końca powierzchowność i zachowanie się jego były niezmienne, nawet w czasie czytania wyroku; a kiedy wychodził, odezwał się tylko: „Myślę, że mi pozwolicie widzieć się z żoną i dziećmi zanim umrę.“— ale i to niebyło w proszącym tonie powiedziane. Kiedy go w parę dni potém zapytano, czy to podobna, żeby on był miał serce zamordować swego pana i całą jego rodzinę, która się jak najlepiéj z nim obchodziła, uśmiech był całą jego odpowiedzią. W więzieniu, obżałowani niechcieli dać żadnych wyjaśnień, mogących innych uwikłać w tę sprawę. Szczególniéj Piotr Poyes napominał swych towarzyszów, aby wytrwali w milczeniu: „Nieotwierajcie ust waszych, i umierajcie w milczeniu, jak ja umrę!“ I z niezachwianą spokojnością wszyscy poszli na rusztowanie. Dwudziestu dwóch spiskowych powieszono na jednéj szubienicy.

Sprawozdanie powiada jeszcze, że: „Piotr Poyes był jednym z najczynniejszych organizatorów powstania. — Naczelnicy spisku mieli wykazy tych, którzy przyrzekli połączyć się z niemi, a jeden świadek zeznał, że Piotr Poyes przeszło sześćset imion miał na swoim wykazie. Ale on tak niezłomne do końca zachował milczenie, że pomiędzy temi którzy byli schwytani i inkwirowani,

niebyło ani jednego z jego partyi. Jest to fakt, że z całego sprzysiężenia, do którego tysiące należały, zaledwie trzydziestu sześciu zawyrokować można było.“

Pomiędzy dziećmi Veseya, był jeden chłopiec zrodzony z niewolnicy Mandingo, który był szczególnym ojca swego polubieńcem. Mandingowie są jedném z najpiękniejszych plemion afrykańskich, znaném z wysokich zdolności, z piękności ciała, z niepowściągnionéj dumy i energii. Z powodu tych przymiotów, nader wysoko szacowani są od panów którzy się z niemi obchodzić umieją. Łagodnością i dobrocią wszystkiego z niemi dokazać można; surowe postępowanie oburza ich i czyni zuchwałemi i niebespiecznemi. Owemu chłopcu dała matka imię Dred, bardzo pospolite między niewolnikami, a szczególniéj służące tym, którzy znakomitą fizyczną siłą są obdarzeni. Umysł tego dziecka rozwijał się w sposób tak nadzwyczajny, że budził podziwienie w najstarszych Murzynach. Niedziw więc, że taki syn jak Dred, stanowił najwyższą dumę takiego ojca, jakim był Denmark Vesey.

Pomiędzy Murzynami panowało powszechne przekonanie, że to dziecko do nadzwyczajnych rzeczy jest przeznaczone. Od początku sprzysiężenia, Dred, chociaż dopiero dziesięcioletni chłopiec, był powiernikiem swego ojca, który go często upominał, aby nieupadał na duchu, chociażby się plan jego niepowiódł. Uczył go, że nikczemnością jest znosić jarzmo niewoli, i wpajał w niego przekonanie, że go kiedyś do wyższych celów Bóg powoła.

Po odkryciu spisku i po wykonaniu wyroku na przywódzcach, wszyscy niewolnicy, którzy byli z niemi w za-

żyłości, chociaż im żadnego udziału w sprzysiężeniu niedowiedziono, byli zmiasta wdalekie strony wysprzedani. Przezorność Veseya zapobiegła zawczasu temu, że syn jego nieuległ podobnemu losowi; albowiem za wspólném porozumieniem, w obec drugich udawali oni obadwa oziębłość, a nawet niechęć wzajemną ku sobie. Poufałe ich schadzki odbywały się w największéj skrytości. —

W chwili stracenia ojca, Dred miał lat czternaście. Nie pozwolono mu widzieć się z nim w więzieniu, ale był on świadkiem niewzruszonego spokoju, z jakim Vesey i jego towarzysze śmierć ponieśli. Pamięć téj chwili zapadła głęboko w jego duszę, niby kamień w bezdenne głębie górskiego jeziora. Sprzedany na jednę odległą plantacyą, odznaczał się tam dzikiém, rozpaczliwém usposobieniem umysłu. Niebrał nigdy udziału w zabawach i rozrywkach innych niewolników; pracował pilnie, ale zawsze dumny i milczący, a za najmniejszą naganą lub pogróżką wybuchał dzikim gniewem; tak, że przy olbrzymiéj sile, którą go obdarzyła natura, stał się prawdziwym dla dozorców postrachem. — Dozorcy nielubią takich robotników, — z tąd téż poszło, że Dred, niby koń himeryczny, sprzedawany był z jednéj plantacyi na drugą, — aż nareszcie jeden dozorca, śmielszy od innych, postanowił go, bądź co bądź, powściągnąć i ukrócić. W skutek tego powstała między niemi jednego razu walka na pięści, w któréj Dred swego przeciwnika trupem położył, i uciekł na bagna; — i odtąd skończyła się jego rola na scenie ucywilizowanego świata. —

Jeżeli czytelnik zechce rzucić okiem na mapę, przekona się, że wschodnie wybrzeże południowych Stanów Zjednoczonych, pokryte jest z małemi przerwami pasmem

bagien, stanowiących kraj puszcz dzikich i nieprzystępnych. Gęsta, silna a dzika wegetacya, czerpiąca z mokrego gruntu obfite soki żywotne, zdaje się tutaj urągać ze wszystkich usiłowań ludzi, pragnących przeniknąć jéj wnętrze. — Jest to ojczyzna alligatorów i węży olbrzymiéj wielkości. Wiecznie zielone drzewa, liśćmi swemi tworzą tutaj nieprzebite sklepienia, pod któremi kryją się niezliczone rzesze ptastwa, którego świegot wiecznie brzmi wśród téj pustyni. Winograd i inne pnące się rośliny, niesłychanie bujne i przepyszne, wiją się i przerzucają z drzewa na drzewo, i zwieszają się z najwyższych wierzchołków, niby złote i purpurowe tryumfalne sztandary, na cześć téj wspaniałéj natury zatknięte. Pewien rodzaj krzewistego mchu, rozkłada się przepysznym kobiercem od drzewa do drzewa, a górą rozpina niby sznury pereł, pomiędzy któremi tu i owdzie przerzucają się szkarłatne jagody i zielone liście amerykańskiego ostrokrzewiu. Czém są niedostępne góry Szwajcaryi dla ściganego Wallijczyka, tem jest ten bagnisty kraj dla amerykańskich niewolników. Potrzeba ciągłego wyszukiwania i chwytania zbiegów w tych kryjówkach, wyrodziła w Stanach Zjednoczonych rodzaj zarobkowania, nieznany całkiem w innych krajach chrześciańskich. Zasadza on się na układaniu i utrzymywaniu psów do polowania na mężczyzn, kobiety i dzieci. Ale mimo tego, wynajdywanie zbiegów wśród tych moczarów jest połączone z tylu trudnościami i kosztami, że bliskość tego kraju bagnistego, jest zwykle bardzo niemiłą dla dozorców, których władza już i bez tego dosyć jest ograniczona. —

W czasie swojéj ucieczki na bagna, Dred jako jedy-

nego towarzysza, wziął ze sobą tylko biblią swego ojca. Ale dla niego, niebyła ona posłem pokoju i przebaczenia, ale heroldem zemsty i boju. Umysł ludzki, rozglądając się w wielkiéj księdze natury, widzi w niéj zwykle odbicie własnych namiętności; burzliwy duch znajduje upodobanie w huku wodospadów, w grzmocie lawin, w ryku burzy morskiéj. Tak się też stało z Dredem. Z pisma świętego te tylko miejsca wybierał, które najlepiéj przypadały do stanu jego duszy. Ciągle marzył tylko o prorokach, którzy wyższą obdarzeni mocą, byli nieraz zbawcami wybranego ludu; serce biło mu dziką radością, gdy myślał o Samsonie, który potężném ramieniem pokruszył filary wspaniałéj świątyni, i tryumfujących swoich prześladowców, wraz z sobą w jednym grobie pogrzebał. Wśród samotnych wędrówek po puszczy myśli te coraz silniéj opanowywały jego duszę.

Człowiek ten, którego duch pełen był energii i namiętnego zapału, wśród dzikéj samotności tych moczarów, znalazł jakby drugą ojczyznę, a milczące życie natury było dlań jedynym tłómaczem téj księgi, pełnéj szczytnych, ale tajemniczych porównań i obrazów. Życie jego upływało w ciągłém marzeniu; nieraz w wędrówkach swoich porównywał się to z prorokiem Eliaszem, to z świętym Janem Chrzhicielem, który chodził po puszczy we włosiennicy i żył konikami polnemi i leśnym miodem. Niekiedy modlił się i pościł po całych dniach, i wtedy zdało mu się, że słyszy jakieś głosy, i że liście dziwnemi hieroglifami są zapisane. Gdy znów duch jego uspokoił się nieco, zajmował się z wielką siłą i zręcznością zaspokojeniem potrzeb swego życia.

Trzeba wiedzieć, że Murzyni zbiegli w te kraje bagien,

nie są tak zupełnie od reszty świata odcięci, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Cokolwiekby niewolnicy z plantacyj blisko takich krain położonych powiedzieć mogli, dla zyskania dobréj opinii swoich panów, jest to jednak rzecz pewna, że zawsze gotowi są nieść pomoc takim zbiegom, już to z saméj litości, już to z wyrachowania. Wiedzą oni dobrze, że na wszelki przypadek, dobrze jest mieć wśród bagien przyjaciela i obrońcę, dla tego też czują się spowodowani, owych zbiegów o ile możności opatrywać we wszystko, czego im potrzeba. Niemniéj owa uboższa klasa białych, która utrzymuje małe sklepiki i szynki w pobliżu plantacyj, nie robi sobie w tym względzie wielkich skrupułów i wymienia towary swoje na zwierzynę, któréj wśród bagien jest podostatkiem, przyczém zwykle biedne zbiegi niemiłosiernie bywają oszukiwani. Na téj to drodze przyszedł i Dred do posiadania wybornéj strzelby, i zawsze miał podostatkiem amunicyi, przy któréj to pomocy, był w możności zaopatrywania swych potrzeb. Oprócz tego, wśród bagien trafiają się tu i owdzie miejsca wyżéj położone, które przy stósownéj uprawie bardzo żyzne się stają; i takich to miejsc wiele był uprawił Dred już to własną ręką, już to przy pomocy innych zbiegów, którzy się pod jego opiekę uciekli. Pędzony niespokojnym duchem Dred, nieosiedlił się stale w jednéj okolicy, tylko przenosił się ciągle z miejsca na miejsce, po całym kraju bagnistym, od Karoliny aż do południowéj Wirginii, tu i owdzie zatrzymując się to na miesiąc, to na parę miesięcy. Raz udało mu się skrwawioną, drżącą Mulatkę obronić od psów, które ją ścigały; tę kobietę pojął za żonę i zdawał się być mocno do niéj przywiązany. Z nie-

pospolitą zręcznością zbudował jéj chatę wśród bagien graniczących z gordonowską plantacyą i odtąd zapoznał się bliżéj z tą okolicą. Szczególniéj zwrócił był oko na Harrego, bo poznawszy jego zdolność, ukształcenie, obrotność i moc charakteru, upatrywał w nim przyszłego wodza powstania przeciw białym. Harry, równie jak wszyscy niewolnicy z gordonowskiéj plantacyi, wiedział doskonale o pobycie Dreda, często się z nim widywał i rozmawiał, — ale ani on, ani żaden z nich, niezdradził go ani jedném słowém. Wierność w dochowaniu tajemnicy, jest przymiotem wszystkim w ogóle niewolnikom właściwym. Harry, jako człowiek roztropny, nieuważając się całkiem pewnym na swojém stanowisku, wolał mieć zawsze na wypadek potrzeby, zapewnioną pomoc i obronę. Biali handlarze z okolicy, znali także Dreda dobrze, ale dopóki tylko handel zamienny który z nim prowadzili, zapewniał im niezawodne korzyści, mógł być pewny ich dyskrecyi. To téż śmiałość jego dochodziła do tego stopnia, że się niekiedy mieszał w tłum zgromadzony na nabożeństwo.

Tyle o osobie, która w ciągu naszéj powieści jeszcze nieraz ukaże się na scenie.

Rozdział V.

ZNOWU W KANEMIE.

W kilka dni później, kółko towarzyskie w Kanemie powiększyło się przybyciem siostry Klaytona, gdy tymczasem Karson, w najlepszym humorze odjechał gdzieś do kąpiel na północ. W skutek zapraszającego listu Niny, Anna wraz z ojcem, który miał także interesa w tych stronach, zjechała do Kanemy, i jak się to często zdarza, przyszła bratowa spodobała się jéj bardziéj zniżeli się spodziewała. Gdyby nie rola gospodyni, która tutaj Ninie przypadła, możeby jéj duma niebyła pozwoliła łożyć tyle starań dla przypodobania się Annie, chociaż serdecznie tego pragnęła. Ale na szczęście, ona tutaj była panią domu, a mając prawie arabskie wyobrażenie o przywilejach gościa, skakała koło niéj, śpiewała jéj i bawiła ją jak mogła. Oprowadzała Annę wszędzie, pokazywała jéj najpiękniejsze miejsca przechadzki, szkółkę drzew, ogród kwietny, i obsypywała ją tysiącznemi grzecznościami, którym właściwa jéj oryginalność

i swoboda, tém większego dodawały uroku. Zresztą Nina w złośliwém swojém serduszku zrobiła postanowienie, niezważać na powagę Anny, niepozwolić jéj być stateczną, ale zmusić ją, żeby się wraz z nią śmiała i pustowała. Przedsięwzięcie to tak się jéj wybornie udało, że Klayton widząc to, zaledwie był w stanie swój uśmiech powściągnąć. Niny wesołość, kiedy doszła do swego zenitu, zdawała się posiadać taką władzę, że wszystko poruszała na około siebie, i nie wprzódy spoczęła, dopóki i w drugich tego samego stopnia wesołości nieobudziła; — to też stało się, że Anna w jéj towarzystwie śmiała się ze wszystkiego i z niczego, a to dla téj prostéj przyczyny, że była w wesołym humorze. Na dobitkę przyjechał jeszcze stryj John ze swoją uśmiechającą się, poczciwą twarzą; — był to jeden z tych śmiałych, niezmordowanych gadułów, którzy tak wysoko cenieni są w towarzstwie, bo zawsze mają na pogotowiu środki ożywienia go i urozmaicenia. Z nim przyjechała i pani Gordon, czyli ciotka Marya, jak ją nazywała Nina; — była to poważna kobieta, w średnim wieku, którąby jeszcze i wtedy mogła była ujść za piękną, gdyby troski i wstrząśnienia nerwowe, nie były głębokich śladów na jéj licach wyryły. Jéj bystre, jasno orzechowe oko, piękne zęby, i silnie ale wdzięcznie zbudowana postawa, chlubne dawała świadectwo o żywotnéj sile jéj starowirgińskiego rodu.

— Nareszcie,—rzekła Nina do Anny Klayton, z którą usiadła pod cieniem werandy, — nareszcie zakwaterowałam ciotkę Maryą do pokoju ciotki Nesbit; dopieroż one to tam całą litanią skarg na mnie odmawiać poczną!

— Skarg na panią?— zapytała Anna.

— Tak jest, na mnie! To jest zwykłe ich zajęcie. Już ja tam będę miała za swoje. One na palcach będą liczyć wszystko com powinna umieć, a nieumiem, com powinna była zrobić, a niezrobiłam. Mnie się zdaje że krewne, a mianowicie ciotki, najwięcej przez to okazują przywiązanie do swych siostrzenic, że się na nie wiecznie żalą i skarżą.

— A cóż one tam za grzéchy będą zbierać do tego rejestru? — zapytała, wyciągając ją na słówko Anna.

— O, Boże mój, o to najłatwiéj! — Ciotka Marya, jest to nader skrzętna i porządna gospodyni, — według mnie, aż zanadto skrzętna i porządna. Powiadam pani, ona poluje na każdą mysz i każdego szczura, na najmniejszą pajęczynę, pyłek, lub zdziebełko. Czas ma jak najakuratniéj rozłożony, i jest punktualna jak zegarek. W domu rządzi żelazną rózgą, i na wszystko ma baczne oko. Prowadzi najdokładniejsze w świecie rachunki, i jak smok jaki wpada na każdego, kogo na najmniejszém złapie wykroczeniu. Sama kraje suknie ze sztuki, szyje, robi pończochy, i ustawicznie dzwoni kluczami, co wszystko razem wzięte, nazywa się w niéj gospodarnością. Możesz sobie pani zatém wystawić, co ona sobie musi myśleć o mnie, która wstawszy rano, za najpierwsze biorę kapelusz, biegnę do ogrodu i oglądam moje kwiatki, dopóki mię niezawoła ciotka Katy, pytając się o moje rozkazy.

— Któż to jest ciotka Katy?

— O, to jest mój minister w spódnicy; całkiem podobny do wszystkich ministrów, o których czytałam w historyi, a którzy bądź co bądź zawsze na swojém postawić umieją. Kiedy naprzykład ciotka Katy przyjdzie

do mnie i pokornie się zapyta co zadysponuję na obiad, myślałby kto, że ma najszczerszy zamiar, wykonania ściśle moich rozkazów. Ale gdzie tam, — na wszystko co ja jéj powiem, ona zaraz odpowie pięćdziesiątoma zarzutami; bo i ja miewam czasami napady manii gospodarskiéj, zupełnie tak jak ciotka Marya; ale mi to jakoś nie idzie. Otóż, jak mi zacznie dowodzić, jak nierozsądne są moje rozporządzenia, — jak zacznie żalić się, że w całéj okolicy nic dostać niemożna, tak zawsze na tém się skończy, że ja jéj muszę się spytać: „A cóż możemy mieć dzisiaj, ciotko Katy?“ Wtedy ona odkaszlnąwszy parę razy, występuje z programatem, który sobie wczoraj wieczór jeszcze ułożyła; — i tak zawsze. Rachunkami trudni się Harry, bo ja tylko wydawać lubię, i mam do tego talent nielada. — Możesz sobie więc pani wystawić, jak to wszystko musi boleć ciotkę Maryą, i co ona się z tego powodu nawzdycha, naprzewraca oczu i i natrzęsie głową! — A ciotka Nesbit to znowu ciągle mię upomina, żebym kształciła swój umysł, — to jest, żebym czytała takie okropne, głupie i nudne książki, jak ona czyta. Jać bym rada kształcić swój umysł, bo wiem żeby mu się to bardzo przydało, ale nieumiem sobie w tém radzić, i zawsze zdaje mi się, że to daleko więcéj pożytku memu umysłowi przynosi, że biegam po ogrodzie i upędzam się po lasach, niż żebym miała drzémać nad staremi księgami. Te książki, zupełnie mi się wydają jak siano, które bardzo jest ładne i dobre, kiedy niema świeżéj trawy; ale ja zawsze jednak wolę to, co rośnie i kwitnie. To co ludzie nazywają naturą, jeszcze mię nigdy nieznudziło, gdy tymczasem wszystkie niemal książki, które dotąd czytałam, nudziły

mię niesłychanie. Czy pani nie jesteś tego zdania, że ludzie rozmaicie są stworzeni: jedni lubią książki, a drudzy rzeczywistość. Czy nie tak?

— Mogę pani coś poddać na poparcie jéj dowodów,— odezwał się Klayton, który dawno już przysłuchiwał się ich rozmowie. —

— A, niewiedziałam całkiem, że czegoś dowodzę; ale zawsze bardzo będę kontenta, jeżeli pan zechcesz za mną przemówić.

— Całém sercem, — odrzekł Kłayton. — Otóż, ja sądzę, że właśnie te książki, które najgłębszy i najtrwalszy wpływ na świat wywarły, pisane były przez ludzi, którzy wyżéj cenili rzeczywistość aniżeli książki; przez ludzi, ktorzy, jak to pani trafnie powiedziałaś, używali na pokarm tego co żyje i rośnie, zamiast suchego siana. Homer zapewne wiele nie czytał; również i poeci biblijni; a jednak to co nam po nich pozostało, będzie na wieki najbogatszém źródłem natchnienia i poezyi. Szekspir, także podobno nienależał do pilnych czytelników.

— Przyznasz jednak, — rzekła Anna, — że my zwyczajni ludzie, którzy niejesteśmy ani Homerami, ani Szekspirami, najlepiéj zrobimy, kiedy na nasz łuk podwójną naciągniemy cięciwę, i zarówno z książek, jak z rzeczywistości naukę czerpać będziemy.

— Zapewne, — odparł Klayton, — ale w takim razie trzeba umieć z książek korzystać. U wielu ludzi, czytanie jest tylko jakoby parawanem umysłowego lenistwa, którym się od konieczności myślenia zasłaniają. Są znowu inni, którzy w tym względzie podobni są do owych chudych krów Faraona; — połykają książkę po książce, a jednak mimo tego, tak chudzi są jak przedtém.

— Nasz dziadek zwykł był mawiać, — rzekła Anna, — że Biblia i Szekspier, dostateczną są dla każdéj kobiety biblioteką. —

— Co ja, to nielubię Szekspira! — zawołała Nina. — Może to zaśmiało z mojéj strony, ale przyznam się, że ja najprzód połowy nierozumiem z tego co on mówi, — a potém, że nigdy niesłyszałam ludzi tak mówiących, jak on im mówić każe, chociaż właśnie naturalność jego niektórzy pod niebiosa wynoszą. Proszę państwa, czyście słyszeli kiedy ludzi mówiących miarowym wierszem, wśród któregoby się błąkało tu i owdzie kilka wierszy rymowanych, jak to czynią zwykle jego osoby w rozwlekłych swoich rozmowach? No, powiedzcie mi szczerze, czyście kiedy coś podobnego słyszeli?

— Jest to poniekąd prawda, — odrzekł Klayton. — Język Szekspira ma się w takim stosunku do języka rzeczywistości, w jakim się ma naprzykład akcya w operze, do rzeczywistego życia. I tak, jest to zupełnie wbrew naturze, kiedy Norma dowiedziawszy się o przeniewierstwie swego małżonka, poczyna śpiewać aryą, — a jednak aprobujesz to pani w operze. Uznawszy to raz za dobre, resztę znajdziesz już pani bardzo naturalną, — do czego wdzięk muzyki niemało się przyczynia. Tak samo się ma z Szekspirem; — jeżeli pani raz przyjmiesz za zasadę, że dramat jest poematem, i że ludzie w poetyczném uniesieniu wiązaną mową przemawiać mogą, język jego wyda się pani całkiem naturalnym.

— Ależ kiedy ja w bardzo wielu miejscach Szekspira zrozumieć nie mogę!

— Bo wiele wyrazów i zwrotów zmieniło się od tego czasu jak on pisał, — rzekł Klayton. — Robi on tyle

alluzyj do przeszłości, do zwyczajów które już całkiem zapomniane zostały, że, aby rozumieć Szekspira, musiałabyś się pani wprzód jego języka nauczyć. Gdybyś pani miała naprzykład przed sobą powieść w obcym języku, którego nieznasz, czyż mogłabyś pani sądzić o tém czy ci się podoba, zanimbyś się owego języka nauczyła?— Owszem ja przekonany jestem, że Szekspir bardzoby się pani podobał. —

— Dla czego pan tak myślisz?

— Ja to widzę w pani, jak rzeźbiarz widzi posąg w bryle marmuru.

— A czy pan masz zamiar ów posąg z téj bryły wydobyć?

— Jeżeli pani tylko pozwolisz, — odparł Klayton.— Niemniéj jednak dla tego lubię szczerość, z jaką pani wypowiadasz swoje myśli. Nieraz słyszałem już damy unoszące się nad Szekspirem, najmocniéj będąc przekonany, że to były uniesienia zmyślone. Wiedziałem bowiem, że owe damy nieposiadają, ani tyle znajomości życia, ani tyle znajomości natury ludzkiéj, ażeby zdolne były ocenić to, co w nim jest prawdziwie wielkiego. One uwielbiały Szekspira, bo im się zdawało, że nieuwielbiać go byłoby bardzo nieprzyzwoicie.

— Mocno panu obowiązana jestem za tę głęboką, myśl, którą pan w mojéj bezmyślnéj paplaninie odkryłeś; zdaje mi się, że panu będę musiała dać posadę tłomacza moich głupstw na dobrą angielszczyznę.

— Pani wiesz, że tak w tém, jak i we wsystkiém, gotów zawsze jestem na jéj usługi.

W téj chwili uwagę Niny zwróciły jakieś krzyki, dochodzące od strony, w któréj stały chaty murzyńskie.

— Ty sobie ruszać precz! My tu ciebie niepotrzebować? Mis Nina niepotrzebować twoich ryb, — ona mieć dosyć Murzynów co jéj ryby łapać!

— Zdaje mi się, że mię tam ktoś woła po imieniu,— rzekła Nina, i pobiegła na drugi koniec werandy.— Tomtit! — zawołała na młodego próżniaka, który rozciągnięty na grzbiecie, z nogami podniesionemi do góry, leżał na słońcu, i czekał aż mu się noże same wychędożą. — Tomtit, powiedzno mi co się to tam dzieje?

— Ej, Boże! nic Missis! — odpowiedział Tomtit.— To tam tylko jakiś biały szubrawiec przyjść i chcieć co sprzedać. Mis Loo zawsze powiadać, że to niedobrze ich wspierać,— i ja być tego samego zdania.—

— Przyślij go tu do mnie! —rozkazującym głosem rzekła Nina, która już to z ludzkości, już to z wrodzonego ducha przekory, postanowiła w każdym razie ujmować się za białemi biedakami. Tomtit więc pobiegł, i wkrótce przyprowadził przed werandę człowieka, który łachmanami zaledwie nagość swoję pokrywał. — Policzki jego były zapadłe i blade, a postawa z jaką stanął przed Niną, obok uniżoności pełna była sromu, — i łatwo odgadnąć było można, że człowiek ten, przy większym dostatku i lepszém ubraniu, miałby wcale miłą i nieglupią powierzchowność.

— Co chcesz za twoje ryby? — zapytała go.

— Co łaska pani!

— A gdzie ty mieszkasz? — pytała daléj dobywając woreczka.

— Moja rodzina siedzi na plantacyi p. Gordona.

— Dla czego niestarasz się o lepsze utrzymanie?

Płomyk niecierpliwości mignął w oku nędzarza,— ale

niebawem ustąpił miejsca zwykłemu wyrazowi zniechęcenia i odrętwiałości.

— Nie mogę dostać ani roboty, ani pieniędzy, ani nic.

— Do stu tysięcy, — zawołał stryj John, który od jakiegoś czasu przysłuchiwał się téj rozmowie, — to musi być mąż tego biednego straszydła, które się niedawno przywałęsało na moję plantacyą. No, możesz mu dobrze zapłacić za te ryby, to im może choć o jeden dzień głodową śmierć przewleczesz.

Nina zapłaciła, i odprawiła biédaka, — a potem śmiejąc się rzekła:

— Pewna jestem, że cała moja wymowa niepotrafiłaby zniewolić Róży, żeby te ryby ugotowała na obiad.

— A to czemu nie, jakbyś jéj kazała? — rzekła ciotka Marya, zeszedłszy z werandy.

— Czemu nie? Oto temu, żeby powiedziała jak zwykle, że jéj się to niezdaje. —

— Ho, z moich sług żaden nieśmiałby się odezwać z czemś podobném! — zawołała ciotka Marya z gniewem.

— O! jabym się sama o to założyła! Ale bo téż jest wielka różnica między mojemi, a ciocinemi sługami. Słudzy pod mojemi rządami robią sobie co tylko chcą żywnie, a ja zastrzegam sobie tylko nawzajem takie samo prawo dla mojéj osoby.

— Żona i dzieci tego człowieka, zakwaterowały się na moję plantacyą, — rzekł śmiejąc się p. Gordon; — a zatem zaoszczędziłaś mi, moja Nino, tyle, ileś mu zapłaciła za ryby. —

— A tak, zapewne! — zawołała pani Gordon. — Już to jedyny człowiek z tego Gordona! Gotów sobie całą bandę téj hołoty na kark sprowadzić! —

— Ależ, na miłość Boską, cóż z niemi począć? Trudno przecież z zimną krwią patrzeć jak mrą z głodu! Gdyby stosunki społeczne inaczej zostały urządzone, toby była przynajmniej dla nich jakaś nadzieja! Wtedy musiałaby głowa mieć wzgląd na ręce; — a tak jak jest u nas, to ręce same myślą podnieść się w górę; i niewiem jak to będzie!

— Kogo stryj rozumiesz przez głowę? — zapytała Nina.

— Kogo? Juściż nas, inteligencyą! My musimy mieć nieograniczoną władzę nad klasami pracującemi, zupełnie tak jak głowa nad rękami. I do tego przyjść musi, inaczéj być niemoże! Biała robotnicza klassa, nie może sama sobie poradzić, więc oczywiście trzeba, żebyśmy o niéj radzili. — Czemże jest dla nich wolność?... Czczém słowem, — wolnością chodzenia nago i umierania z głodu. Dziwna to rzecz, jak wiele ludzie przywięzują wagi do czczych wyrazów. Pewien jestem, że ten człowiek srożyłby się i wściekał, gdybym go policzył między moich Murzynów, a jednak on i jego dzieci bardzo są szczęśliwi, kiedy mogą pozbierać resztki, które z ich stołu pospadają! — Niepojmuję doprawdy, jak ludzie rozumni mogą być tak zaślepieni, że w obec takich przykładów, kruszą jeszcze kopije, stając w szrankach przeciw niewoli! Proszę tylko porównać wolną klassę robotniczą, z naszemi niewolnikami! Wielki Boże! Cóż to za ślepota u niektórych ludzi na tym świecie! To już przechodzi granice mojéj cierpliwości, zwłaszcza przy takim upale!— I stryj John obtarł sobie rumianą twarz, białą chustką od nosa.

— Ależ, mój stryju, — rzekła Nina, — mój kochany staruszku, tyś niepodróżował tyle co ja.

— A, nie, moje dziecię. Dziękuję panu Bogu, żem kroku niezrobił po za granicę państw w których niewola jest przyjęta, i niemyślę wcale robić tego głupstwa i na potém.

— A jednak warto, żebyś zobaczył choć raz pracującą klassę na północy, — mówiła Nina. — Tam urzędnicy rozmaitych państw, są obok tego dzierżawcami i pracują wspólnie ze swoją czeladzią. Tam głowa i ręce idą razem, a niemasz tam takich wielkich głów o pięćdziesięciu rękach. I powiem ci stryju, że tam robotę inaczéj pojmują jak u nas. Przypatrz się tylko naszym pługom i bronom; to są najśmieszniejsze narzędzia, jakie kiedykolwiek widziałam! Myślę, że każde z nich waży najmniéj z dziesięć funtów.

— A oczywiście! Bo gdyby niebyły dosyć ciężkie, żeby własnym ciężarem pogłębić się w ziemię, toby nasze próżniaki Murzyny nic niemi niezrobili; — każdy z nich za południa popsułby przynajmniéj tuzin tych yankesowskich pługów.

— No, dobrze już, mój stryju, mój ty poczciwy, stary poganinie! Ale pozwól, żebym ci trochę opowiedzi ała jakto tam rzeczy stoją. Raz w czasie feryj, pojechałam z Liwią Ray do New-Hampshire; ojciec Liwii jest dzierżawcą i cały dzień pracuje ze swoją czeladzią; grzebie, kopie i sadzi, chociaż jest gubernatorem całego Stanu. Ma prześliczny folwark, na którym wszystko jak najwyborniéj jest urządzone, i który on, jego synowie i kilku najemników w lepszym utrzymują porządku, aniżeli to u nas gdziekolwiek widzieć można. Pan Raj jest bar-

dzo oczytany, ma piękną bibliotekę, i jest człowiekiem co się zowie dorzecznym. — Tam niema ani niższéj, ani wyższéj klassy; każdy zarówno pracuje, i dobrze mu z tém. Matka Liwii ma przepyszną mleczarnią i oranżeryą, które utrzymuje sama przy pomocy dwóch silnych dziewek; a w domu wszystko wygląda tak pięknie, tak czysto i cicho, jak gdyby tam nikt, nigdy, nic nierobił. To przecież zdaje mi się lepiéj, niż żeby cała klassa robotnicza miała być obrócona w niewolników, albo żeby klassy téj całkiem niebyło.

— A jakie téż to teraz mądre te młode damy! — zawołał stryj John. — Myślałby kto, że w New-Hampshire zaczyna się już królestwo niebieskie! Ale powiedzno mi moje serce jaką tam rolę odgrywają młode damy? Bo zdaje mi się coś, żeś ty tam Nino, jakoś niewiele skorzystała.

— O, owszem! Ja pracuję ciężko w moim zawodzie, który ma na celu oświecanie starych, ospałych jegomościów, którzy krokiem niewyruszyli się z kraju w którym się urodzili, i niemają najmniejszego wyobrażenia o tém, co się dzieje poza jego granicami. Ja jestem ich Missyonarzem, a to przecież niemała praca na jednę osobę.

— Ja tylko wiem tyle, — rzekła ciotka Marya, — że ja tak dobrze jestem niewolnicą, jak którykolwiek z tych białych biedaków, albo z naszych Murzynów. Pomiędzy wszystkiemi mojemi ludźmi niemasz ani jednego, oprócz mnie, któryby choć trochę chciał pomyśleć bądź o sobie, bądź o dzieciach, bądź o czémkolwiek.

— Spodziewam się, że to przecież nie do mnie przycinek? — zawołał stryj John wzruszając ramionami.

— Muszę wyznać, że ty ani odrobinę nie jesteś lepszy od drugich, — odparła niemiłosierna ciotka Marya.

— Dobryś! będę ja téż tu miał teraz za swoje! — rzekł stryj John. — Oświadczam niniejszém, że pierwszego lepszego duchownego, którego złapę w okolicy, zaproszę żeby powiedział przecie kazanie o obowiązkach żon!—

— I o obowiązkach mężów!

— O, co się tyczy tego, — zawołała Nina, — to i ja mogłabym małe przygotowawcze kazańko powiedzieć!

Nina, jak jéj się to często przytrafiało, niezastanowiła się nad tém, co miała powiedzieć. Stryj John rzucił złośliwe spojrzenie na Klaytona. Nina niemogła już słów swoich odwołać; zarumieniła się więc, i poczęła mówić dalej prędko, chcąc zmienić przedmiot rozmowy.

Pominąwszy to wszystko, sądzę jednak, że ciotka Marya musi daleko cięższą podejmować pracę aniżeli gospodynie Stanów północnych. Tam na północy panuje powszechnie takie wyobrażenie, że panie w południowych prowincyach nic niemają do roboty, tylko rozlegają się na sofach; ale ja im zawsze powiadałam, że mówią o tém jakby o żelaznym wilku.

— Zdaje się jednak, że ci te twoje kłopoty i prace nie bardzo dokuczyły, — zawołał stryj John.

— Ale mi dokuczą, stryjaszku, jeżeli mi się ty nie poprawisz. Mnie widzę przyjdzie wszystkie siły wyczerpać, żeby ciebie na wodzy utrzymać.

— Radbym,—rzekł stryj John, podnosząc brwi do góry, i filuternie spogladając na Klaytona,—radbym, żeby sobie to ktoś dobrze zanotował w pamięci.

— Koniec końców, ja zawsze jedno powiadam, — odezwała się ciotka Marya, — że bardzo byłabym kon-

tenta, żebym się raz tych Murzynów pozbyć mogła. — Czasem życie takim staje się dla mnie ciężarem, iż prawie zdaje mi się, że żyć niewarto!

— O! niemówno tak, moja mateczko! — zawołał łagodząc ją stryj John; — czyż to niemasz kochanego mężulka, który ci wszystkie troski osładza.

— A któż to tam? — zawołała Nina patrząc w aleę. — Czy to niebędzie stary Tiff ze swojemi dziećmi?

— Co to za jeden? — zapytała ciotka Marya.

— Ach, on należy do jednéj z tych ubogich rodzin, które się tu w okolicznych lasach wałęsają, — odezwała się ciotka Nesbit. — Nędzna hołota! ale Nina uwzięła się być ich opiekunką.

— Prawdziwa Gordonówna, — nieodrodna od swojéj rodziny! — rzekła ciotka Marya patrząc na Ninę która pobiegła naprzeciwko Tiffa. — Zupełnie taka jak stryj John! —

— A ja ci powiadam, moja staruszko, miéj się na baczności! — zawołał stryj John. — Czym cię niezłapał kiedyś, jakeś pakowała pełen kosz żywności dla tych samych ludzi, o których takeś się ze mną skłóciła.

— Skłóciła? Mości Gordon, ja się nie kłócę nigdy.

— Przepraszam, — wyłajałaś mię tylko.

Kobiety lubią słuchać, kiedy im kto wyrzuca ich dobroczynność; to téż ciotka Marya która niebyła tak zła jak się wydawała, usiadła z miną pełną zadowolenia i poczęła się wachlować. Tymczasem Nina pobiegłszy na koniec alei, żywo coś rozmawiała z Tiffem, poczém w złotym humorze wróciła na werandę.

— Ach, stryjaszku! będziemy mieli coś pięknego, tutaj niedaleko. Musicie państwo wszyscy jechać! Co po-

wiesz na to stryju? W okolicy, zbierają się ludzie na nabożeństwo, tylko o pięć mil ztąd. Nieprawdaż że pojedziemy tam wszyscy?

— A dla czegóżby nie? — zawołał stryj John, ja zaraz zapisuję się pod twoję chorągiew; mam ochotę się poprawić, — bo ja zawsze gotów jestem do poprawy, ile razy ktoś ma ochotę mnie nawracać.

— Z tobą stryju, bo to jest najgorsza rzecz, że nigdy niechcesz wytrwać w poprawie! Ty jesteś zupełnie podobny do owych wielkich, ciężkich ryb, które prędko i ostro chwytają za wędkę, ale zanim cię kto potrafi na brzeg wyciągnąć, trzepniesz się, szarpniesz, i znowu zanurzasz się w wodzie, — to jest zapadasz w stare swoje grzechy!

Jeszcze jakiś czas potem przedłużała się rozmowa w tym samym tonie wesołym i żartobliwym, bo połączone usiłowania Niny i jéj stryja, wszystkich, nawet ciotkę Nesbit w wyborny humór wprawiły, aż nareszcie zakończył ją master Gordon, kwestyą jutrzejszéj jazdy rozstrzygając głośnym wykrzyknikiem:

— Uchwalono! i przyjęto!

Rozdział V.

PRZYGOTOWANIA TIFFA.

Wiadomość o mającém się odbyć nabożeństwie, sprawiła wielki ruch w Kanemie, nietylko w salonie, ale i w dalszych kółkach. Między służącemi, począwszy od ciotki Katy, aż do Tomtita, wszystko wyłącznie i jedynie tym ważnym wypadkiem było zajęte. Kobiety mianowicie, przygotowywały swoje stroje, bo zgromadzenie takie dla Murzynów jest tém samém, co eleganckie nabożeństwo w modnym kościele dla mieszkańców miasta. —

Zanim Tiff, który pierwszy tę wiadomość przyniósł na plantacyą, miał czas odjechać, już Tomtit donośnym głosem roztrąbił ją po wszystkich chatach murzyńskich, położonych po prawéj stronie pańskiego mieszkania, dodając zarazem, że Mis Nina wszystkim Murzynom na nabożeństwo pójść pozwala. Naraz więc Tiff znalazł się otoczony grupą Murzynek, pomiędzy któremi Róża kucharka prym trzymała.

— O! Tiff, ty odjeżdżać? — zapyłała go pierwsza, — i swoje dzieci ze sobą zabierać? Ha, ha, ha! Mis Fanny, doprawdy, myślałby kto, że Tiff być wasza mama! Ha, ha, ha!

— Ha, ha, ha! Zabrzmiał ze wszystkich stron głośny śmiech, jako komplement dla dowcipu ciotki Róży, a Tomtit, który się do grupy przyłączył, wyrzucił do góry jakieś nieszczęśliwe resztki kapelusza, i począł je potém podbijać do góry nogami, w uniesieniu radości zapomniawszy o porzuconych nożach. Stary Tiff, który wielką wagę przywięzywał do urzędów i godności, nieomieszkał był ciotce Róży szczególniejszych okazywać względów, przywożąc jéj tedy owdy jaki podarunek, przez co skarbił sobie jéj przychylność. Tą razą przywiózł jéj trochę zapasów do śpiżarni, których mu jego ogród dostarczył, i parę młodych kuropatew, których mu się całe gniazdo schwytać udało. Za pomocą téj polityki, Tiff stanął w jéj łaskach tak wysoko, jak sobie tylko życzyć można było, i nieraz ciotka Róża sporządziła dlań potajemnie jaki przysmaczek, a prócz tego udzielała mu wybornych rad, jak bez mamki wychowywać i karmić małe dzieci.

Stary Stólatek, tak jak wszyscy jemu podobni, czuł to dobrze, że przez takie zwrócenie powszechnéj uwagi na inną znakomitość, własna jego godność wielki szwank ponosi, patrzał więc zazdrosném okiem na przychylność okazywaną dla Tiffa. Nareszcie zbliżył się, — a jako był złośliwy człowiek, wymierzył zaraz pocisk na Tiffa, odzywając się na głos do swojéj żony:

— Ja się bardzo dziwić Róża! Ty być kucharka Gor-

donów, a tak się pospolitować, tak się poufalić z Murzynami białych biedaków.

Gdyby ta zaczepka była się jego tylko samego dotyczyła, byłby zapewne Tiff tylko wesoło zakrakał i serdecznie się rozśmiał, jak zwykł był robić, kiedy go naprzykład oblał niespodzianie zimny strumień deszczu; ale tutaj naruszone zostały jego familijne związki, więc oczy jego zabłysły przez okulary, jak płomień na kominku przez okna.

— Tylko sobie ty być cicho i niegadać o rzeczach, których nierozumieć! Radbym wiedzieć co ty rozumieć, co to być stare wirgińskie familie? To być prawdziwe stare familie, — a wy tu w Karolinie dopiero od nich pochodzić! Gordonowie piękna familia, — ja nic niemówić przeciw Gordonom, — ale gdzie ty urosnąć taki duży, że ty niesłyszeć o Peytonach? Czyż jenerał Peyton niejeździć zawsze sześcioma końmi, jakby być królem? A niebyć tam ani jednego konia, któryby niemieć tak długiego ogona jak moja ręka. Ty nigdy w życiu niewidzieć takich koni!

— Ja niewidzieć? Ja? — wrzasnął Stólatek ugodzony w najdotkliwszą stronę.— Niech mię Bóg skarać, jeżeli ja niewidzieć codzień Gordonów ośmią koni jeździć!

— No, no, cicho być! — odezwała się ciotka Róża, która miała swoje powody, dla których stawała po stronie Tiffa; — tak dużo niebyć. — Nikt ośmią koni nie jeździć.

— A kiedy jeździć! A jak ty będzie jeszcze co gadać, to ja z ośmiu zrobić szesnaście! A, mój Boże, jak też to te stare Murzyny kłamać! Oni zawsze przesadzać, jak tylko mówić o swoich familiach. Mnie wszystkie wło-

sy stawać na głowie, jak ja słyszeć tych Murzynów tak mówić!

— Ty myśleć, że każdy wdzierać się w twoje rzemiosło, kiedy zacząć kłamać, — rzekł Tiff. Ale ja tak zrobić każdemu, kto mi gadać cokolwiek na Peytonów!

— Ależ na Boga, — te dzieci niebyć Peytony, tylko Krippsy! A radbym wiedzieć, kto słyszeć co kiedy o Krippsach! Idź, idź! Ty niegadać mi o Krippsach! To być biali biedacy! — To każdy po nich módz poznać!

— Ty iść precz! — krzyknął Tiff. — Ja niewierzyć, żeby ty się być urodzić na gordonowskiéj plantacyi, bo ty nieumieć z ludźmi się obchodzić. Ja domyślać się, że ty być stary, parszywy Murzyn, którego pułkownik Gordon musieć wziąść w długu od jednéj z tych nikczemnych rodzin tenessyjskich, które nawet niewiedzieć co zrobić z pieniędzmi, jeśli mieć pieniądze. Ci wszyscy Murzyni, to być najpodlejszego gatunku. Bo prawdziwi Gordonowscy Murzyni, to być wszyscy jeden w drugiego grzeczne damy i panowie! — Tym ostatnim komplementem Tiff, jako zręczny mowca, zjednał sobie całe publikum.

Rozległ się śmiech powszechny, pod którego opieką Tiff popędził konia i odjechał w tryumfie.

— Ty stary, bezwstydny Murzynie, — ofuknęła Róża swojego małżonka, — ja myśleć że ty kiedy dobrze dostać za swoje! Ty być najnieznośniejszy Murzyn, jakiego ja widzieć kiedykolwiek! — A ty Tomtit ruszać noże chędożyć, jeżeli niechcieć dostać małe napomnienie! — I to mówiąc, zrobiła ręką giest bardzo wyrazisty. —

Tymczasem Tiff uspokoił się zupełnie, i wróciwszy do zwykłego humoru, począł popędzać coraz daléj jednookiego konia, — przyczém śpiewał z różnemi waryacyami:

„Ja iść do kraju Kanaan.“

Naraz Mis Fanny, jak ją zawsze nazywał, przerwała mu trudném zapytaniem:

— Wuju Tiff, gdzie to jest ten kraj Kanaan?

— Bóg z tobą dziecię! jaby to sam rad wiedzieć!

— Czy to jest niebo? — pytała daléj dziewczyna.

— No, ja tak myśleć, — odparł Tiff głosem niepewnym.

— Czy ono jest pod ziemią?

— A! nie, moje dziecię! ha, ha, ha! — zaśmiał się Tiff; — pod ziemią?

— A czyż mama nie tam poszła? pod ziemię?

— O, nie, moje dziecię! — Niebo tam być u góry; — rzekł Tiff wznosząc rękę ku lazurowemu sklepieniu, co nad niemi pomiędzy sosnami przeglądało.

— A czy jest gdzie jaka drabina albo schody, żeby po nich wejść tam można? Albo może trzeba iść aż tam gdzie się niebo z ziemią styka, i dopiero ztamtąd do góry? A może tam po tęczy piąć się trzeba?

— Ja niewiedzieć, moje dziecię, jak to zrobić, — rzekł na to poczciwy Tiff,— ale to pewna, że się tam któredyś wchodzić. Ja¦ się już nieraz chcieć tego dowiedzieć, ja naumyślnie po to chodzić na nabożeństwa, ale nic się niedowiedzieć. Tam o wszystkiém byli mówić, tylko o tém nie. Trzeba być bardzo uczonym, żeby ta-

kie rzeczy rozumieć, a ja się niczego niebył uczyć. Ja tego niewiedzieć, ale Pan Bóg wiedzieć. On się mamie przed śmiercią ukazać i wziąść ją ze sobą. Ale ja was teraz będę pięknie ubrać, i Tedda też, i małego też, i ja was wziąść ze sobą na nabożeństwo, żeby wy zawczasu nauczyć się Bogu służyć.

— Tiff, gdyby ci to niezrobiło przykrości, to ja wolałabym niejechać, — rzekła Fanny bojaźliwym głosem.

— O, Bòg z wami, Mis Fanny; dla czego nie?

— Najprzód, że tam będzie dużo ludzi, a jabym niechciała, żeby nas widzieli.

Prawdę powiedziawszy, dowcipne uwagi Róży o macierzyństwie Tiffa i szyderstwa Stólatka, boleśnie dotknęły biedną Fanny. Z natury dumna i niezmiernie lękająca się śmieszności, miała wstręt do pokazywania się ludziom, zwłaszcza na większych zgromadzeniach, ale za nic w świecie, niechciałaby była staremu swemu przyjacielowi wyjawić powodów tego wstrętu. Lecz bystre oko Tiffa w jednéj chwili zrozumiało wyraz twarzy dziecięcia; ale myliłby się ten, ktoby myślał, że spostrzeżenie to zraniło serce tego wiernego sługi. Owszem ucieszyło go to niezmiernie, tak, że jakiś czas jechał w milczeniu, trzymając się aż za boki, od cichego wewnętrznego śmiechu, aż mu się łzy z ócz puściły.

— Co tobie, wuju Tiff? — zapytała Fanny.

— O, Mis Fanny, Tiff już wiedzieć! Tiff wiedzieć, dla czego wy niechcieć jechać na nabożeństwo. Tiff to widzieć z waszéj twarzy. Ha, ha, ha! Wy się bać, żeby ludzie Tiffa nie wziąść za waszą mamę; Tak, tak! ha, ha, ha! Za waszą mamę! I za mamę Tedda i tego malutkiego! Bóg z wami! Czy ja też to na to wyglądać?

Czyż to zresztą ludzie niewidzieć, że wy być urodzona na damę, z takiemi bielutkiemi rączkami? Wy się niepotrzebować bać o to, Mis Fanny!

— Ja wiem że to śmiesznie, — rzekła Fanny, — ale niemogę tego znieść, kiedy nas białemi biedakami nazywają. —

— O, moje dziecię, — to tak tylko czynić ordynaryjni Murzyni. Mis Nina zawsze być dla was dobra, nie prawdaż? Ona tak pięknie z wami mówić! Trzeba żeby wy na to dobrze uważać, i tak mówić jak Mis Nina. Ja się obawiać, jak wasza mama umrzeć, żeby wy nieprzejąć mojéj murzyńskiéj mowy. Wy sobie przypominać, że ona tak niebyła mówić jak Tiff, bo młode damy i panowie, niepowinni tak mówić jak Murzyni.— Mis Nina, to pięknie mówić, — jéj tak gładko słówko za słówkiem z ust wychodzić, aż miło. — Ona mi była przyrzeknąć, odwiedzać nas tutaj czasami; wtedy wy musieć także uważać jak ona chodzić i jak trzymać chustkę od nosa. A jak wy siadać, to wy zawsze rozrzucić trochę koło siebie swoję suknią; damy tak zawsze robić. Wy nigdy nieuważać jak siadać ubodzy ludzie biali; oni tak wpadać w krzesło, jak nóż we futerał, a suknie tak umiąć i przysiąść zawsze. A kiedy wy nierozumieć co ludzie do was mówić, to nietrzeba boczyć się, jak te biedne białe dzieci i pytać: „Co?“ — tylko trzeba powiedzieć: „Racz pan darować,“ — albo: „Racz pani darować.“— A potém i wy i Teddy musieć uczyć się na książce, — bo jak wy czytać nieumieć, to z pewnością ludzie powiedzieć, że wy być białe biedaki. — Wy wszystko to musieć robić, co ja powiadać; — bo uważacie: gdyby wy naprawdę być tylko białe biedaki,

toby to wszystko być napróżno, wyby tego wszystkiego niepotrafić, chociażby chcieć; ale wy to mieć już w sobie, bo wy do tego być urodzeni, to być już u was we krwi, — a co być we krwi, to musieć wyjść na jaw. Ha, ha, ha!

I śmiechem zakończywszy swoję prelekcyą, Tiff w sam raz zatrzymał konia przed domem.

A miał on jeszcze przed sobą nielada robotę, — bo trzeba było porobić wszelkie przygotowania na ośmiodniową wyprawę. — Trzeba było pole zbronować, pietruszkę wyplewić, i młode kuropatewki opatrzyć. Te ostatnie po długim namyśle, postanowił nareszcie wziąść ze sobą w koszyku, spodziewając się, że w czasie przestanków wśród nabożeństwa, będzie je mógł nakarmić i dojrzeć.

Potem zajrzał do swoich sideł, i znalazł w nich tłustego królika, który główną ozdobę jego wiktuałów miał stanowić. Przytem Tiff miał zawsze znakomite zapasy jarzyn, a mianowicie cebuli, było więc czém pieczyste przyprawić. Oprócz tego, trzeba jeszcze było przejrzeć sukienki Tedda, wyprać je i wyprasować; maleńki także musiał być ubrany odpowiednio do godności swego imienia, a raczéj do godności imienia swego dziada. Jednak mimo tego, że tyle kłopotów na nim ciężyło, poczciwy Tiff był jednak żwawszy jeszcze i weselszy niż zwykle.

Dzień był gorący, postanowił zatem wziąść się do prania na wolném powietrzu. Zapalił ogień który wkrótce niedaleko od mieszkania wesoło zabłysnął, zawiesił nad nim kociołek, i zabrał się tymczasem do innéj roboty. Drzewo sosnowe, które niebyło całkiem suche,

wypłatało mu złośliwego figla, jak to umie czasami drzewo sosnowe. Dopóki stał przy niém, syczało i trzaskało żwawo, ale zaledwie się odwrócił, żeby obejrzeć swoje paści, zagasło, i w osmolonych łupkach spokojnie leżało.

— Wuju Tiff! Ogień zagasł! zawołał Teddy.

— Ho, ho, ho! — A to dziwna rzecz!—Wszelki duch Pana Boga chwalić! Drzewo tak pięknie się zająć i taki ładny być ogień. Aha! to słońce niechcieć patrzeć na ogień; — ogień zawsze gasnąć kiedy słońce spojrzeć na niego. To dziwna rzecz być, ale ja to nieraz już widzieć! No, ja teraz chróstu podłożyć jeszcze raz, i musi być dobrze! — Ha, ha, ha! — począł się śmiać Tiff,— to tak zupełnie być jak niektórzy ludzie: — jak na nich patrzeć, to oni zdawać się świecić i błyszczeć jak ogień, a jak myśleć że ich nikt niewidzieć, to być czarni jak węgiel.

Rozdział VI.

ZGROMADZENIE POBOŻNE.

Zgromadzenia pobożne, czyli tak zwane *Campmeetingi*, są nader charakterystycznym rysem religijnego życia południowych Zjednoczonych Stanów, i odpowiadają wybornie ogromnéj rozległości kraju, i pierwotnym zwyczajom tamtejszym, które nieliczna ludność stale zachowuje. Nie jednakie powody skłaniają wiernych do uczestnictwa w takich zgromadzeniach; jedni bowiem idą tam z czystéj ciekawości, drudzy goniąc za wrażeniami, inni znów po to, żeby kilka pensów zarobić, inni wreszcie żeby się pomodlić. Ale ponieważ ścieżka wiodąca do nieba jest wązka i cierniami usłana, więc też liczba prawdziwie pobożnych znaczną tutaj mniejszość stanowi.

Niemożemy w inny sposób lepszego dać wyobrażenia czytelnikom naszym o przyczynach które ściągają wiernych na takie nabożeństwa, jak prosząc go, aby zechciał przejść się z nami i obejrzeć zajęcia i czynności niektórych członków pobożnego zgromadzenia.

Między gruntami Johna Gordon a Kanemą, stała chata drewniana, w któréj Abijah Stinkflint, miał swój sklep. Sklep ten w oczach sąsiadów był bardzo podejrzany, gdyż uważano, że Abijah w zbyt ścisłych zostawał stosunkach z Murzynami, i że między przedmiotami które wystawiał na sprzedaż, było wiele takich, które w nocy na drodze kradzieży przechodziły w jego posiadanie; dowieść jednak niemożna mu było niczego.

Abijah był to długi, chudy, suchy, wyżółkły, ale przebiegły człowiek, z zakrzywionym nosem, bystremi oczami, z brodą śpiczastą, i palcami długiemi a cienkiemi jak szpony ptasie. Skórę miał tak wyschniętą, iż zdawało się że musi popękać za każdą razą gdy się rozśmiał albo przemówił; — w ustach ciągle prymkę przeżuwał. Abijah był to jeden z tych przemądrych Yankesów, którzy ojczyznę swoję na wielki jéj pożytek opuszczają, ale gdziekolwiek osiędą, rozwijają wrodzoną sobie cnotę gospodarności w sposób tak śmieszny, że usprawiedliwiają przez to zupełnie wstręt, jakim mieszkańcy południowi w ogóle przejęci są ku Yankesom.

Abijah pijał i sam swoję wódkę, ale rozsądnie, to jest jak sam powiadał, nigdy niepił tyle, żeby niewiedział co robi. Miał on żonę, która także była córką tego samego co i on kraju, i także pijała wódkę, ale już nie tak rozsądnie jak mąż, i dla tego często przytrafiało się, że niewiedziała co robiła. Zacne to stadło cieszyło się znakomitą liczbą rozpustnych, białowłosych synów i córek. Pomimo tych i innych domowych praktyk, Abijah niespuszczał nigdy z oka głównego zadania swego życia, które zasadzało się na zbieraniu jak najwięcéj pieniędzy.

Za pieniądze, gotów on był wszystko zrobić; byłby sprzedał własną żonę, własne dzieci, a nawet własną duszę, gdyby ją był miał. Jeżeli jednak posiadał rzeczywiście ten ostatni artykuł, to musiał on być u niego tak mały i skurczony, że się zapewnie jak wyschnięty groch w łupinę, w wychudłém jego ciele telepał. —

Dwa całkiem odmienne powody skłoniły Abijaha, że się udał na zgromadzenie; najprzód, naturalnie, chciał tam coś zarobić, — a potem, chciał się przekonać, czy ulubiony jego kaznodzieja, ojciec Stringfellow, będzie mówił zgodnie z jego wyobrażeniami. Bo Abijah był bardzo zamiłowany w teologii i pięć głównych zasad Kalwinizmu umiał bez zająknienia na palcach wyliczyć.

Powiadają, że diabli wierzą i drżą. Główna różnica między niemi a Abijahem polegała na tém, że on wierzył, ale niedrżał. Najoczywistsze prawdy, zdolne ziemią zatrząść i słońce zaćmić, umiał on zręcznie usuwać na stronę, z taką obojętnością i krwią zimną, z jaką anatom kości od ciała odłącza.

— Słuchaj Sam, — rzekł Abijah do jedynego swego niewolnika, — postaw mi beczkę dobrze, żeby mi się niestoczyła, — a wléj tam do niéj pełne wiadro wody, bo jak za mocny trunek, to i niezdrowy. —Mis Stinkflint, spiesz się, bo niebędę czekał na ciebie. Niech sobie tam robi co kto chce, ale ja muszę być zawczasu na swojém miejscu. Nieprzybywszy na czas, można stracić niejeden dolar. Daléj, Mościa pani!

— Ja jestem gotowa, ale Polly jeszcze nie, — odrzekła Mrs. Stinkflint. — Jeszcze się ma uczesać.

— No, to ja niemogę na nią czekać! — zawołał Abijah wyszedł z domu, chcąc siąść na wóz, który stał już

wyładowany znakomitym zapasem szynek, jaj, pieczonych kur, mąki, zielonych jarzyn, i wspomnianą już beczką whiskeju.

— Powiadam ci, żebyś czekał! słyszysz? — krzyknęła na niego Polly przez okno; — bo jak nie, to ja ci tu dam jak wrócisz, — zobaczysz! Niech padnę, jeżeli tego niepożałujesz!

— No, to się zwijaj prędko, rozumiesz! A pamiętaj, że przy pierwszéj okazyi, to cię na całą noc zamknę tam na górze, żebyś miała czas wystroić się!

Polly wtłoczyła tłustą swoję kibić w czerwoną perkalową suknią, pochwyciła pstry szal letni i wybiegłszy z kapeluszem w ręku, siadła na wóz; ale kiedy się schyliła przy wsiadaniu, wszystkie haftki u sukni pękły jéj naraz i rozleciały się na różne strony.

— Co ja teraz poczne u djabła! — zaczęła narzekać. — Suknia mi się ze wszystkiém rozlazła na plecach!

— Z wami dziewczęta, to zawsze taka głupia robota, — pocieszał ją Abijah.

— Zapnij szpilką Polly, — odezwała się matka obojętnie.

— Idź do djabła, stara babo! Mnie wszytkie haftki popękały! — odparła pełna nadziei młoda dama.

— To weź więcéj szpilek! — rzekła mama, i wóz ruszył z miejsca. —

Na granicy bagien, niezbyt daleko od chaty Tiffa, mieszkał Ben Dakin. Ben, był to sławny myśliwy na Murzynów, i miał najlepszą sforę psów, na trzydzieści mil do koła. Jego ogłoszenia, które jeszcze dziś po gazetach czytać można, z największą dokładnością wymieniają warunki, pod jakiemi on podejmował się wy-

tropić i schwytać mężczyznę, kobietę, lub dziecko, które przed niewolą i pracą uciekło.

Niech sobie jednak czytelnik niewystawia, że Ben był jakiemś okropném straszydłem. Był to wysoki, barczysty, wesołéj powierzchowności mężczyzna, gotów zawsze do każdéj sąsiedzkiéj usługi; — czasem tylko nadużywał nieco gorących napojów, co sam do siebie wiedział; ale przytém wszystkiém miał on takie same pretensye do oglądania królestwa niebieskiego, jak każden z tych, którzy brali udział w zgromadzeniach pobożnych. Gdy mu kto odważył się robić jakie przedstawienia, odnoszące się do jego rzemiosła, to bronił się temi samemi dowodami, jakie przytaczają dzisiejsi teologowie południowych Stanów Zjednoczonych, na usprawiedliwienie ustawy, w skutku któréj rzemiosło to powstało. — Zresztą Ben należał do tych ciekawych ludzi, którzy zawsze muszą wiedzieć, co się dzieje w całéj gminie, — a na pobożnych zgromadzeniach był zawsze jednym z pierwszych gdzie téż z powodu donośnego głosu, niepospotitą rolę w czasie chóralnych śpiewów odgrywał.

Po każdém takiém zgromadzeniu, regularnie obiecywał i postanawiał się poprawić, — ale zanim rok minął, w skutek owego nadużywania gorących napojów, zawsze wpadał napowrót w stare grzéchy.

Jak wielu silnych, dobrze zbudowanych mężczyzn, miał on małą, bladą, przeźroczystą prawie żonę, która zwykle, niby próżny worek u jego ramienia wisiała, i trzeba mu oddać sprawiedliwość, że obchodził się z nią bardzo łagodnie, jak gdyby był przekonany że on całą jéj żywotną siłę w siebie zabsorbował. Głównym jéj

zajęciem było śpiewanie metodystowskich pieśni i zabiegi około zbawienia duszy Bena.

Rankiem owego dnia o którym wspomnieliśmy wyżéj, maleńka ta kobiecina siedziała cierpliwie, jakby nieważając, że dwuletnie, barczyste, z grubą kością i białym kołtunowatym włosem dziecko, ciągnęło ją za uszy, targało za włosy i dręczyło na wszelki możliwy sposób, żeby ją zmusić, aby wstała i dała mu kawałek chleba z syrupem. Nic niepomagało, — ona siedziała spokojnie, i z powagą słuchała co jéj mąż mówił.

— Dobrze by to wszystko było, gdybym niemiał takich pilnych interesów! Ale oto właśnie mam tropić Murzynów Jamesa i Polly Smitha.

— Ach, Ben! Przedewszystkiém o zbawieniu twéj duszy myśleć powinieneś!

— No, zapewne; prawda i to, — rzekł Ben; — nie codzień miewamy nabożeństwo! ale cóż z tą zrobimy?

I wskazał na drzwi przyległego pokoju.

Osobą o któréj mówił, nie kto inny był tylko Murzynka, którą psy wytropiły dniem pierwéj. Nansy było jéj na imie.

— Wielkie rzeczy — odrzekła kobieta, — damy jéj jeść, i psy przy drzwiach zostawimy, a pewnie nie ucieknie.

Ben otworzył drzwi, przez które można było dojrzeć rodzaj niskiéj skrzyni, do któréj tyle tylko wpadało światła, ile się go przez szpary między deskami wcisnąć mogło. Na podłodze, którą tworzyła twardo ubita ziemia, siedziała chuda, muszkularna Murzynka, która objąwszy rękoma podniesione do góry kolana, wspierała na nich kościstą brodę.

— Jak się masz Nansy? — zapytał Ben.

— Źle, Massa, — odpowiedziała kobieta smutnym głosem.

— Czy myślisz, Nansy, że cię twój pan wybije, jak cię napowrót w ręce dostanie?

— Ja myśleć, że on tak zrobić, — rzekła Nansy;— on zawsze tak robić!

— No, widzisz Nansy, ja i moja stara chcemy iść na pobożne zebranie, więc ja ci coś powiem: siedź tu przez ten czas spokojnie, a ja za to wymogę przyrzeczenie na twoim starym, że cię katować niebędzie; choćby mi przyszło coś mu tam za to opuścić. No, tak będzie dobrze, nieprawdaż?

— Tak, Massa, — odrzekła kobieta tym samym pokornym głosem.

— Czy cię noga bardzo boli? — pytał znowu Ben.

— Tak, Massa.

— Pokaż no mi ją.

Kobieta wyciągnęła ku niemu nogę, owiniętą z lekka, starą, krwią przesiąkniętą szmatą.

— A to szelma nie pies! — zawołał Ben. — Żebyś była spokojnie stała Nansy, toby cię był tak bardzo nieskaleczył.

— Mój Boże! Mnie tak boleć było, że ja niemódz spokojnie stać! — skarżyła się biedna kobieta. — To nienaturalnie być, żeby człowiek mógł stać spokojnie, z psiemi zębami w nodze!

— No, no, prawda i to, — rzekł Ben pobłażliwym tonem. — Pójdź jeno tutaj Mis Dakin, obwiąż nogę téj kobiecie. A ty, czy tam będziesz cicho? — krzyknął na małego lubownika chleba z syrupem, który pożarł-

szy jednę, całą siłą płuc swoich domagał się drugiéj edycyi. —

Niedługo potém wózek Bena był już w drodze. Ben chwycił żwawo lejce, odrzucił głowę w tył, i wciągnąwszy w siebie massę powietrza, żeby więcéj siły nadać swoim płucom, na skoczną nótę począł śpiewać nabożną pieśń, która się tak zaczynała:

„Czyliż jam nie rycerz Krzyża,
„Nie idęż w Baranka ślady?...“

Była to jedna z ulubionych pieśni Bena. —

Teraz przejdziemy w pobliże, do chaty Tiffa, któréj mieszkańcy wczesnym już rankiem byli na nogach.—

Wóz Tiffa, był to szczególniejszy sprzęt, który twórczéj sile i zręczności swego właściciela zawdzięczał swoję exystencyą. Wasąg jego stanowiła stara długa skrzynia z towarów, — koła najrozmaitszego rodzaju, poznosił był Kripps różnemi czasami do domu, — dyszel składał się z cykoryowego drąga, który na jednym końcu był zastrugany, i gwoździmi do skrzyni przybity. Kilka fiszbinowych prętów, w kabłąk wygiętych i przymocowanych do skrzyni, a obciągniętych grubą, białą, bawełnianą materyą, stanowiło przykrycie, a miejsce siedzenia zastępowała massa mierzwy, obficie w skrzynię narzuconéj. Uprząż całą składał jeden postronek, którym chuda, jednooka szkapa, przywięzywana bywała do dyszla.

Jakkolwiek dziwaczny to był ekwipaż, jednak pewnie żaden milioner nie cieszył się tak nigdy swoim eleganckim i miękko wysłanym pojazdem, jak Tiff swoim wozem. Bo on był dziełem rąk jego, spełnieniem życzeń jego

serca, pociechą i radością jego oczu, chociaż jak wszystkie dzieła rąk śmiertelnych, niebył wolny od pewnych błędów i niedostatków. Zdarzało się czasami, że koła spadały, że się dyszel łamał, albo uprząż się rwała,— ale Tiff przygotowany był na wszystkie tego rodzaju wypadki, zeskakiwał zaraz i naprawiał szkodę z takim zapałem, iż zdawało się, że właśnie przez to, zaprząg jego, tém milszym mu się stawał.

I oto wóz stoi przede drzwiami chatki, a Tiff, Fanny i Teddy biegają skrzętnie tam i nazad, pakując wszystko i przyrządzając na drogę. Przedewszystkiém miano staranie o kolebce; w skutek rady ciotki Róży, Tiff zrobił był w niéj pewne ulepszenie, które wedle jego mniemania, uczyniło ją już całkiem do innych kolebek podobną. Ulepszenie to zasadzało się na tém, że na jednym jéj końcu przymocował giętką gałąskę cykoryową, która akurat zwieszała się po nad głowę dziecięcia; — na téj gałązce zawieszony był dopiero kawałek solonej wieprzowiny, którą potomek znakomitéj rodziny ssał z wielkiem zadowoleniem. Róża przyrząd ten doradziła Tiffowi w nader tajemniczym tonie, utrzymując, że tym sposobem dziecko zapomina o zmarłéj matce, za którą zawsze wprzeciwnym razie trapiłby je pewien rodzaj tęschnoty, bardzo jego zdrowiu szkodliwéj. —

Chociaż zanosiło się na wielki upał, jednak Tiff ubrał się w swój długi biały surdut, bo reszta ubioru jego była w tak smutnym stanie, że w żaden sposób niemogła zrobić honoru rodzinie, do któréj należał. Na białym pilśniowym kapeluszu miał jeszcze czarną krepową opaskę.

— A, to prześliczny dzień, Bogu dzięki! — rzekł.— Zdawać się, że ptaki gardła sobie porozdzierać, tak

chwalić Pana! To być dobry przykład dla nas. Wy widzieć, Mis Fanny, że ptaki nigdy nieszemrać, i niewygadywać na deszcz ani na słońce; one zawsze chwalić Pana. Mój Boże! to tak zupełnie się wydawać, jak gdyby zwierzęta lepsze być niż my!

Tak gaworząc wziął na ramię potężny wór żyta, i chciał go na wóz wrzucić; ale nieszczęśliwie mu poszło, bo worek ześliznął się bokiem i spadł na ziemię; a że był już dosyć podeszłego wieku, więc rozdarł się w skutek silnego uderzenia i ziarno posypało się w piasek. Na ten widok Fanny i Teddy zaczęli głośno narzekać, ale Tiff chwycił się tylko pod boki i śmiał się, aż mu łzy po twarzy spadały.

— He, he, he! Ha, ha, ha! To być jedyny worek jaki my mieć. — I wszystko ziarno wysypać się w piasek! Ha, ha, ha! To śmieszna rzecz!

— Ale cóż ty teraz zrobisz? — zapytała go Fanny strapiona.

— Oh, Mis Fanny naturalnie ja musieć coś zrobić! Aha, ja już wiedzieć! Ja będę wziąść na to jedną skrzyneczkę!

Jakoż niebawem przyniósł sprzęt o którym mówił, ale pokazało się, że się na wóz niezmieści. Mimo tego Tiff wsypał doń zboże, a dobywszy igły i naparstka, poważnie wziął się do załatania dziury, poczém znów ziarno przeszło napowrót do sporządzonego worka.

Oprócz zapasów na własny użytek przeznaczonych, przezorny Tiff wziął jeszcze na wóz znaczną ilość różnych ogrodowizn, które spodziewał się sprzedać, i tym sposobem kilka pensów dla dzieci uzbierać. — Prowianty jego wyglądały tak wspaniale, że nawet zepsute podnie-

bienie podrażnićby były mogły; były tam bowiem szpikowane kurczęta, wyżéj wspomniany królik, wiązka świeżych jarzyn, przepyszna sałata, cebula, rzodkiewka i groch zielony. —

— Ja wam coś powiedzieć, dzieci, — rzekł wesoło Tiff spoglądając na te swoje bogactwa, — będziemy żyć jak książęta! Tylko wy pamiętać, żeby wy mnie rozkazywać głośno i wyraźnie; — bo na co się to zdać mieć Murzyna, kiedy nikt o tém niewiedzieć?

Gdy nareszcie wszystko należycie urządził, wsiadł na wóz i wesoło ruszył z miejsca.

W punkcie gdzie się drogi krzyżowały, Tiff obejrzał się, i spostrzegł zbliżający się z przeciwnéj strony pojazd gordonowski, którym powoził sam Stólatek, w najpiękniejszéj jaką miał fałdowanéj koszuli, w białych rękawiczkach i ze złotą taśmą na kapeluszu. Jeżeli w sercu Tiffa odezwało się kiedy coś nakształt zazdrości, to zapewne najmocniéj tą razą; — pocieszał się tylko tą myślą, że jego familija, mimo wszelkich pozorów ubóstwa, równie starożytną i znakomitą była jak rodzina Gordonów. Osłonięty więc wewnętrznem o swéj godności przekonaniem, podciął konia z miną, która zdawała się mówić: „Mniejsza tam o te pozory!“ —

Nieszczęście chciało, że właśnie w téj chwili biedna szkapa podskoczyła tak niefortunnie, że gwoździe któremi dyszel był przymocowany do wasąga puściły, i drąg cykoryowy upadł na ziemię; w skutek tego wypadku, uprząż także całkiem się zbakierowała, a tu jakby na złość, Stólatek właśnie nadjechał z powozem.

— Ja by wprzód wszystko potłuc na kawałki, niżby ja jechać takim furgonem! — zawołał Stólatek wzgar-

dliwie. — Jeżeli to niewyglądać zupełnie jak białe biedaki, to ja być niewiem czém. —

— Co to takiego? — zapytała Nina wychylając głowę z okna powozu. — A, to Tiff! Dzieńdobry ci chłopcze; może ci będziemy mogli co pomódz? John! zejdź i pomóż mu!

— Ja prosić, Mis Nina, konie dziś być takie narowne, ja ich niemódz odejść! — wykręcał się jak mógł stary kłamca.

— O, Bóg zapłać, Mis Nina, — rzekł Tiff, który odzyskał był już swój zwyczajny dobry humór, — to nic nie znaczyć. Tą razą to się złamać było w bardzo dobrém miejscu; — ja to za minutkę naprawić. —

Jak powiedział tak się i stało, gdyż spory kamień i mocny gwóźdź, przywróciły wszystko do dawnego stanu. —

— Proszę cię, — zapytała Nina, — jak się ma Mis Fanny i dzieci?

„Mis Fanny!“... Gdyby Niua zasypała była podarunkami poczciwego Tiffa, niebyłaby sobie u niego zjednała tak nieskończonéj wdzięczności, jak za tych słówek parę. Z promieniejącą twarzą skłonił się jéj aż do ziemi, i odpowiedział, że Mis Fanny i dzieci są zdrowe.

— John, ruszaj! — zawołała Nina, a potem obracając się do swych sąsiadów w powozie, rzekła: — Wiecie téż państwo, że ja teraz jedném słówkiem uszczęśliwiłam Tiffa przynajmniéj na jakie sześć tygodni! Ale to literalnie jedném słówkiem. Mis Fanny ma u niego więcéj wartości, niż żebym mu sześć korcy ziemniaków posłała. —

Nim zakończymy nasz pobieżny przegląd pojedyńczych

członków pobożnego zgromadzenia, musimy jeszcze pokazać czytelnikowi scenę całkiem innego rodzaju i poprowadzić go daleko od mieszkań ludzkich, w środek owéj bagnistéj krainy.

Najprzód wypadnie nam przejść szeroki pas, w którym las zdaje się z wody wyrastać. Cyprysy, czerwone cedry, drzewa gumowe i tulipanowe, topole, buki i ostrokrzew, żyją tutaj obok siebie w sąsiedzkiéj zgodzie i szeleszczą gałęźmi. Drzewa te robią wrażenie niby rozległych krużganków, o mnogich słupach, na pięćdziesiąt, siedmdziesiąt, a niekiedy i na sto stóp wysokich; gdy tymczasem dołem wiecznie zielone galasowe krzewy, z gęstym połyskującym liściem, pomięszane z wodnym powojem, dzikiém winem, cierniami i bobkowemi krzaki, stanowią nieprzebitą gęstwinę. Tu i owdzie pnące się rośliny, wspinają się po drzewach, i dopiero od góry w ciężkich girlandach zwieszają się z gałązek.

Zdaje się prawie niepodobieństwem, żeby ludzka noga przez te zarośla drogę sobie utorować mogła; ale my naszego czytelnika bez trudów przeniesiemy na wolne miejsce, w którém od dawna zmurszałe pnie powalonych drzew, utworzyły małą wysepkę, pokrytą warstwą rodzajnéj ziemi, którą ręka ludzka uprawiła i zabudowała. Ta wysepka miała około sześćdziesiątu prętów długości a trzydzieści szerokości, i otoczona była naturalnym wałem, który zarówno od ludzi jak od zwierząt stanowił obronę. Do koła niéj leżały powalone wielkie drzewa ze wszystkiemi gałęźmi, a jakgdyby natura chciała przyjść w pomoc biednym zbiegom, bujne splo-ty wirginskiego bluszczu i dzikiego winogradu, opinały zewsząd ten bulwark, a czepiając się drzew najbliższych

pięły się po nich w górę, wiązały się i wikłały między sobą w taką gęstwinę, że miejscami stanowiły nieprzebity mur, do pięćdziesiątu stóp wysokości mający. Tu i owdzie bujny wawrzyn, z ciemnemi błyszczącemi liśćmi, z śnieżnemi, czerwono nakrapianemi kwiatami, wystrzelał w całéj swojéj dzikiéj piękności, — kiście żółtego jaśminu, kołysane wiatrem, rozlewały w powietrzu woń cudowną, a tysiące pnących się roślin z przepyszném kwieciem, o których istnieniu dotąd może botanicy niewiedzą, uzupełniały tę pstrą, żywą mozaikę. Zielony ten szaniec rozciągał się we wszystkich kierunkach do koła polany, gdyż widocznie z wielką przezornością starano się przeciąć do niéj wszelki przystęp, a w tej gorącéj a wilgotnéj atmosferze, natura w przeciągu paru tygodni usiłowania ludzkie najpomyślniejszym uwieńcza skutkiem. Jedyną drogę do tego schronienia stanowiła kręta ścieżka, wyrąbana siekierą, a tak wązka, że ledwie jedna osoba przecisnąć się nią mogła. Że zaś cała wysepka oblana była wodą, więc nawet gończe psy, doszedłszy tutaj, dalszy trop gubić musiały.

Musimy tu zrobić uwagę, że powietrze wśród tych bagien niejest wcale niezdrowe, gdyż ludzie którzy tutaj większą część każdego roku spędzają, tnąc drzewo na gonty i klepki, powiadają owszem, że powietrze właśnie tam bardzo jest czyste, a woda wyborna. Ludzie ci utrzymują, że z powodu wielkiéj ilości drzew szpilkowych i innych żywicznych, powietrze i woda wysycają się i czyszczą, i tym sposobem atmosfera téj bagnistéj krainy, wyjątkowo do zdrowych się liczy. Ziemia jak się już rzekło, przy stósownéj uprawie nader jest żyzna.

Dwie małe chatki stały z brzegu polany, a na środku

było trochę zasianego żyta i zasadzonych kartofli, tak, żeby o ile możności jak najwięcéj miały światła i ciepła. W chwili kiedy tam prowadzimy naszego czytelnika, ukośne, gorące promienie lipcowego południowego słońca, oświecają całe to miejsce, a wesoły chór ptaków radośnie brzmi śród gałązek.

Przed jedną z chat leży krwią zbroczony Murzyn na ziemi, a dwie kobiety i kilkoro dzieci stoją około niego; dzika postać w któréj łatwo poznać Dreda, klęczy przy nim i usiłuje zatamować krew, bryzgającą z okropnéj rany na plecach. — Nadaremnie! ciemna krew za każdém uderzeniem serca bluzgająca ze straszliwą regularnością świadczy, że tutaj arterya któraś nadwerężoną została.

Murzynka klęcząca po drugiéj stronie, niespokojna, trzyma w ręce szmatę urwaną ze swego odzienia.

— Oh, prędko, prędko mu to przyłożyć, — prędko!

— To się na nic nieprzyda, — rzekł Dred, — on już kończy!

— O, nie, ty mu niedać umrzeć! — Ty go niepotrafić ratować? — błagała kobieta w śmiertelnéj trwodze.

Oczy rannego otwarły się i utkwiły najprzód w niebieskiém sklepieniu, wprost nad nim, a potem padły na żonę, i nieszczęśliwy chciał coś przemówić. — Miał on niegdyś silne ramie; chciał go więc podnieść, ale w skutek tego usiłowania, krew buchnęła z podwójną szybkością, oko stanęło słupem, ciało zadrżało, — i po chwili wszystko się uciszyło. Krew przestała płynąć, bo serce bić ustało, i nieśmiertelna dusza wróciła na łono Tego, od którego wyszła.

Murzyn ten, był to poczciwy i dzielny człowiek, który zbiegł z pobliskiéj plantacyi z dziećmi i żoną, aby ją obronić od nikczemnéj natarczywości dozorcy. Dred przyjął go pod swoją opiekę, zbudował mu chatę i przez długi czas udzielał mu schronienia.

Jeden z paragrafów północno Karolińskiego kodexu orzeka, iż niewolnicy, którzy zbiegną na bagna, i w przeciągu oznaczonego czasu niewrócą, uważani są jako wyjęci z pod prawa, i że: „Każdemu za zasługę poczytane będzie, kto będzie wytępiał i zabijał takich niewolników, w jakikolwiek bądź sposób, za co niebędzie narażony na żadne zaskarżenia ani odpowiedzialność.“— Paragraf ten stanowi jeszcze, że gdy niewolnik w skutek tego rozporządzenia zabity zostanie, wartość jego ma być oszacowaną przez przysięgłych, a właściciel jego ma prawo żądać od Szeryffa tego okręgu, w którym niewolnik zabity został, zwrotu dwóch trzecich części jego ceny szacunkowej.

W dawniéjszych czasach wymagało nawet prawo, aby każdy wypadek taki, w niedzielę, przede drzwiami kościoła lub kaplicy, albo na innem miejscu, na którém się odprawia nabożeństwo, natychmiast po jego ukończeniu, przez woźnego sądowego, publicznie był ogłoszony. —

W skutku tego rozporządzenia, namnożyło się pełno myśliwych, którzy ze strzelbami i psami polowali na każdego z tych nieszczęśliwych, jak skoro się tylko ze swego schronienia wychylił. Tak samo też stało się z owym biedakiem, któregośmy widzieli rozciągniętego przed chatą. Wprawdzie udało mu się ujść przed pogonią, ale jeden pies dotrzymał mu kroku, zatopił mu

ostre kły w grzbiecie, i o kilka kroków od owéj wysepki powalił go na ziemię. Dred nadbiegł jeszcze na czas, żeby psa trupem położyć, — ale rana była śmiertelna. —

Jak skoro kobieta przekonała się, że jéj mąż nie żyje, wybuchła głośném narzekaniem.

— Oh, Boże, on nieżyje! A on to wszystko dla mnie tylko zrobić! Ach! On taki być dobry, taki dobry człowiek! Ach! powiedzcie mi, czy on naprawdę nie żyje?

Dred ciepłą jeszcze rękę nieboszczyka podniósł do góry, a potem puścił ją nagle, że ciężko upadła na ziemię.

— Nieżyje! — wyrzekł głosem ponurym, zdradzającym wewnętrzne wzruszenie. Potem nagle uklęknął przy trupie, podniósł ręce ku niebu, i z dziką namiętnością mówić począł:

— O Panie, który jesteś Bogiem pomsty, ukaż się! Powstań sędzio świata i wymierz należną dumnym nagrodę! O Panie! Tyś naszym ojcem, naszym obrońcą! Twoje drogi są odwieczne! Gdzież jest Twoja miłość, Twoja moc, Twoje miłosierdzie? Dla czegoś twarz Twoję od nas odwrócił? — I znowu dzikim ruchem podniósłszy ściśnione pięści ku niebu, wołał daléj: — O Panie, Panie! dopókiż?... Rozedrzyj niebo i zstąp na ziemię! Daj aby jęk uwięzionych doszedł przed twoje oblicze! Nasze kości walają się bez pogrzebu jako drwa połupane! Wpadliśmy jako owce do szlachtuza! Codzień mordują naszych! O Panie, wznieś miecz pomsty nad naszemi nieprzyjacioły!

Słowa te wymówił takim namiętnym, takim strasznym

głosem, że nawet skargi biednéj wdowy przy nim zaniemiały. Potem powstał, milczał przez chwilę, i znów spojrzawszy na zwłoki u nóg swoich leżące, mówił daléj:

— Cóż ten człowiek zrobił złego na świecie? Czyż niechciał żyć spokojnie, i czyż nie uprawiał ziemi w pocie swego czoła? Po co oni strzelców za nim wysłali? Czy dla tego, że chciał ziarno sobie a nie innym zasiewać; że dla siebie, nie dla innych chciał mieć żonę swoję! Czyż świat jest za ciasny? Czyż pod niebem niema dosyć miejsca dla wszystkich? Dla tego że ten człowiek chciał pożywać owoce swéj pracy, prawo wyrzekło nad nim przekleństwo Kaina, aby go zabił kto może. I Pan niemiałby się pomścić na tych ludziach?... Dziś w nocy oni będą odprawiać swoje nabożeństwo, — będą śpiewać swoje himny przy świetle księżyca, — ich prorocy będą fałszywie prorokować, — ich kaznodzieje będą kazać słowo ucisku. — Głos pański brzmi w mojém uchu: „Idź, weź laskę sprawiedliwości, i ukaż się temu ludowi jako znak gniewu Pańskiego! — Patrz“— mówi Pan, — „Oto na to cię zachowałem i przeprowadziłem przez te pustynie, i przez ten kraj dziki i bezludny!“

Gdy to mówił Dred, oczy jego zdawały się rozszerzać, i z dziwnym blaskiem biegały mu w głowie, niby oczy lunatyka, podczas snu magnetycznego. Gdy żona jego ujrzała, że się zabiera do odejścia, rzuciła mu się na piersi.

— O nie, ty nas nieopuścić, ja błagać ciebie! Oni tam ciebie zabić będą, jak jégo byli zabić!

— Kobieto! Pan rękę swoję na mnie położył! Słowo pańskie jest jako ogień, który pali kości moje. — Pan mówi do mnie:

„Idź, i ukaż im ich niesprawiedliwość, i bądź znakiem gniewu mojego, temu zepsutemu ludowi!

Wyrwał się żonie, rzucił się w gęstwinę i zniknął.—

Rozdział VII.

NABOŻEŃSTWO.

Miejsce które obrano na zgromadzenie pobożne, było jedno z najdardziéj malowniczych w całéj okolicy. Była to niewielka polana śród gęstego lasu, przez którego zielone gałęzie przedzierały się ze wszystkich stron promienie przyćmionego, tajemniczego światła. W środku polany wzniesione były amfiteatralne siedzenia z prostych sosnowych desek. Do koła polany, na krańcu lasu, pobożni porozbijali swoje namioty, gdyż wedle panujących tam wyobrażeń religijnych, należy koniecznie trzy albo cztery dni i nocy, na miejscu takiego zgromadzenia przepędzić. Ta sama przejrzysta rzeczka, która płynęła popod chatą Tiffa, i tutaj z szumem wiła się po lesie, i zaopatrywała zgromadzonych czystą i świeżą wodą.

Ponieważ Gordonowie jechali tutaj właściwie z saméj ciekawości, a dom Niny był niedaleko, niemyśleli zatem brać ze sobą namiotu; ale sługom trudno było wy-

perswadować, że przybór ten był niepotrzebny. Ciotka Róża wstrząsała głową i utrzymywała, że błogosławieństwo dopiero w nocy pewnie nastąpi, a więc kto się chce stać jego uczestnikiem, musi i noc tam przepędzić. Poczęto więc nalegać na Ninę, ażeby pozwoliła ludziom swoim zabrać namiot, w którymby mogli przepędzać nocy, czekając na błogosławieństwo; a że Nina odziedziczyła po swych przodkach wrodzoną im dobroć i powolność, więc przychyliła się do owych próśb, i Gordonowski namiot, na wielką uciechę sług tego domu, rozwinął wspaniale białe swoje skrzydła.

Wejście do namiotu opanowała ciotka Róża, naprzemiany to rozdzielając potężne porcye klapsów między cisnące się dzieci, to z zapałem łącząc swój głos do chóru pieśni, które ze wszystkich stron brzmiały.

Na ostatecznym krańcu lasu, po za innemi, stały rozmaite proste budy, w których sprzedawano wódkę i wodę, różne wiktuały i obrok dla koni. Tam można było także dostrzedz Abijaha Stinkflint pomiędzy kramarzami, gdy tymczasem żona i córka jego puściwszy się między namioty, bawiły się z innemi kobietami plotkami i obmową. —

Naprzeciwko owych amfiteatralnych ławek, urządzone było na podniesieniu miejsce dla kaznodziei; — był to rodzaj trybuny zbitéj z prostych desek, z poręczą i pulpitem, na którym leżała biblia i śpiewnik. —

Kaznodzieje już się byli zebrali, zwracając na siebie ciekawe spojrzenia zgromadzonego tłumu. Nina przechadzała się śród téj różnobarwnéj massy wsparta na ramieniu Klaytona, — za niemi stryj John prowa-

dził pod rękę Annę Klayton, a na ostatku szły ciotka Nesbit z ciotką Maryą.

Dla Niny scena ta miała powab nowości; bo z powodu długiego jéj pobytu w Stanach północnych, wszystkie tego rodzaju uroczystości stały się jéj całkiem obce. — Dzięki trafnemu jéj poglądowi na charakter ludzki, i zamiłowaniu jakie miała w śmieszności, znalazła ona obfity materyał do zabawy, w różnych drobnych awanturkach i komicznych zdarzeniach, dla których zgromadzenia takie szerokie otwierają pole. Małe to towarzystwo udało się następnie do gordonowskiego namiotu, gdzie już przygotowawcze zebranie, na dobre rozpoczęło czynność swoją.

Mężczyzni, kobiety i dzieci, pomięszani ze sobą, zasiedli namiot do koła, a zamknąwszy oczy i odrzuciwszy w tył głowy, śpiewali na całe gardło. — Czasami ten lub ów urozmaicał text śpiewu, — uderzał nagle ręka w rękę, wyskakiwał wysoko do góry, a potém padał plackiem na ziemię, — krzyczał, śmiał się i tańcował.

— „Oh, ja siadać na skale!“ — wołał jeden. — „Ja siedzieć na górze!“ wrzeszczał drugi. — „Gloria!“ krzyknął trzeci, poczem następowało grzmiące „Amen!“ — — „Ja mieć widzenie!“ wołał znów inny, i powtarzał ciągle te słowa piszczącym głosem, gdy tymczasem inni śpiewali daléj.

— Ja także mieć widzenie, ryknął Tomtit, którego ciotka Róża wzięła była ze sobą z macierzyńskiéj troskliwości. —

— Nieprawda! — ruszaj precz! — odwrzasnęła ciotka Róża, przygniótłszy go do ziemi niby gumianą pił-

kę, poczém z wielką gorącością ducha śpiewała daléj.

— Ja być na skale Apes! — krzyknął ktoś obok Tomtita.

— Ja także wyłazić na skałę! — darł się Tomtit, rozpaczliwe robiąc usiłowania, aby się z tłustych rąk ciotki Róży wydobyć.

— Ty być cicho, albo ja cię precz wyrzucić! — odezwała się znowu jego przyjaciołka, a gdy nieprzestawał rzucać się i szamotać, dała mu rzeczywiście takiego kuksa, że magnąwszy kozła potoczył się na wiązkę słomy w głab namiotu, usiłując w bezsilnym gniewie wściekłym wrzaskiem pomścić się za ta tak niegodziwe względem siebie postępowanie, co jednak nieprzerwało ani na chwilę powszechnego zgiełku, na który składały się śpiewy,wrzaski i wykrzykniki.

Nina i stryj John stali, śmiejąc się serdecznie u wejścia do namiotu, gdy tymczasem Klayton stał przy nich poważny jak zwykle, Anna zaś ze wstrętem odwróciła głowę.

— Dla czego się pani nie śmiejesz, — zapytała ją Nina. —

— Niemam ochoty do śmiechu, — odparła Anna. — To mi przykrość sprawia.

— Dla czego?

— Bo ja religią uważam za rzecz poważną, i nielubię kiedy ją kto w żarty, w pośmiewisko obraca, — odrzekła Anna.

— A to kto? Radabym bardzo wiedzieć, kto to jeśt? zawołała Nina ze zwykłą żywością przechodząc z jednego przedmiotu na drugi, bo spostrzegła, że powsze-

chny ruch w całym obozie, przybycie jakiéjś znakomitéj osoby zapowiadać musi.

Nowo przybyły był to wysoki, tęgi mężczyzna; o ile sądzić można było z powierzchowności, w średnim wieku, dobréj tuszy, czerwonych policzków, i mający coś rubasznego w obejściu, które kazało się w nim raczéj wojskowego aniżeli duchownego stanu domyślać. Na ramieniu miał przewieszoną strzelbę, którą z wielką starannością umieścił w kącie trybuny, a potem wmięszał się w tłum, tego i owego ściskając za rękę, z miną wesołą a nawet jowialną.

Był to znajomy stryja Johna, ojciec Bonnie, znany i lubiony powszechnie dla swéj rubasznéj nieco, ale jędrnéj i dosadnéj wymowy. Na zgromadzeniach pobożnych odgrywał on znakomitą rolę, bo śpiewał głośno i dobitnie, a przytem na kazalnicy wielkie robił wrażenie i silny wpływ wywierał. Wielu jednak potępiało jego zachowanie się po za kazalnicą, utrzymując, że on albo nigdy na kazalnicę wstępować niepowinien, albo też wszedłszy raz na nią, już więcéj niezchodzić.

Obok ojca Bonnie ukazał się drugi duchowny, który pod wielu względami, zupełny z nim kontrast stanowił.

Był on wysoki, chudy, nieco przygarbiony, i miał dwoje oczu niebieskich, poważnych, z których jednak patrzała dobroć i łagodność. Przetarta, ale czysto utrzymana suknia, z grubego, czarnego sukna, świadczyła o jego ubóstwie; na ręce miał zawieszoną małą torbę podróżną, w któréj zapewne było trochę bielizny do odmiany, biblia i kazań parę.

Ojciec Dikson, był to jeden z tych rzadkich w Ameryce duchownych, którzy noszą na sobie rzeczywistą ce-

chę chrześcijańskiego kapłaństwa. W całém państwie, każdy znał i poważał ojca Diksona, chociaż niejeden może głównie dla tego, że ojciec Dikson zajęty wyłącznie staraniem około dobra kościoła i zbawienia dusznego swych braci, a niedbający prawie całkiem o rzeczy doczesne, wymaganiami swojemi nigdy nikomu nie stał się natrętnym.

Ojciec Dikson nie aprobował powszechnego w całém państwie zwyczaju trzymania niewolników. Dostawszy ich kilku w spadku po jednym krewnym, z wielkim trudem i kosztem wyprawił ich na północ, i umieścił jak mógł najlepiéj.

Świat niepotrzebuje się troskać o nagrodę dla takich ludzi, bo za ubogi jest aby ich przyzwoicie wynagrodzić. Oni w niebie mają prawo obywatelstwa, a wszystko co im ziemia ofiarować może, jest niby owym kawałkiem chleba, który wieśniak w swéj chacie poda człowiekowi, który jutro królować będzie.

Po krótkiéj rozmowie z Gordonami, ojciec Bonnie w towarzystwie duchownego, takiéj saméj jak on atletycznéj postaci, poszedł przed trybunę, i tam, stanąwszy naprzeciw niéj, stentorskiemi głosami zaczęli pieśń następującą:

„Bracia! słyszycie ten dźwięk?
„To tak trąby nasze grzmią!
„Oręża już słychać szczęk,
„Męże do boju się rwą!

Gdy ten śpiew rozległ się pod zieloném drzew sklepieniem, głowy wszystkich pobożnych, którzy dotąd

stojąc w pojedyńczych grupach, rozmawiali ze sobą, zwróciły się ku trybunie, i każdy łączył głos swój do śpiewu, zbliżając się ku miejscu gdzie stali duchowni. Pieśń tymczasem szła daléj w samych wojennych porównaniach:

„Łaska i pokój w tém życiu
„Będzie walczących udziałem,
„A sława za którą gonią,
„Będzie zbawieniem ich duszy!

Im bardziéj tłum się zwiększał, w miarę jak pobożni z różnych stron lasu ściągali się ku trybunie, tém śpiewacy zdali się bardziéj natężać, tém silniejszy, dziksze nacisk nadawali swéj pieśni. Śpiewali:

„Śmiało tylko! Bo ta sprawa
„Poprzed tronu stopnie wiedzie!
„Za nią lała się krew święta
„Tych, których Bóg wybrał sobie.“

„Wytrwajcie odważnie w boju,
„Dla was blaski wiecznéj chwały,
„Czeka was radość niebieska,
„Wierność podaje wam wieniec.“

„Wy zuchwali pójdźcie spiesznie,
„Zaciągcie się pod chorągwie!
„Grzesznicy, niezwłóczcie dłużéj,
„Bo was wieczna zguba czeka!“

„Daremnie się wymawiacie;
„Drżyjcie na myśl o cierpieniach,
„Które śród wiecznéj katuszy
„Na was w piekle tam czekają!“

W śpiewie mas leży zawsze coś strasznego; — zdaje się, jakoby w oddechu tego mnóstwa ludzi, zwłaszcza w chwilach silnego zapału, unosiło się coś z ich tajemniczéj, zagadkowéj, nieśmiertelnéj natury. Cała wolna przestrzeń przed trybuną i brzegi lasu zdawały się być jedném morzem głosów, gdy Murzyni i biali, niewolnicy i wolni, cnotliwi i grzesznicy, właściciele niewolników, strzelcy i handlarze niewolników, duchowni i świeccy, kończyli śpiew z uniesieniem:

„Słyszycie zwycięztwa pienia?
„Widzicie wóz Eliasza?
„Grzesznik w piekło się zapada,
„Zwycięzca ku Bogu wzlata!“

Nasz przyjaciel Ben Dakin, przecisnął się był aż do pierwszego rzędu śpiewających, i zlewał twarz swoję obfitemi łez strumieniami, prześcigając wszystkich w pobożnym zapale. Zanim przyszedł przed kazalnicę, o mało się niepobił z drugim strzelcem na Murzynów, który się chełpił, że ma lepszą sforę psów niż on. Skończyło się na tém, że Ben pośpieszył wreszcie na miejsce nabożeństwa, pogroziwszy swemu przeciwnikowi: „że go nauczy, tylko się kazanie skończy.“

A teraz stał tam i śpiewał, i w serdeczném uniesie-

niu łzami oblewał twarz swoję. I cóż myśleć o tém mamy?

Biedny poganin Ben!

Był tam także przeciwnik Bena, Iim Stokes, człowiek ponury, mrukliwy i wiecznie klnący, a jednak i on śpiewał wraz z chórem, i czuł w sercu jakąś litość, i pewną wątpliwość, czyby to dobrze było, żeby Bena zabił to nabożeństwie.

W Harrym który także stał śród tłumu, słowa i nuta téj pieśni budziła żywe wspomnienie ostatniéj rozmowy z Dredem, a zarazem podniecała ogień nienawiści przeciwko społeczeństwu w którém żył. W chwilach zapału, w chwilach uniesienia, podwajają się siły moralne i fizyczne w człowieku, i wtedy czuje on daleko dotkliwiéj każdy fałsz i nienaturalność w swojém położeniu wśród świata.

Mr. John oddał się całkiem wrażeniu, jakie ta chwila na niego wywarła. Śpiewał z wielkim entuzyazmem, i pragnął na seryo zostać obrońcą, rycerzem jakiéj sprawy, albo męczennikiem, do jakich wielkich powołanym rzeczy; — i gdyby w walce, o któréj była mowa, miał był do czynienia z jakimkolwiek innym nieprzyjacielem, wyjąwszy własną ociężałość i lenistwo, to byłby się niezawodnie nietracąc czasu, zaciągnął pod chorągiew bojową. —

Gdy się śpiew skończył, każdy otarł sobie oczy, i wszyscy usiedli, aby wysłuchać kazania ojca Bonnie, które było bardzo zajmujące. Było ono podobne niby do podzwrotnikowych bagien, — tak przepełnione było kwiecistemi obrazami; obok tego było poważne, wesołe, dziwne, uroczyste, fantastyczne, a niekieby przechodziło

w ustępy tak zabawne, że wszyscy wybuchali głośnym śmiechem. A jednak poruszał ojciec Bonnie swych słuchaczów, jako wicher leśne drzewa, bo niezbywało mowie jego ani na pewnéj patetyczności, ani na surowych napomnieniach.

Około południa skończyło się nabożeństwo, a raczéj nastąpiła w niém tylko przerwa, i całe zgromadzenie rozpierzchło się po namiotach. I powstał taki gwar, zaczęły się wzajemne odwiedziny, jedzenie i picie, tak, że ranniejsza pobożność i zapał, wydawały się prawdziwie snem pierzchliwym.

Stryj John w różowym humorze udał się wraz z swojém towarzystwem na jedno piękne miejsce śród lasu, i z wielkiém zajęciem począł pomagać do rozpakowania kosza, pełnego wina, zimnych kurcząt, pasztetów i innych przysmaków, któremi go ciotka Katy wyładowała.

Stary Tiff rozbił także swój namiot w ślicznem położeniu nad rzeką i nieomieszkał opowiadać przechodzącym, że to jest namiot jego młodéj Missis, i jego młodego Massa, — i że on, to jest Tiff, zostaje na ich usługach.

Nina w poczciwym zamiarze zrobienia mu przyjemności, miejsce na obiad niedaleko od niego obrała, i od czasu do czasu rozmawiała uprzejmie z nim, i z jego małém państwém.

— No, teraz ty widzieć, jak to sobie postępować ludzie znakomici, — rzekł Tiff do Stólatka, który przyniósł poduszki z powozu i porozkładał je na ziemi. — Znakomici ludzie wiedzieć jak się ze sobą obchodzić.— Ja ci powiadać, że krew zawsze z krwią się poznać.—

Mis Nina widzieć dobrze, że to niebyć dzieci ordynaryjnego gatunku — tak, tak, ona to widzieć!

— Hm! — mruknął wzgardliwie Stólatek, — co ty tak się uwziąść te dzieci wynosić! Ja ci powiadać, że oni niebyć nic lepszego od reszty białéj hołoty!

— Jak ty jeszcze tak gadać, to ja ciebie ubić na miejscu! — krzyknął Tiff, który jakkolwiek był najspokojniejszém w świecie stworzeniem, jednak tą razą powściągnąć się niemógł.

— John! co ty tam gadasz z Tiffem? — zapytała Nina, która dosłyszała kilka ostatnich słów z téj rozmowy. — Idź do namiotu, a jemu daj pokój, bo on zostaje pod moją opieką.

Całe towarzystwo wzięło się z wielkim apetytem do posiłku, a Nina znajdowała przyjemność w przypatrywaniu się przygotowaniom, jakie Tiff czynił dla swoich państwa. Rano, nim jeszcze poszedł na nabożeństwo, naniecił on był mały ogień, a nad nim zawiesił brytfannę, w któréj cały ranek smażyło się na wolném gorącu pieczyste; więc kiedy ją teraz odkrył, rozszedł się do koła zapach nader miły.

— Aj! Tiff, — jak to pięknie pachnie, — zawołała Nina przyskoczywszy, żeby zajrzeć w brytfannę. — Czy Mis Fanny niebyłaby łaskawa pozwolić nam trochę tego skosztować?

Tiff nieomieszkał zawiadomić Mis Fanny o téj prośbie, na którą ona naturalnie, rumieniąc się dała przychylną odpowiedź. Ale któż sobie potrafi wystawić dumę i radość jaką przepełniło się serce Tiffa, gdy ujrzał między potrawami zastawionemi dla Gordonów, dymiący się talerz swego pieczystego, i usłyszał pochwały, któremi go

wszyscy obsypywali. A gdy jeszcze Nina, w zamian za owe mięso, na skromnéj jego desce, odgrywającéj rolę tacy, kawałek tortu położyła, — zaiste tylko szczęśliwy wpływ rannego nabożeństwa, zdołał go w granicach przyzwoitości utrzymać. Zdawało się literalnie, że poczciwiec pęknie z dumy i radości. —

— Tiff! jak ci się podobało kazanie? — zapytała Nina.

— Bardzo piękne być, — ale to być bardzo pańskie kazanie! — odrzekł zapytany.

— A co ty rozumiesz przez pańskie kazanie?

— No, takie kazanie co być dla uczonych, znakomitych ludzi, w mnogich i długich słowach. Ja sobie myśleć, że ono bardzo dobre być, ale taki biedny Murzyn jak ja, to się jakoś niemódz w niém połapać! —

Tymczasem na miejscu gdzie się był ulokował Abijach Stinkflint, był ruch nielada. Kramarz postawił sobie niską budę z desek, nakrytą zielonemi gałęźmi; — tutaj to z beczki pełnéj wódki, płynął bezustannie orzeźwiający strumień dla licznych gości, którzy się aż cisnęli jedni na drugich. Abijah siedział na środku, na ordynaryjnym stole, odbierając tylko pieniądze, bombelając nogami w powietrzu, i słomką zęby kłując, gdy tymczasem szynkowaniem zajęty był jego niewolnik.

W innéj znów stronie siedział Ben Dakin, u wejścia do swego namiotu, głaskał jednego ze swych psów ulubionych, i pożywał obiad z żoną i z dzieckiem.

— Powiadam ci, moja kochana, — rzekł ocierając sobie usta, — odtąd na prawdę zacznę służyć Panu Bogu. Jak tylko nałapę z kilkunastu Murzynów, połowę z tych pieniędzy które za to dostanę, poświęcę na to, żeby

jakiego kaznodzieję w pobliże sprowadzić. Ją mam silną wolą, zostania rycerzem Chrystusa.

— A więc, mój drogi Ben, — prosiła go żona, — będziesz się także wystrzegał szynku Abijaha Stinkflint, nieprawdaż?

— Oczywiście! — niech mię djabli wezmą, jeżeli tam jeszcze kiedy zajrzę! Chcę być wstrzemięźliwym! No, człowiek zawsze potrzebuje wypić tedy owdy szklankę wina, bo inaczéj nawet by głosu do śpiewu niemiał,— ale już ja granic umiarkowania nieprzekroczę! —

Wtém zbliżył się gieorgijski handlarz niewolników, który niedaleko leżał obozem.

— Czy uwierzysz, mój kochany, — rzekł do Bena,— że dzisiaj kiedym był na nabożeństwie, jeden z moich przeklętych Murzynów, wymknął się i uciekł na bagna! Czybyś ty nie miał ochoty wziąść psy i wytropić mi go? Zapłaciłem za tego gałgana dziewięćset dolarów gotówką. —

— Hoho? A pocoś to poszedł z tém do niego? — zawołał Iim Stokes, mały, wązki w piersi, nikczemny człowieczek, ubrany w niebieską barakanową bluzę myśliwską, — który właśnie naszedł w téj chwili. — Niech mię djabli wezmą, jeśli jego psy są z dobréj rasy!— Moje, to są dopiero psy! proszę widzieć! Prawdziwe florydzkie folbluty. Widziałem raz na własne oczy jak jeden z nich porwawszy w pysk Murzyna, trząsł nim i wywijał jakby łabędziem! —

Ten niespodziany napad śmiertelnego wroga, silniejszy był nad świeżą skruchę i pobożność Bena. Podniósł się, i pomimo błagalnych spojrzeń swej żony, zakasał rękawy i krzyknął na swego przeciwnika, aby się go-

towal do walki. — Zbiegło się natychmiast mnóstwo widzów, którzy śmiejąc się i zakładając między sobą to za tym, to za owym, otoczyli zapaśników, podżegając ich wzajemnie przekleństwami i konceptami, których nieczujemy potrzeby powtarzać tutaj. Ale ukazanie się ojca Bonnie, położyło koniec walce. —

— Ludzie! O jakich wy tu szatańskich sprawach zamyślacie?! Precz z niemi z miejsca pobożnych zgromadzeń! To pole poświęcone jest Panu, — a więc precz z niego z klątwą i bojem!

Wszyscy tedy chcieli naraz wytłómaczyć ojcu Bonnie powody sprzeczki, z czego powstał nieopisany chaos, z którego trudno było cokolwiek wyrozumieć.

— A, głupstwo! daj pokój Murzynowi! Niemożesz go to złapać, jak się zgromadzenie rozejdzie? — zawołał ojciec Bonnie. — Tutaj zeszliście się, żeby myśleć o zbawieniu dusz waszych, więc mi niekląć i niehałasować więcéj! Zaśpiewajcie raczéj ze mną pieśń:

„Kiedy Izrael szedł do Jerycho,
„O dobry Boże, duszy méj Panie!“

Powoli jeden za drugim, wszyscy obecni poczęli śpiewać, i hałas uciszył się wkrótce.

— Słyszałem, — rzekł ojciec Bonnie po cichu do gieorgijskiego handlarza, odchodząc w jednę stronę z nim po ukończonym śpiewie, — słyszałem że w swojéj trzodzie masz dobra kucharkę.

— O, mam kucharkę w najlepszym gatunku, niema kwestyi, — odparł handlarz. —Kupiłem ją tanio, i dla tego oddam ją panu za ośmset dolarów; ale to tylko dla tego, że pan jesteś duchownym.

— Ho, ho! — Widzę ci się kochanku stan duchowny korzystniejszym zdaje niż jest rzeczywiście, kiedy myślisz że duchownego stać na taką summę.

— Jeszcześ jéj pan niewidział; a ja powiadam panu, że to za pół darmo, — i to tylko dla pana. Zdrowa, silna, tęga baba; doskonała gospodyni i prawdziwie pobożna Metodystka. Ośmset dolarów za nią, to tak jak nic! Powinienbym właściwie wziąść za nią najmniéj tysiąc; ale ja niechcę za darmo słuchać kazań, i dla tego zawsze taniéj godzę się z duchownemi.

— Dla czegóżeś jéj tutaj nieprzyprowadził? — zapytał ojciec Bonnie; — siedmset pięćdziesiąt dolarów, to byłbym ci może dał za nią.

— Nie, za tyle nieobstoję, na żaden sposób!

— No, no, pomówiemy jeszcze o tém, jak się tylko zebranie skończy.

— Ona ma także dziecko czteroletnie, — rzekł po chwili handlarz, odkaszlnąwszy parę razy; — zdrowe, ładne, dziecko, — myślę że dostanę za niego choć ze sto dolarów.

— Nie, z tego nic niebędzie, — odrzekł ojciec Bonnie. — Nie potrzebuję dzieci; już ich i tak dosyć mam u siebie.

— Ale, kiedy powiadam panu, że to śliczny chłopak. Nie będzie pana w domu nic kosztował, i ani się obejrzysz jak z niego wyrośnie chłop, wartający przynajmniéj tysiąc dolarów.

— No, namyślę się. —

Ci którzy urządzają pobożne zgromadzenia, są to zwykle ludzie, którzy bez wielkiego namysłu, przy pomocy tylko wrodzonego taktu, natrafiają na środki, które na

massy głęboki wpływ wywierają, budząc i natężając wszystkie siły moralne człowieka. Jakaś dziwna poezya napełnia dnszę takich ludzi, drży nawet w ich głosie, i kieruje wszystkiemi ich rozporządzeniami. Uroczysta powaga nocy i tajemnicze jéj działanie na wzburzenie namiętności i podniesienie uczuć ludzkich, zawsze im wielkie pod tym względem wyświadczają usługi, i zręcznie użyte niezmierne wywierają wrażenie.

Był to jeden z najcudniejszych dni czerwcowych. Niebo powleczone było ciemnym lazurem, a powietrze odznaczało się tą kryształową przejrzystością, która krajobrazom amerykańskim nadaje takie wyraziste rysy, a w sercu ludzkiém budzi takie silne życia poczucie.

Słońce zachodząc, zdawało się pływać w prawdziwém morzu światła, a nawet kiedy się już schowało po za ognisty horyzont, pozostawiło jeszcze za sobą różowawy odblask, który rumieniąc tysiące małych, lekkich obłoczków, całe niebo przeistaczał w wielki namiot różowy. Czerwonawe te obłoczki długo świeciły przez drzew gałęzie, a w miarę jak bladły, gwiazda za gwiazdą błyskać poczęła i księżyc w pełni, w całym swoim majestacie ukazał się na niebieskiém sklepieniu.

Zaledwie mały kawałek drogi ubiegł po firmamencie, a już takie jasne rozlał światła strumienie, że postanowiono wieczorne nabożeństwo odbyć przy świetle księżyca.

Nawet najdziksze serce niepotrafi się oprzeć widokowi téj cichéj wspaniałości, którą Bóg do człowieka z dzieł swoich przemawia. Tak téż było i owego wieczora, gdy przy odgłosie hymnów, tłumy pobożnych poczęły się znowu zbierać i około kazalnicy gromadzić.—

Gdy śpiew ucichnął, wszedł ojciec Bonnie na trybunę, podniósł ręce ku niebu, i silnym a dźwięcznym głosem wyrzekł słowa Psalmisty:

„Niebiosa opowiadają chwałę Pana, a firmament ukazuje dzieła rąk jego; dzień po dniu daje świadectwo jego słowu, a noc ukazuje mądrość jego.“

Potem ukazawszy dobroć Boga, który człowieka takiemi cudami natury otoczył, a złość ludzi, którzy go grzechami swemi obrażać nieprzestają, rzucał pioruny na zatwardziałych, i straszył ich dosadnym sądu ostatecznego obrazem. Słuchacze nadzwyczajnie wzruszeni, wzdychali, krzyczeli, jęczeli, bili się w piersi, i wrzeszczeli ciągle: „Gloria“ i „Amen!“ — To wszystko zdawało się zagrzewać kaznodzieję do słów jeszcze energiczniejszych, bo z podwojonym wołał zapałem:

— „Teraz jeszcze czas grzesznicy, jeszcze czas! Pójdźcie przed ten ółtarz, a same dzieła Boże prosić za wami będą swego Twórcę. Dziś jest dzień łaski! Pojdź tutaj matko! Pójdź tutaj ojcze! Pójdźcie bracia! Pójdź młodzieży! Wzywamy cię!.... Aha! Oto tam stoi zatwardziały grzesznik! Widzę jego pełne wzgardy spojrzenia! Pójdź i ty tutaj, pójdź! Pójdźcie i wy bogaci grzesznicy, bo gdy przyjdzie na was dzień Pański, bardzo ubodzy będziecie! Pójdźcie tutaj wy młode panie, wy córki jerozolimskie, w błyszczące szaty odziane! Pójdźcie wy wybrani Pańscy i połączcie wasze modły z mojemi. Zanućcie pieśń, o bracia, zanućcie pieśń!“

I pieśń z tysiąca piersi zagrzmiała:

„Wstrzymaj się, wstrzymaj, grzeszniku,
„I pomyśl, nim pójdziesz daléj!“

Podczas śpiewu poruszyli się duchowni i starsi kościoła, rozeszli się wśród tłumu, i zachęcali wszystkich aby szli uklęknąć przed kazalnicą. Mnóstwo skruszonych poszło za ich wezwaniem, i jęk a łkanie dało się słyszeć, gdy kaznodzieja z nową siłą znów mówić począł. —

— Niech sobie tam mówi kto co chce, ale ja pójdę razem z drugiemi, — zawołał John Gordon. — Ja jestem stary, nędzny grzesznik, i jeżeli kto, to ja cudzych modłów potrzebuję!

Nina drżąca wspierała się na ramieniu Klaytona, — Uczucia otaczającego ją tłumu, tak silnie a dziwnie na nią działały, że aż płakała z jakiegoś dzikiego, wewnętrznego wzruszenia.

— Wyprowadź mię pan ztąd, — prosiła swego towarzysza, — to okropnie!

Klayton objął ją wpół, i torując sobie drogę przez tłum, wyprowadził ją na wolniejsze miejsce.

Tymczasem nabożeństwo nocne szło daléj swoim trybem. Ojciec Bonnie wystąpił znów na mownicę, i rzekł: Bracia! oto łaska Pana zstępuje ku nam, — zanućmy więc:

„Cześć, czesć niechaj będzie Panu,
„Bogu co się żbliża ku nam!“

Wzruszenie było ogólne. Zewsząd rozszedł się szmer napomnień, modłów i śpiewów. Wtém nagle przeraził wszystkich jakiś głos, który zdawał się wychodzić z pomiędzy gałęzi sosen, wznoszących się wprost po nad głowami kapłanów:

— „Biada wam, którzy przyzywacie dnia sądu Pańskiego! Cóż on wam przyniesie? Dzień ten niebędzie światłem dla was, ale ciemnością! Drżyjcie synowie téj ziemi, albowiem dzień sądu się zbliża!“

W głosie który się odezwał w te słowa, była jakaś potężna siła, i brzmiał on w powietrzu niby dźwięki gwałtownie bijącego dzwonu. Każdy, przerażony, spoglądał na drugiego, ale ciemność nocy i gwar rozmawiających niedozwalały pomiarkować zkąd właściwie ten głos pochodził. Po chwili milczenia zabierano się do rozpoczęcia śpiewów na nowo, ale głos zabrzmiał znowu.

— „Weźcie ztąd precz odgłos waszych pieśni, i dźwięk waszych intsrumentów, bo ja niechcę ich słyszeć, mówi Pan! Ja nienawidzę was i brzydzę się waszemi świętami!— Niechcę waszych zgromadzeń, bo wasze ręce krwią są zbryzgane, a palce wasze łakną za gwałtem! Chcecież zabijać, kraść, oszukiwać i krzywoprzysięgać, a potém stawać przed mojém obliczem? mówi Pan. Wy gnębicie ubogich i pragnących, i wypędzacie przychodnia; wasze suknie krwią niewinną są zbroczone, a przecież mówicie: „Ponieważ czysty jestem, więc gniew jego mnie nie dotknie.“ — Słuchajcie wy, którzy pragnącemu zginąć dajecie, a ubogich zabijacie, — wy którzy mówicie: „I kiedyż skończy się nów księżyca, abyśmy ziarno siać mogli? Abyśmy mogli ubogich zakupywać za srebro, a pragnących za parę trzewików?“ — Pan przeklął was i rzekł: „Czyny wasze pamiętać będę, i znajdę was kiedyś!“

Zgromadzenie wpośród którego tak niespodzianie zjawił się nieznajomy mowca, którego słowa zdawały się z obłoków wychodzić, niemogło się odjąć lekkiemu uczu-

ciu przestrachu. Niezwykły stan moralnego rozdrażnienia w jakiém się wszyscy znajdowali, ułatwił jeszcze przystęp do nich trwodze, a zdumienie powszechne wzrosło, gdy napominający głos zagrzmiał jeszcze raz z pomiędzy drzew:

— „Słuchaj, o ty zuchwały ludu! Pan jest przeciwko tobie, i spuści na ciebie zniszczenie i zagładę! Gdyż powiedziałeś: ja chcę wznieść się ponad gwiazdy, i być jako Bóg! Ale wyrzucony zostaniesz jako wzgardzony wyrodek, i dzikie zwierzęta cię rozszarpią! — Zawyj sosno, gdyż zbliża się czas twéj zguby! Libanon, otwórz twoje bramy, aby cedry twoje ogniem spłonęły! Albowiem Pan opuszcza swoje mieszkanie, aby lud ten ukarać! Tłumy, precz, precz na dolinę sądu! Wielki dzień sądu zbliża się ku téj dolinie! Słońce i księżyc zaćmią się, gwiazdy blask swój utracą, gdyż głos Pański zagrzmi w Jerozolimie, i zadrżą niebo i ziemia! W owym dniu słońce zajdzie o południu, i ziemię ciemności zalegną! I zamienię wasze radości w smutek, a w skargi wasze śpiewy obrócę! — Biada krwawemu państwu, albowiem pełne jest kłamstwa i rozboju! — I oto słychać świst bicza, i zgrzyt kół, i tentent koni, i turkot wozu. Jeździec podnosi miecz i błyszczącą dzidę, i tysiące padają trupem! I zwłokom ich niema końca, — padają jedni na drugich! Albowiem patrz, jam jest przeciw tobie, mówi Pan, i chcę cię poniżyć!“...

W brzmieniu tego głosu była taka głęboka, taka surowa powaga, jak gdyby ten co się nim odzywał, widział przed sobą rzeczywiście jakieś straszliwe widzenie. Chociaż słowa przebrzmiały, wszyscy jeszcze długi czas odetchnąć nieśmieli, i nareszcie całe zgromadzenie roz-

dzieliło się na pojedyńcze grupy, po cichu między sobą szepcące.

Nieukształceni ludzie zawsze skłonni są do zabobonów, — to też tu i owdzie zaczęto coś przebąkiwać o prorokach, i wróżyć jakieś wielkie nieszczęście.

Jedni mówili o znakach koniec świata poprzedzających, drudzy o kometach i tym podobnych zjawiskach, zwiastujących powszechną wojnę i zarazę. Zdziwione duchowieństwo niepewnym wzrokiem wodziło do koła kazalnicy.

Tylko jeden z słuchaczy, gdyby był chciał, mógłby był dać wyjaśnienie tego wypadku. Harry, który stał tuż przy trybunie, poznał głos od razu, ale chociaż rozpatrywał się na wszystkie strony, niemógł jednak dojrzeć nikogo.

Ten który przemawiał, dzięki swéj zażyłości z naturą, posiadał siłę i zręczność dzikich zwierząt; korzystając więc ze szmeru i popłochu jaki powstał w zgromadzeniu, przeskakując z drzewa na drzewo, uszedł ponad głowy tych, którzy zdumiewali się nad jego proroczemi słowami, i dopiero daleko w lesie, w bezpiecznem miejscu zeskoczył na ziemię.

Ojciec Dickson po odbytém nabożeństwie, zabierał się właśnie iść do swego namiotu, gdy wtém ktoś pociągnął go za rękaw. Był to handlarz gieorgijski.

— To jednak było coś strasznego, — rzekł blady jeszcze ze strachu. — Czy sądzisz ojcze, że sąd ostateczny naprawdę się zbliża?

— Bez wątpienia, przyjacielu, — odparł ojciec Dickson, — każdy krok przybliża nas do dnia sądu.

— Ale, czy sądzisz ojcze, że to co ten głos mówił,

było rzeczywiście słowami Pańskiemi? — A on mówił doprawdy straszne rzeczy, — aż włosy na głowie stawały! — Ja wam powiem mój ojcze, ja już nieraz różnie sobie o moim handlu myślałem. Niektórzy z duchownych dowodzą tam wprawdzie jego godziwości ze starego testamentu, ale niech mię Bóg skarze, jeżeli oni wiedzą o wszystkiem co my robimy. Jednak ja niejestem znów taki, jak wielu innych. — Mam tam właśnie między mojemi Murzynami jednę dziewczynę bardzo chorą, któréj na pół przyrzekłem, że się jéj postaram o księdza.

— Ja pojadę z tobą przyjacielu, — rzekł ojciec Dickson, i poszli zaraz ku miejscu, na którym wszystkie konie razem były powiązane. Wynalazłszy nareszcie swoje pomiędzy kilkuset innemi, pokłusowali obadwa śród cieniów nocnych, popod zieloném drzew sklepieniem.

— Mój przyjacielu, — odezwał się podczas drogi ojciec Dickson, — sumienie moje nakazuje mi, abym ci powiedział, że ja twoje rzemiosło uważam za nader szkodliwe zbawieniu twojéj duszy. Spodziewam się, że weźmiesz szczerze do serca to uroczyste napomnienie, któreś słyszał tego wieczora. Sam zdrowy rozsądek powinien cię przekonać, iż rzemiosło to niemoże być sprawiedliwe, kiedy taki strach sądu ostatecznego budzi w tobie.

— Zapewne, zapewne; ja prawie tak samo myślę. Ale dla czegóż ojciec Bonnie staje w naszéj obronie?

— Muszę wyznać, mój przyjacielu, że wedle mego przekonania, Bonnie nurza się w błędzie plugawiącym duszę, i że ja równie za niego jak za ciebie modlę się do Pana. Pytam się ciebie mój przyjacielu, odwołując się do twego

sumienia, — czy sądzisz, że możesz prowadzić twoje rzemiosło, a obok tego żyć jako Chrześcianin. —

— Nie, — to prawda. Ja wiem że to paskudne zatrudnienie. My zresztą nieumiemy się całkiem obchodzić, zwłaszcza z kobietami i dziewczętami, ktore mamy w swojéj mocy. Ja naprzykład w téj chwili doświadczam wielkiéj zgryzoty, bo wiem, że niedobrze sobie postąpiłem z tą dziewczyną. Powinienem jéj był dać pokój; ale mię jakiś djabeł skusił. I teraz ona dostała gorączki, i stęka i jęczy okropnie! —

Ojciec Dickson westchnął z cicha słysząc to opowiadanie, i jechał daléj obok swego towarzysza, nucąc niekiedy zwrotki pobożnéj jakiéj pieśni. Po godzinie blisko jazdy stanęli nareszcie w obozie. —

Wśród obszernéj polany, znać było ślady wielkiego ogniska, po którém już tylko trochę tlejących głowni przysypanych popiołem zostało. Kilka koni stało uwiązanych u drzew, a obok nich zatoczone były wozy.

Około ogniska leżało kilkunastu mężczyzn i kobiet, w ciężkich kajdanach na nogach, i spali księżycowém światłem oblani. W niejakiém od nich oddaleniu, przy jednym wozie, rozciągnięta była na ziemi derka, a na niéj młoda, siedemnastoletnia może dziewczyna, stękając i jęcząc wiła się w niespokojnym śnie gorączkowym. Przy niéj siedziała jakaś Mulatka z dzbankiem pełnym wody, którą od czasu do czasu zlewała czoło dziewczyny. Gdy się handlarz zbliżył, Mulatka wstała.

— No, Nansy, cóż tam słychać? — zapytał.

Źle, — odrzekła Nansy, — ona tylko jęczeć, kręcić się i wołać swojéj mamy, od czasu jak wyście odeszli.

— Przyprowadziłem księdza, Nansy. Spróbuj ją obudzić. Ucieszy się jak go zobaczy.

Kobieta uklękła, i wzięła chorą za rękę.

— Emilio! Emilio! obudź się! — zawołała.

Dziewczyna niespokojnie, gwałtownie rzuciła głową.

— Oh, jak mi głowa pała! Oh Boże! Ach, Matko!— Matko! — Matko! — Dla czego nieprzychodzisz do mnie?

Ojciec Dickson ukląkł obok niéj z drugiéj strony, a a Mulatka usiłowała koniecznie przywieść ją do przytomności.

— Emilio, tu jest kapłan, którego ty żądać; Emilio, obudź się!

Biedne dziewczę otwarło zwolna oczy, — wielkie, czarne, niespokojne oczy. Przetarła je sobie ręką, jakby chciała przejrzeć lepiéj, i spojrzała na Mulatkę pytającym wzrokiem. —

— Kapłan! kapłan! rzekła z cicha.

— Tak, kapłan; ty powiadać była, że ty się koniecznie z nim chciała widzieć. —

— O, tak! Mówiłam to!

— Córko moja, — odezwał się ojciec Dickson,— bardzo jesteś cierpiąca?

— Tak jest, bardzo, — odrzekła; — ale cieszę się z tego. Ja umrę! O, jakże się cieszę! To jest jedyna pociecha jaka mi na téj ziemi została! Ale chciałabym, ojcze mój, żebyś napisał do mojéj matki. Ona jest wolną i mieszka w Nowym Jorku; pragnęłabym, abyś jéj przesłał odemnie serdeczne pozdrowienie, i napisał jéj, żeby się już o mnie nie troszczyła. Powiedz jéj ojcze, żem wszystko robiła co było można, żeby się do niéj dostać;

ale pochwycili mię, a moja pani była taka nieludzka, że mię sprzedała. Ja jéj przebaczam; niemam w sercu żadnego do niéj żalu, bo już wszystko się skończyło! Ona zawsze powiadała, że ja jestem dzika dziewczyna, i że się śmieję za głośno. Teraz już się nikomu tém nienaprzykrzę, — to i niema o czém mówić.

Urywane te zdania wymawiała dziewczyna w długich przestankach, to otwierając, to zamykając oczy. Ojciec Dickson który znał się cokolwiek na sztuce lekarskiéj, wziął ją za puls, który coraz to powolniéj uderzał. We wszystkich takich przypadkach, człowiek szuka zwykle instynktowo środków zatrzymania gasnącego życia. Ojciec Dickson powstał więc i rzekł do handlarza:

— Jeżeli się jéj nieda natychmiast jakiego środka trzeźwiącego, to niedługo skończy.

Handlarz wyciągnął z kieszeni flaszkę z wódką, zmięszał trochę tego napoju z wodą i podał ojcu Dicksonowi. Ten ukląkł przy niéj znowu, zawołał ją po imieniu, i usiłował wlać jéj w usta kilka kropel.

— Co to jest? — zapytała dziko wlepiając weń oczy. —

— Jest to coś, co ci trochę ulgi przyniesie.

— Ja niechcę żadnéj ulgi! Ja chcę umrzeć! — zawołała rzucając się silnie na posłaniu. — Co mnie po życiu?...

I rzeczywiście co jéj było po życiu?...

Słowa te tak głęboko przeniknęły ojca Dicksona, że długo klęczał niewyrzekłszy i słowa. Milcząc namyślał się, co jéj ma powiedzieć na drogę do owych tajemniczych krajów, na których granicy już stała.

Nareszcie trafnym powodowany instynktem, usiadł ka-

płan przy umierającéj dziewczynie, i zaczął z cicha smutnym głosem nucić pieśń, znaną powszechnie w tamtych stronach:

„O duszo moja, posłuchaj głosu,
„Którym Zbawiciel zwie cię do siebie!
„Najmiłościwszy Jezus się pyta:
„Powiedz, grzeszniku, czy kochasz mię?“

Wszyscy prawie Murzyni znają tę pieśń i bardzo ją lubią. Jako oliwa która wsącza się nawet w takie szparki do których woda nie dojdzie, tak samo śpiew dochodzi jeszcze do ucha, na głos zwyczajnéj mowy już głuchego. —

Księżyc przedzierając się przez liście drzew, świecił jasno na twarz dziewczęcia, i zdawało się ojcu Dicksonowi, że podczas śpiewu dojrzał na niéj lekkiego drżenia, jak gdyby znękana, cierpiąca dusza, na skrzydłach pieśni podnieść się chciała.

Śpiewał więc daléj:

„Czyż matce kiedy braknie miłości
„Dla dziecka, ktore zrodziła sama?
„I matki serce zmienić się może,
„Lecz moja pamięć jest wieczną!“

Przy świetle księżyca ojciec Dickson spostrzegł łzę, która dobywszy się z pod długich rzęs dziéwczęcia, zwolna stoczyła się po jéj twarzy. —

Więc śpiewał daléj:

„Tak, miłość moja jest wiecznotrwała;
„Wzbija się ponad namiot niebieski,
„Sięga głęboko w ognia otchłanie,
„Kędy wzrok człeka już niedosięże!“

„Do chwały wiecznéj wołam ja ciebie,
„Przed stopnie tronu mego cię wołam,
„Jeżeliś dobrze żył tu na ziemi;
„Powiedz grzeszniku, czy kochasz mię?“

Gdy śpiew ucichł, dziewczyna otwarła oczy.

— Tak moja matka zawsze śpiewała, — szepnęła.

— A ty córko, czy wierzysz w Boga?

— Tak jest! Widzę Go w téj chwili! On mię kocha! Ach, odpuść mię do Niego!

Potem ciało umierającéj przeszedł lekki dreszcz, zwiastun innego życia, i Emilia zasnęła na wieki.

Ojciec Dickson ukląkł, i zmówił nad nią gorącą modlitwę, a gdy powstał, zbliżył się do handlarza, uchwycił go za rękę i rzekł:

— Oby ta chwila, mój przyjacielu, była chwilą nawrócenia w twém życiu, i zbawienie twéj duszy przyniosła! Podobało się Panu ukazać ci całą twego handlu brzydotę, a więc radzę ci, abyś się otrząsnął ze swoich grzechów i czynił pokutę. Zdejm tym biednym istotom kajdany, i powiedz im że są wolni, i że mogą iść gdzie chcą!

— Oh, Bóg z tobą ojcze! Ci Murzyni wartają więcéj niż dziesięć tysięcy dolarów! — zawołał handlarz, który niebył przygotowany do tak szybkiego i praktycznego nawrócenia.

— Mój przyjacielu, — rzekł na to ojciec Dickson słowami Pisma Śgo, — na cóż się przyda człowiekowi, chociażby świat cały pozyskał, jeżeli na duszy swéj szkodę poniesie?

— Jać to wiem, — odparł handlarz głosem niepewnym; — ale to zawsze twardy orzech do zgryzienia. Jednak ja się jeszcze nad tém namyślę. Bo to naprzykład i ojciec Bonnie chce odemnie Nansy kupić, toby brzydko było gdybym go zawiódł. Ale już ja pomyślę o tém. —

Ojciec Dickson między pierwszą a drugą w nocy wrócił na miejsce ogólnego zebrania, postawił konia w bezpieczném miejscu i poszedł do namiotu przeznaczonego dla duchowieństwa. Tutaj zastał u wejścia stojącego ojca Bonnie. Z razu położył on się był spać w namiocie, ale że trzeba przyznać, iż wnętrze namiotu napełnionego ludźmi, nie bardzo jest do spania sposobne, więc téż i ojciec Bonnie wolał wyjść na świeże powietrze, gdzie go zastał ojciec Dickson.

— O! Bracie, gdzieżeś to bywał tak późno? — zapytał ojciec Bonnie.

— Chodziłem po puszczy za owcami, o których nik niepamięta, — odrzekł ojciec Dickson, i opowiedział zdarzenie którego właśnie był świadkiem. — Widzisz więc bracie, — mówił potém, — jakie to niesprawiedliwości dzieją się przed naszemi oczyma! Tuż obok miejsca na modlitwy przeznaczonego, obozuje handlarz Murzynów ze swojemi ofiarami. Mężczyzni i kobiety, które nic złego nie zrobiły, jęczą tam obciążone kajdanami, na hańbę naszę w oczach całego Chrześciaństwa! Cóż to za krzyczących niesprawiedliwości dopuszczają

się ci nieszczęśni handlarze! Cóż to za okropny obraz przedstawiają te domy, w których oni trzymają swych niewolników, w których mężczyzni, kobiety i dzieci uważani są jako towar,—do których światło ewangielii nigdy nie dochodzi! A kiedy który z tych biednych handlarzy pozna swoje grzechy i chce się nawrócić, to ty bracie stajesz po jego stronie, i grzechy te usprawiedliwiasz! Ojcze Bonnie, ja się lękam, abyś ty niebył ową skałą, o którą obiwszy się niejedna dusza, wpada prosto do piekła! Ja nieprzypuszczam, żebyś ty sam wierzył w swoje dowody, ze starego testamentu niby czerpane; przecież niepodobna, abyś niewiedział o tém, że słowa które cytujesz, niemają żadnego związku z niewolą w naszym kraju.

Powaga z jaką mówił ojciec Dickson, — poszanowanie jakiego powszechnie używał z powodu swéj pobożności, wielkiéj siły użyczały jego słowom. To też czytelnik niebędzie się zapewne dziwił, gdy się dowie że ojciec Bonnie, jako był człowiek prędki i łatwo wrażeniom przystępny, w czasie opowiadania do łez się rozczulił, a napomnieniami bardzo był wzruszony. Niemniéj jednak znajdzie naturalném gdy mu powiemy, że w kilka tygodni późniéj,kupił trzy„ pary rąk„ od tego samego handlarza.

Handlarz wyperswadował sobie, że dzień sądu ostatecznego jeszcze nie tak blisko, a ojciec Bonnie uspokoił swoje sumienie tém, że przecież Noe, obudziwszy się ze snu, w który go wino pogrążyło, zawołał: „Przeklęty bądź Kanaanie!“ —

Mim zapuścimy zasłonę na sceny tego pobożnego ze-

brania, musimy sobie tutaj jeszcze jednego ustępu pozwolić.

Późno już było, kiedy powóz Gordonów toczył się po samotnéj, krętéj drodze śród lasu. Harry jechał za nim zwolna, gdy wtém nagle ktoś uchwycił jego konia za cugle. Przeląkł się zrazu, przebudzony nagle z zamyślenia.

— A, to ty Dred? — Jakeś ty śmiał, jakeś ty mógł dopuścić się takiego szaleństwa! Jakeś ty miał odwagę przyjść tutaj i tak lekkomyślnie życie swoje na igraszkę narażać!

— Życie! — zawołał Dred. — I cóż jest życie? Ten który kocha swe życie, straci je. A potém, Pan rzekł do mnie: „Idź!“ I Pan był ze mną! — Harry, czy ty widziałeś tych ludzi? Ci co polują na nas, z rękami krwią niewinną zbroczonemi, modlili się Panu? Księża, co nas kupują i sprzedają? Czyż to jest lud godzien Pana? Dzisiaj właśnie odszedłem na bagnach nieboszczyka, którego ich psy rozdarły. Jego żona została wdową, jego dzieci sierotami! A oni jedzą i ocierają sobie usta i mówią: „I cóż złego uczyniłem?“

— Wiem o tém, — rzekł Harry ponuro.

— Wiesz, a jednak trzymasz z niemi.

— Nie gadaj o tém ze mną. Niezdradzę cię, ale na rozlew krwi nie pozwolę! Moja pani jest moją siostrą!

— Tak! — zawołał Dred. — Oni czytali Pismo Śte i odrzucają dzieci niewolnicy! Oni się tego z Pisma Śgo nauczyli!

— Słuchaj Dred, — rzekł Harry. — Ja ją kocham bardziéj niż siebie samego. Do ostatniego tchu będę walczył w jéj obronie, ale nigdy przeciw niéj, ani przeciwko tym, których ona swojemi nazywa!

— I będziesz służył Tomaszowi Gordon?

— Nie! —

Przez chwilę stał Dred nieruchomy. Światło księżyca padało prosto na jego dziką, ciemną postać. Harry widział jak oczy jego kołowaciały, jak źrenice jego przybrały jakiś szklanny połysk, podobny do tego, jakiego nabiera wzrok człowieka usypiającego snem magnetycznym.

Po chwili przemówił dźwięcznym, ale zmienionym głosem, podobnym do głosu lunatyka:

— I srebrna nić będzie zerwana, i strzaskana złota łupina. Tak, przykryj grób, przykryj! A teraz prędko pójdź do mnie, albo twoja żona stanie się jego łupem!

— Dred! Co ty gadasz? — zawołał Harry. — Co tobie jest?

Wstrząsnął nim silnie. Dred przetarł sobie oczy i popatrzał na Harrego.

— Muszę wracać, — rzekł, — do mojej jaskini. Lisy mają swoje nory, ptaki powietrzne mają swoje gniazda, a dla tułacza, w mieszkaniach smoków zgotował Pan siedzibę! —

I po tych słowach zniknął w gęstwinie.

Rozdział VIII.

ŻYCIE ŚRÓD BAGIEN.

Może nie bez pewnego zajęcia, czytelnik zechce iść w ślad za tą tajemniczą postacią, któréj grożne słowa, taki postrach na zgromadzenie wiernych rzuciły.

Pomiędzy zdrowym rozsądkiem a szaleństwem, leży pewna granica, pewien środek, który u starożytnych Greków i Rzymian, w wielkiéj był czci i poszanowaniu. Wierzyli oni bowiem, żo człowiek, którego władze umysłowe są w takim zamęcie, zostaje pod tajemnym wpływem jakiejś nadziemskiéj istoty; — i mieli to przekonanie, że jako niepewne światło gwiazd w nocy tylko widziane bywa, tak też i ludzie tacy, w chwilach owego natchnienia, mają wzrok w nadprzyrodzone sięgający światy.

Probiercze, wszystko objaśniające światło dzisiejszego naszego materyalizmu, które z naszéj istności każdą kropelkę ożywczéj rosy wysysa, które najmniejsze źrzódeł-

ko romantyczności wysusza, którego niezbłagane promienie przenikają do wnętrza każdéj z tych chłodnych grot, w których się kryje jeszcze poezya, wypalają mech który jéj ściany zalega, i wilgotną jaskinię zamieniają w piekło skwaru i pyłu, — ten niezmordowany, niemiłosierny duch badawczy, niepozwala nam wierzyć w te mgliste krainy natchnienia. W całéj nomenklaturze nowożytnéj nauki o człowieku, dwa tylko znane są termina: zdrowy rozum i szaleństwo.

Trudno zaiste nazwać po imieniu ten dziwny, nadzwyczajny stan, w którym Dred większą część życia przepędzał. Był to stan exaltacyi i jakiegoś zachwytu, który jednak w niczem nieosłabiał władz jego fizycznych, ale owszem udzielał im pewnéj bystrości i nadzwyczajnéj siły, właściwéj tylko ludziom w stanie somnambulizmu zostającym.

Niech sobie czytelnik wystawi istotę ludzką, pełną żywotnéj siły, a wychowaną pod bezpośrednim wpływem natury, i w tak ścisłych z nią zostającą związkach, że deszcz, burza, grzmot i inne zjawiska przyrodzone, przed któremi zwykle ludzie schronienia szukają, dla niéj są tylko poufnemi towarzyszami, z któremi w ścisłéj zostaje zażyłości.

Takim był Dred.

Był on tak spoufalony z temi zjawiskami, które go w ciągu życia śród bagien bezustannie otaczały, że w obec nich zachowywał zawsze tę spokojność i pewność siebie, z jaką dama wielkiego świata stąpa po kobiercu zaścielającym jéj pokój. Co nam zdawałoby się największą przykrością, to dla niego było tylko prostą koniecznością, niezbędnym warunkiem codziennego życia.

Po kolana brnąć w grząskiém błocie, torować sobie drogę przez cierniowe krzaki, przepędzić noc na bagnistéj, rozmiękłéj ziemi, albo czołgać się jak aligator śród trzciny i sitowia, znaczyło u niego to samo, co u nas położyć się w puchowém łożu. Trzeba bowiem przyznać, że istoty tak wysoko fizycznie rozwinięte, w fizycznych trudach znajdują jakąś dziką, zuchwałą rozkosz, opierającą się wszelkim zbytku pokusom. Kto widział z jakim zapałem legawy pies upędza się po lesie, szoruje po krzakach, idzie w wodę, a przytem okazuje najwyższego zadowolenia oznaki, ten może mieć wyobrażenie, co to jest siła fizyczna.

Dred wierzył nieprzełomnie, że miewa nadziemskie widzenia. Utrzymują, że Afrykanie w wysokim stopniu posiadają skłonność do somnambulizmu, i dla tego to nawet i dsisiaj jeszcze, jest między niemi wielu mężczyzn i kobiet, którym przypisują władzę czarodziejską.

Dreda dziad macierzysty był sławnym afrykańskim czarownikiem, i we wnuku swoim wcześnie już odkrył był zdolność do tego zawodu. Nauczył go więc sztuki czarowania wężów, i od dzieciństwa umysł jego do tajemniczych różnych praktyk przysposabiał.

Ten dziwny, nieodgadniony dar, znany u górali pod nazwą drugiego wźroku, w ustnych podaniach Murzynów wielką odgrywa rolę, — i niezbywa im na tysiącznych przkładach, któremi wiarę swoję weń usprawiedliwić usiłują. Czem jest ten dar rzeczywiście, trudno powiedzieć. Czy w duszy naszéj spoczywa jakaś niezbadana władza, która tem jest względem przyszłości, czém siła wspomnienia względem przeszłości, czy też instynkt u niektórych osób dochodzi do tego stopnia potęgi? —

są to pytania których rozstrzygnięcie nie do nas należy. To jednak pewna, że Dred za pomocą właściwego sobie przeczucia, niejednego zagrażającego mu niebezpieczeństwa uniknąć potrafił.

Nieraz instynktowo omijał te miejsca, w których zasadzeni na niego strzelcy czatowali; gdy mu brakło żywności, instynktowo czuł, gdzie szukać zwierzyny. Toż samo przeczucie wskazywało mu od razu osoby, którym mógł zaufać bez obawy, a przepowiednie jego tyczące się osób i rzeczy, tak często i tak dokładnie się sprawdzały, że u towarzyszów jego nieograniczoną wiarę zyskały.

Uwagi godną, a jednak nierzadką w takich razach osobliwością było to, że z tém tajemniczém, dziwném usposobieniem, człowiek ten łączył rozum nader praktyczny, i podobnie jak ludzie mówiący na przemiany dwoma językami, on, przemawiał to językiem exaltacyi, to słowami powszedniego życia. — Te własności, odziewały całą jego osobistość dziwną mięszaniną wielkości i śmieszności zarazem.

Owego wieczora, kiedy pobożne zgromadzenie modlitwy swoje odprawiało, znajdował on się, jakeśmy to widzieli, w stanie najsilniejszego wzruszenia. Okropny skon towarzsza, obudził w jego duszy uczucia straszliwéj nienawiści, a wściekłość zdawała się olbrzymiéj jego postaci, jeszcze ogromniejsze kształty nadawać. —

Chociaż miejsce jego schronienia o jakie piętnaście mil oddalone było od miejsca na którém się nabożny tłum zgromadził, i chociaż większa część drogi szła przez nieprzystępne napozór bagniska, jednak on przebył ją niby duch jaki, który niezna co trud albo znu-

żenie. Zdaje się, że gyby nawet został był spostrzeżony, złapać jednak niktby go był niepotrafił.

Rozstawszy się z Harrym, poszedł daléj w swoję drogę, w głąb bagna wiodącą, powtarzając sobie, wedle zwyczaju, śpiewającym tonem, niektóre miejsca z biblii, prorockiéj treści.

Dzień był nadzwyczajnie gorący; była więc pierwsza albo druga godzina w nocy, kiedy burza która się już od dawna zbierała, zahuczała w całéj okazałości. Zdawało się że jakiś potężny jęk rozległ się po całym lesie i dziwnie wstrząsnął drzew wierzchołkami. Rażące błyskawice przerzynały powietrze we wszystkich kierunkach, podobne do strzał, wypuszczonych z łuku anioła boju. Gromada ciężkich, czarnych chmur, zakryła księżyc, i w téjże chwili kolosalny, oślepiającego blasku słup ognisty, uderzył z nieba w wierzchołek potężnéj sosny, w pobliżu któréj stał Dred, i w mgnieniu oka obtrącił z niéj wszystkie gałęzie, tak, jak ręka dziecka obtrąca listki z wierzbowego pręta.

Dred z radością klasnął w ręce, i zawołał donośnym głosem wśród burzy i deszczu:

— Porusz się ręko pańska; porusz się, i pokaż potęgę twoję! Głos Pański łamie cedry! Tak, — Pan druzgoce cedry Libanu! Głos Pański ciska ognie, grad i żarzące węgle!—

Srożąca się burza uginała las niby sitowie, a ogromne drzewa na bagnistym gruncie rosnące, ze straszliwym trzaskiem padały na około Dreda; a on krzyczał i radował się niby czarny duch burzy. Widok téj potężnéj siły, co takie zniszczenie rozsiewała, zdawał się nowe życie weń wlewać, a zarazem budzić w nim niecierpli-

wość, że Ten, którego moc taka była niezmierna, niezstąpi, i sądów swych nierozpocznie.

— Rozedrzyj niebo! — wołał, — i zstąp! Pomścij się krwi niewinnéj! Ześlij swój pocisk i pobij je! Zapal twoję błyskawicę, aby przed nią zadrżeli!

Zdawało się że go niecierpliwiła dobroć Wszechmocnego, który posiadając moc zniszczenia, dotąd jéj nieużył.

Zwolna burza zaczęła się uspakajać, gwałtowny deszcz nadstał, łagodny wiatr pociągnął lasem, i księżyc począł znów z pomiędzy srebrnych obłoków przeglądać. —

Już się Dred zabierał iść daléj, gdy wtém przy świetle księżyca ujrzał skuloną postać człowieka, który się widać schronił pod drzewo. Był to oczywiście zbieg, i to ten sam, na którego ucieczkę gieorgijski handlarz uskarżał się przed Benem.

— Kto tu jest o téj porze? — zapytał Dred zbliżając się ku niemu.

— Zabłąkałem się, i niewiem gdzie jestem; — odpowiedział nieznajomy.

— Zbieg? — zapytał znów Dred.

— Oh, niewydaj mię! — błagał pytany.

— Ja ciebie wydać? Co tobie w głowie — zawołał Dred. — Jakim sposobem dostałeś się tu na bagna?—

— Uciekłem jednemu handlarzowi, który się z nami włóczył po całym kraju.

— Ach, ach! Zgromadzenie pobożne, i obóz handlarza Murzynów tuż obok siebie! Pasterze, co sprzedają wełnę a kości ogryzają! No, pójdź mój kochany, wezmę cię do siebie.

— Siły mię zupełnie opuściły, — mówił zbieg. — Co

krok zapadałem w błoto aż po kolana, a przytém bałem się, żeby mię psy niedoszły. — Gdyby mię to było spotkało, byłbym się dał zabić na miejscu, bobym był wolał, żeby się już raz ze mną skończyło. Bo ja już raz byłem wolny; — uciekłem do Nowego Jorku, zbudowałem sobie mały domek, miałem żonę, dwoje dzieci, i nawet trochę pieniędzy uzbieranych. Ale mię wynaleźli odesłali nazad, a pan mój sprzedał mię handlarzowi. I po cóż mam żyć, kiedy mi się tak wszystko niewiedzie? Lepiéj żebym już umarł!

— Umarł?... Nie, nieumrzesz, dopóki zostaniesz pod moją opieką, — zawołał Dred. — Nabierz odwagi, człowieku, nabierz odwagi! Nim ranek zabłyśnie, zaprowadzę cię w takie miejsce, w którém cię ani psy, ani nikt nieznajdzie. No, zbieraj się!

Zbieg podniósł się, i usiłował iść za Dredem, ale wycieńczony na siłach, i nieznający krętéj, zarosłéj ścieżki, chwiał się i upadał za każdym krokiem. —

— Ho ho, mój bracie, — rzekł Dred; — tak niezaszlibyśmy daleko. — Muszę ja cię widzę wziąść na plecy.

Jak rzekł, tak i zrobił. Wziął nowego towarzysza swego na plecy, kazał mu się mocno trzymać, i szedł daléj, jakgdyby żadnego nieczuł ciężaru.

Była może trzecia godzina; chmury rozeszły się powoli, i księżyc świecił znów jako pierwéj, przez mokre i drżące liście. Cisza głęboka panowała do koła, przerywana tylko brzękiem drobnych owadów, i odgłosem kroków Dreda.

— Musisz być bardzo silny, — odezwał się zbieg.— Czy dawno już żyjesz śród tych bagien?

— O, dawno! Ja jestem dziki człowiek, — odparł

zapytany. — Każdy czycha na mnie; — tylko węże i sowy są memi towarzyszami. Wśród trzciny i sitowia jest moje łoże, które dzielę z lewiatanem. Przekonałem się, że węże i aligatory lepszemi są towarzyszami aniżeli chrześcianie; bo one zostawiają w pokoju każdego, kto im krzywdy nieczyni, a chrześcianie polują na życie ludzkie.

W godzinę później, Dred doszedł do granicy owéj wysepki, którąśmy poprzednio opisali; nim się jednak dostał na nią, musiał ze dwadzieścia kroków brnąć po pas w wodzie. Nareszcie dotarł do brzegu, i kazawszy swemu towarzyszowi postępować za sobą, poczołgał się ostrożnie na rękach i nogach, wydając od czasu do czasu przeraźliwy gwizd, na który z gęstwiny podobną odbierał odpowiedź. Po chwili dał się szłyszeć szelest, jak gdyby zwierz jaki przez krzaki się przeciskał, i niebawem ukazał się wielki wodny pies, który radość swoję z oglądania pana, najpocieszniejszemi okazywał skokami.

— Hoho! Buk! Cicho, cicho, stary! — zawołał Dred.— Idź, prowadź nas!

Pies, jak gdyby rozumiał mowę ludzką, zawrócił natychmiast w gęstwinę, a za nim poczołgali się Dred ze swoim towarzyszem. Ścieżka wiła się pomiędzy gęstemi niskiemi krzewami, aż nareszcie skończyła się u stóp jednego drzewa. Pies zniknął w krzakach, a Dred kazał swemu protegowanemu wyleźć za sobą na drzewo; potém zsunął się jak mógł najdaléj po jednéj z najdłuższych gałęzi, i skoczył lekko na ziemię, w miejscu któreśmy już wyżéj opisali.

Tutaj czekała na niego żona, która z krzykiem radości rzuciła się w jego objęcia.

— Oh! Ty przyjść nareszcie! Ja się już bać, że oni ciebie złapać tą razą!

— Jeszcze nie. — Ja muszę wytrwać dopóki pieczęć zerwaną nie zostanie, dopóki się widzenie nieziści! Czyście go już pochowały?

— Nie, tylkośmy wykopały grób, i przeniosłyśmy ciało. —

— To chodźcie, — rzekł Dred.

W jednym rogu polany stał cedr, którego liście całkiem były obumarły, ale za to od stóp aż do wierzchołka opinały się na nim girlandy mchu zwanego *tillandsia*, i przy wstającym brzasku porannym, czyniły go podobnym do sztraszydła, w żałobne ubranego szaty.

Pod tém drzewem, Dred od czasu do czasu grzebał ciała zbiegów, które wynalazł śród bagien, zabobonne jakieś znaczenie przywięzując do tego obrzędu. —

Wdowa nieboszczyka, żona Dreda i świeżo przybyły Murzyn, stali nad płytkim grobem, gdyż tutaj zaledwie tak głęboko wykopać było można dół, aby się zwłoki w nim skryły; cokolwiek bowiem głębiéj, już się woda pokazywała. Na wschodzie kraśniała już zorza, a księżyc i gwiazdy świeciły jeszcze na niebie. Dred spojrzał w niebo, i rzekł uroczystym głosem:

— Udajcie się do Tego, który stworzył Arktura i Oriona, — który cienie śmierci w brzaski jutrzenki zamienia! Patrzcie na te światła niebieskie, — są to światła które On trzyma w swych rękach, — w rękach grzechami ludzkiemi przebitych. Ale przyjdzie czas, że On grzechów ludzkich dłużéj znosić niezechce. I nadejdzie

dzień straszego sądu! Wtedy On, wedle sprawiedliwości swojéj nagrodę i karę wymierzy, a jego grad zniszczy fałszu kryjówki!

Schylił się, podjął trupa, i włożył go do grobu. Wtenczas wdowa poczęła płakać i wyrzekać.

— Cicho kobieto! — zawołał Dred wznosząc rękę.— Nie płacz nad umarłym, ani go nieżałuj; płacz raczéj nad żyjącemi! On musi tutaj spoczywać, dopóki więcéj braci jego wymordowanych niezostanie, bo widzenie zapieczętowane jest do pewnego czasu. Trzeba więc czekać, a czas ten przyjdzie! —

Rozdział IX.

JESZCZE W KANEMIE.

Przepyszny ranek, błyszczący jeszcze łzami nocnéj rosy, zeszedł nad Kanemą, podobny do oblubienicy w ranek weselny. Krople deszczu świeciły i migotały niby dyamenty na odświeżonych listkach, a niezliczone, świeżo rozwinięte róże, cudowną woń rozlewały do koła.

Uczestnicy wczorajszego zgromadzenia pobożnego, w najlepszych humorach zasiedli około stołu zastawionego do śniadania, a to, co wczoraj jeszcze tak silnie niemi wstrząsało, stało się dla nich dzisiaj przedmiotem lekkiéj i wesołéj rozmowy.

Jeszcze kiedy wracali do domu, mówili o wypadkach dnia tego, i niemogli ukryć swego podziwienia nad szczególném zdarzeniem, które dzień zakończyło. Ale wszystkie te straszne obrazy zbrodni z jednéj, a cierpienia z drugiéj strony, te okropne widzenia, które zdawały się przesuwać przed oczyma duszy tajemniczego mowcy, były dla nich tak obce i nieznane, jak dla mieszkańca

miękkiemi kobiercami wyłożonego buduaru w Nowym Jorku, okropności lodowatego morza.

Arystokracya południowych Stanów tak starannie oddala od siebie wszelką znajomość uczuć podporządkowanych jéj klas robotniczych, że najokropniejsze tuż obok niéj mogą się dziać nadużycia, o których ona najmniejszego niema wyobrażenia, ani nawet przeczucia. Okropność i udręczenia nieoddzielne od handlu Murzynami, były dla Niny i Anny Klayton księgą zamkniętą; — nigdy one nawet we śnie im się nieprzymarzyły, a wuj John jeżeli wiedział co o nich, to starał się zawsze podobnych scen unikać, tak, jak odwracał się od każdego widoku brzydkiego, lub przykrego. — Słyszeli oni wprawdzie wszyscy, o owych strzelcach na Murzynów polujących, i uważali ich jako ludzi brudnych i nikczemnych, ale głębiéj niezastanawiali się nad tym przedmiotem; niepomału więc zdziwili się, usłyszawszy o owych ciężkich grzechach, które na nich gniew boski ściągnąć miały.

Myśli i uczucia, które może w niejednym z nich wczoraj powstały, przybrały całkiem inny koloryt przy świetle dniowém.

Każdy z nas doświadczył tego pewnie na sobie, że między dniem dzisiejszym a jutrem, w wyobrażeniach naszych częstokroć ogromna zachodzi zmiana. To cośmy w obec gwiazd, albo pod wpływem uroczystego światła księżyca powiedzieli lub pomyśleli, w gorącym blasku słonecznym skrzydeł niejako dostaje, i wraz z błyszczącemi kroplami rosy do nieba ulata. Gdyby wszystkie dobre postanowienia i wszystkie modlitwy, które się z nami na nocny spoczynek kładą, nazajutrz z rana

wstawały znowu wraz z nami, świat o wiele byłby lepszy.

Prawda ta stwierdziła się też na stryju John, skoro tylko zasiadł do śniadania. Wczoraj wieczór wyrobiło się było w nim przekonanie, że on przecież niejest po prostu tylko otyłym, podstarzałym jegomością, w niebieskim surducie i białéj kamizelce, u którego głównym celem życia jest tylko: dobrze jeść i pić, dobrze spać, czystą zawsze mieć bieliznę, i wszelkie troski starannie od siebie odsuwać. Uczuł on w sobie walkę jakichś żądz i pragnień czegoś innego; — były to poruszenia tego wielkiego, częstokroć całe życie drzemiącego śpiocha, które go my duszą nazywamy, a który jak tylko się obudzi, staje się nader przykrym, niespokojnym i natarczywym lokatorem, i dla tego téż wszelkiemi możebnemi narkotykami, czémprędzéj usypiany bywa.

Wczoraj wieczór, ten niespokojny gość, zbudzony ze snu wyrazami: sąd, wieczność, itd., doprowadził do tego wuja Johna, że wszedł w samego siebie, i jako żałujący grzesznik ukląkł, i modlił się o przebaczenie swych grzechów. Ale dzisiaj rano, wstydził się tego prawie, chociaż podobno piękniejszych chwil mało w życiu swojém byłby mógł naliczyć.

Przy stole rzucił ktoś między innemi pytanie, czy dzisiaj zrobić powtórną wycieczkę na miejsce zebrania, czyli téż nie?

— Spodziewam się, — rzekła ciotka Marya, — że ty przynajmniéj niepojedziesz Gordonie. Dla ciebie lepiéj daleko żebyś się wstrzymywał od podobnych okazyj, bo nieuwierzysz jaką zgrozą byłam wczoraj przejętą, widząc cię klęczącego wśród tego motłochu!

— Trzeba wam wiedzieć moi Państwo, — odparł na to stryj John, — że Mrs. Gordon zanim wejdzie do nieba, poszle wprzód zawiadomienie, że ona przywykła tylko z wielkim światem obcować, i dla tego prosi, aby ją wielkiemi drzwiami wpuszczono.

— Uważaliście Państwo, — przerwała Nina, na inny przedmiot zwracając w drażliwy ton przechodzącą rozmowę, — z jaką troskliwością poczciwy Tiff chodzi około tych dzieci, pod jego zostających opieką. On mi się zupełnie tak wydaje, jak owe jemioły, które widzieć można na drzewach rosnących wśród bagien. One zdają się niemieć żadnych korzeni, któremiby soki pożywne dla siebie czerpały; — o nim także nikt niewie czém i jak żyje.

— Dzieci wyglądały bardzo ładnie i przyzwoicie, — rzekła Anna Klayton; — jak one czyściuteńko były ubrane. —

— Moja najdroższa, — odrzekła Nina, — Tiff ile razy mię widzi, zawsze zasięga méj rady w tym względzie, i doprawdy, śmiech bierze słuchając go jak o tém rozprawia. Mogę cię zapewnić, ze ten stary Murzyn, co się tyczy stroju, ma tyle gustu co pierwsza francuzka modniarka. Powiadano mi zawsze, że posiadam wielki talent do ubierania się dobrze, i wystaw sobie Tiff umie ocenić we mnie godnie tę wysoką zdolność. Czyż to nie pięknie z jego strony? — Gdy widzę tego poczciwca idącego z dziećmi, przychodzi mi zawsze na myśl brzydki kaktus z pięknemi kwiatkami; — i on téż zdaje się do nich takie same rościć sobie prawo, jak kaktus do swoich kwiatków. Ojca ich nieuważa za nic, a wszystko czego po nim żąda, ogranicza się na tém: aby za-

wsze z daleka był od swych dzieci, a jemu wszystkie starania około nich zostawił. Cały więc ciężar ich wychowania, spoczywa na barkach poczciwego starca.

— Cieszy mię to niewymownie, — rzekła ciotka Nesbit, — że ty tak dobrze trzymasz o tych dzieciach; bo co do mnie, to przekonana jestem, że z nich nic dobrego nie będzie. Przekonasz się.

— A zresztą, mnie się zdaje, — dodała ciotka Marya, — że my zanadto wiele mamy do czynienia z własnemi sługami, żebyśmy jeszcze mieli się opiekować wszystkiemi białemi nędzarzami.

— To ja się też nieopiekuję wszystkiemi białemi, — odparła Nina, — ale co temi dziećmi, to będę się opiekować.

— Życzę szczęścia! — zawołała ciotka Marya.

— Ale co to się stało Harremu? — rzekła ciotka Nesbit. — Jakiś wydaje się dzisiaj niezmiernie znękany.

— Czy tak? zapytała Nina. — Nieuważałam tego.

— Jakoś on się to tam i zrestauruje, — rzekł stryj John. — Kto tam może wiedzieć co mu jest! Ja się go później popytam o to; — a teraz powiem ci coś, mój przyjacielu, — mówił zwracając się do Klaytona, i kładąc rękę na jego ramieniu. — Oto ty weźmiesz jednokonkę, i powieziesz naprzód tę małą grzesznicę, a ja z resztą dam pojadę za tobą. — Wiesz o tém, że Mis Gordon zajmuje całą moją duszę, — ale mimo tego, takie niebiańskie istoty jak Mis Anna, niezaprzeczenie także nader dobroczynny wpływ na mnie wywierają.

Klayton z ochotą naturalnie przystał na tę propozycyą, i niebawem całe towarzystwo wyruszyło w drogę.

— No, jedź naprzód Klaytonie, — rzekł stryj John spoglądając na niego figlarnie, kiedy wsadzał Ninę do

pojazdu. — A wysłuchaj téż tam spowiedzi tę małą grzesznicę, bo ona bardzo potrzebuje duchownego doradcy. Powiadam ci, że w całéj północnéj Karolinie, niema takiéj drugiéj dziewczyny jak ona! To czysta krew, mój kochany. Musisz jéj z początku folgować; niech sobie troszkę poswawoli, to potém sama da się powodować. Ja najbardziéj lubię takiego konia, co z razu ponosi, rwie uprząż, i pojazdy trzaska; bo taki jak się z czasem uchodzi, to niema nadeń lepszego. —

Po tych nauczających uwagach, stryj John odwrócił się od Klaytona, i pomógł Annie przy wsiadaniu. —

Klayton zanadto dobrze pojmował swoje stanowisko, ażeby ze swojego *tête à tête* miał korzystać w taki sposób, jak mu stryj John doradzał. Wiedział on dobrze, że przy takiem usposobieniu i charakterze jaki miała Nina, najkorzystniéj dla niego będzie, jak najzupełniejszą zostawić jéj swobodę; to téż żaden dziadek niebyłby się zachował spokojniéj i poważniéj jak on, w czasie téj przejażdżki we dwójkę. —

Ranek był taki cudowny, jakto zwykle bywa po burzliwéj nocy. Powietrze w lesie przez który szła droga, przepełnione było żywiczną wonią, którą wydawały drzewa szpilkowe, a na nie padały ukośnie promienie wzbijającego się dopiéro ku górze słońca, i tęczowemi barwami rozświecały zawieszone na nich krople nocnego deszczu. Na niebie widać było mnóstwo obłoczków do wysp podobnych, które ostro odrzynając się na tle ciemno niebieskiém, stanowią charakterystykę amerykańskiego nieba.

Już zdaleka odgłos pobożnych śpiewów dolatywał do ich ucha, a zanim na miejsce przybyli, spotkali nie jednę

hałaśliwą grupę, noszącą na sobie widocznie ślady zbyt gorliwych odwiedzin budy Abijaha Stinkflint, i tym podobnych zbawiennych zakładów. —

Odszukali namiot Tiffa, i zastali go zajętego prasowaniem sukienek dla najmłodszego dziecka, które wczoraj wieczór był poprał, a przez noc wysuszył.

Kazanie się jeszcze było niezaczęło, i cała zgromadzona ludność rozmawiając przechadzała się wsród namiotów. Kobiéty zajęte były gotowaniem i myciem naczynia, przyczem rozgadywały się i obmawiały co się zmieściło.

Najgodniejszém uwagi kazaniem, było tego dnia kazanie ojca Dickson, zakończone silnym zwrotem ku okropnościom niewoli. Wykazał on zarówno Metodystom jak i Presbyteryanom że ich prawa zasadnicze niewolę stanowczo potępiają, że John Wesley uważa ją jako *nec plus ultra* ludzkiego upodlenia, i że ostatnie walne zebranie kościoła prezbiteryjańskiego, uznało ją jako całkiem przeciwną religii chrześciańskiéj, któréj jedném z głównych przykazań jest: kochaj bliźniego twego, jak siebie samego! — Opowiedział następnie scenę któréj świadkiem był zeszłéj nocy w obozie Murzynów; — mówił o okropnościach towarzyszących handlowi niewolnikami; — skreślił rozczulający obraz scen rozłączenia i stargania wszelkich familijnych, domowych i towarzyskich węzłów, które z niego wynikają, a wspomniawszy o tajemniczym mowcy wczorajszym, oświadczył, ze on pojmuje znaczenie słów jego, i że jeżeli się wszyscy nie wezmą do skruchy i poprawy, bardzo być może, że kraj dozna skutków gniewu Pańskiego.

Ponieważ wszystko to mówił z wielkiém uczuciem, przeto słowa jego trafiły do serca słuchaczów i niejedne-

go do łez poruszyły; — ale jak skoro się tylko kazanie skończyło, wszystkie te dobre natchnienia zdawały się ulatniać i uchodzić, jak uchodzi fala od skały odbita. Bo daleko jest łatwiéj wziąść udział w jakiém nagłém, gwałtowném wzruszeniu, aniżeli poddać się powolnéj poprawie. —

Kazanie ojca Dikson, wywołało zaraz na miejscu zebrania mnóstwo uwag i rozpraw, a nikt go niechwalił głośniéj i zawzięciej, jak ów handlarz gieorgijski, który siedząc na szynkwasie Abijacha dowodził, że ojciec Dickson, jest kapłanem w całém znaczeniu tego słowa, i że podziwiać trzeba jego odwagę; — a wreszcie, że gdyby duchowni i członkowie zgromadzenia kościelnego wyrzekli się kupowania niewolników, to on pierwszy szukałby innego zarobku.

— To było dobre kazanie, — rzekła Nina; — aprobuję je co do słowa. Ale, jak pan myślisz, co nam teraz robić wypada?

— Powinniśmy emancypacyą Murzynów uważać jako fakt nieuchronny, — odparł Klayton, — i ludzi naszych w jak najkrótszym czasie do niéj przygotować.

Rozmowa ta toczyła się podczas gdy całe towarzystwo pod cieniem drzewa zasiadło do obiadu, na wielkim koszu w pośrodku zastanowionego. —

— Niech mię Bóg skarze, mój Klaytonie, — rzekł stryj John, — jeżeli wiem, czemeśmy na takie karcące zasłużyli kazanie? Pytam się, komu my u Pana Boga, jaką krzywdę robimy? Co się tyczy naszych niewolników, to oni się mają daleko lepiéj niż my! Powiadam to z ręką na sercu, i z krwią zimną, to jest o tyle zimną, o ile nią być może na takim upale. Weźmy

naprzykład moich Murzynów! Czy ja mam kiedy swoje kurczęta, jaja, albo ogórki? Nie, przenigdy! Moje kurczęta zawsze wyzdychają, a moje ogórki zawsze zjedzą robaki; Murzyni to ich mają podostatkiem; u nich ogórki zawsze jak las, i naturalnie ja muszę je od nich kupować! Oni wychowują sobie kurczęta, które ja od nich odkupuję także, i każę je piec lub gotować, na to tylko żeby je znowu oni zjedli. To tak jest zawsze!—No, co się tyczy owych murzyńskich obozowisk, owych więzień na niewolników, i całego tego handlu, to nieprzeczę, że to jest coś obrzydliwego, coś okropnego. Ależ, na miłość boską, czyż ja chcę, żeby coś podobnego u nas exystowało! Jabym każdego handlarza psami wyszczuł z mego domu, chociaż te kędzierzawe łby już mię prawie chcą z jeść z nogami! Nie, doprawdy, — ja nielubię takich kazań. —

— Nasz Mr. Titmarsh, całkiem inaczéj naucza, — odezwała się ciotka Nesbit. — On dowodzi, że niewola zasadza się na Piśmie Ś. i że Bóg ją postanowił.

— Mnie się zdaje, — rzekła Nina, — że sam zdrowy rozsądek powinienby każdego przekonać, iż to, co dla obu stron tak smutnych następstw staje się przyczyną, niemoże pochodzić od Boga. —

— Kto to jest ten p. Titmarsh? — zapytał Klayton Niny pocichu.

— O, to jest jeden z ulubieńców ciotki Nesbit; — ale dla mnie jest on prawdziwym postrachem. To nie człowiek, — to słownik teologiczny w chustce na na szyi! Cierpieć go niemogę.

— Niech sobie tam ludzie gadają co chcą o północnéj naszéj demokracyi, — rzekł stryj John, — ja niemam

o niéj wysokiego wyobrażenia. — Na co, pytam się, temu co musi pracować, przydać się może wykształcenie?— Owszem dla takiego niemasz nic szkodliwszego! Słyszałem ci ja o takich uczonych kowalach, którzy tylko włóczą się, rozprawiają, a roboty niepilnują. To mi się wcale niepodoba, — to tylko ludzi z właściwéj im sfery wytrąca. To téż proszę widzieć, co to za zamęt, co za tumult w tych północnych Stanach! Wszelakie kacerstwo i niedowiarstwo, z nikąd niepochodzi, tylko z téj północy! Prawda, że u nas tutaj djabelnie kuso z temi białemi biédakami, — ale bo téż niemamy jeszcze nad niemi takiéj władzy, jakby należało. Ale spodziewam się, że wkrótce poddani zostaną pod naszą zwierzchność na równi z Murzynami, i wtedy będzie dopiero, jak być powinno. —

— Otóż to są pojęcia stryja Johna o królestwie niebieskiém, — zawołała Nina. —

— Niema kwestyi, — mówił daléj stryj John, — że niższe klassy potrzebują nad sobą zwierzchności klas wyższych; i to jest prawie wszystko czego im potrzeba. — Oprócz tego powinny tylko wiedzieć to, czego ich naucza katechizm episkopalnego kościoła, — to jest: „żeby się uczyły i pracowały wiernie, aby umiały zarobić na swoje utrzymanie, w zakresie, do którego je Bogu przeznaczyć się podobało.“ Tym tylko sposobem powstać może porządna klassa niższa i przyzwoity porządek społeczny. Wyższe klassy, powinny także znać swoje obowiązki; powinny być przystępne, ludzkie, pobłażające, itd. Takie przynajmniéj jest moje pojęcie państwa.

— A więc pan niejesteś republikaninem, — zarzucił Klayton.

— Ale i owszem! jestem nim! Ja wierzę w równość p a n ó w i w równouprawnienie ludzi wykształconych.— W ten sposób pojmuję rzeczpospolitą.

— Klayton, Nina i Anna wybuchnęli głośnym śmiechem. —

— Ktoby widział stryja Johna, jak grzeczny i uprzejmy jest dla każdego, — rzekła Nina, — myślałby, że to jest największy na całéj kuli ziemskiéj demokrata. A tymczasem cała ta uprzejmość pochodzi z tąd, że jest niesłychanie pewny swojéj wyższości. Niewzdryga on się uklęknąć przed ołtarzem obok Ben Dakina, albo Iima Stokes, ponieważ jest przekonany, że stanowisko jego w żaden sposób skompromitowane być niemoże.

— I ponieważ oprócz tego mam i to najmocniejsze przekonanie, że w obec Stwórcy naszego, wszystkie różnice stanów są tylko dziecinną igraszką! — wyrzekł stryj John tonem pełnym uroczystości, która widocznie z serca pochodziła.

Całe towarzystwo zgodziło się jednomyślnie, żeby nieczekać na wieczorne nabożeństwo. Powab nowości już był przeminął, a ciotka Nesbit poczęła przebąkiwać o szkodliwych skutkach padającéj rosy i nocnéj wilgoci. Gdy się więc powietrze dostatecznie ochłodziło, zabrano się do powrotu. Smugi zielonego i złotego światła, wskróś drzew padały na drogę, a ptaszki wśród gałęzi odśpiewywały pieśń wieczorną.

Nina i Klayton oddali się powabom spokojnéj i swobodnéj rozmowy. —

— Dziwna to jednak rzecz, — rzekła Nina, — jakie sprzeczne są pojęcia ludzkie na tym świecie! Są ludzie, którzy mają w sobie coś, co nazywają religią, co jednak nieprzynosi im żadnéj korzyści, bo przez to niestają się lepszemi. Ja téż wolę zostać tak jak jestem, niż posiadać to, co oni chrzczą imieniem religii. Ale są znowu inni, którzy posiadają to, o czém ja przekonana jestem, że to właśnie jest religią, i oddałabym wszystko, gdyby mię tylko kto nauczył, jak można przyjść do tego. Naprzykład Liwia Ray. Szkoda że pan nieznasz Liwii. Ona ma to szczególnego do siebie, że jest dobrą, niebędąc głupią. Powiedz mi pan, zkąd to pochodzi, że dobrzy ludzie są po większéj części tacy głupi?

— Bo częstokroć dobrocią nazywamy to, co właściwie jest tylko brakiem charakteru. Częstokroć także zwykliśmy mówić o kimś, że umie panować nad sobą, kiedy on w istocie panować niema nad czém. Inni znów mówią dużo o zgadzaniu się z wolą Bożą, a tymczasem życzenia ich są tak słabe, że dla nich ten lub ów sposób życia zarówno jest wygodny. Tacy ludzie przyjmują z wielką łatwością powierzchowne formy religijności, wyuczają się pewnych frazesów napamięć, i stają się typowemi exemplarzami takich dobrych a głupich ludzi, o jakich pani mówiłaś.

— Liwia była to szczególna dziewczyna. Odebrała wychowanie takie, jakie dają dziewczętom w nowéj Anglii, to jest ściślejsze i bardziej męzkie niż u nas. Czytała równie płynnie po grecku i po łacinie, jak po francuzku i po włosku. Posiadała umysł nader bystry, była przebiegła i dowcipna, i miała w sobie jakiś dziki wdzięk, podobny do tego, z jakim zwieszają się kiście

dzikiego winogradu. Czy uwierzysz pan, że ja prawie ubóstwiałam Liwią. Zdaje mi się, że od niéj przez czas jéj krótkiego pobytu na pensyi więcéj skorzystałam, aniżeli od wszystkich nauczycieli. To tak miło wiedzieć, że tacy ludzie istnieją na świecie: — nieprawdaż?

— Zapewne, — odrzekł Klayton, — wszystko co dobre, ma źrzódło w osobistości pojedyńczych ludzi. Weźmy naprzykład książki; czytanie ich nieprzynosi nam samo przez się tyle korzyści, co znajomość, jaką w skutek czytania zabieramy z autorem. Po przeczytaniu prawdziwie dobréj książki, czujemy zawsze że w autorze jéj, jest coś więcéj nad to, co powiedział.

— Otóż to właśnie, — zawołała Nina, — co ja czuję względem Liwii. Ona mi się wydaje niby bogatą kopalnią; ile razy znajdowałam się obok niéj, zawsze czułam, że ją znam tylko przez połowę, a pragnęłam bardzo poznać ją lepiéj. Przy sposobności pokażę panu kilka jéj listów. Ona prześlicznie listy pisze, a ja cenię to tém bardziéj, że sama tego nieumiem. Ja lepiéj daleko mówię niż piszę; — zdaje się, jakgdyby myśli moje niemiały ochoty za pośrednictwem ręki na świat wychodzić, i dla tego torują sobie drogę przez usta. Ach! gdybyś pan widział Liwią! Patrząc na takich ludzi, zawsze jestem niekontenta z siebie. — Nierozumiem, czém się to dzieje, że tak lubię rzeczy i ludzi wyższych odemnie, chociaż oni wpajają we mnie przekonanie o mojéj niższości. Od czasu jakem usłyszała Jenny Lind, straciłam całkiem ochotę do śpiewu i muzyki i chciałam wszystkie nuty od razu podrzeć na kawałki; a przecież lubiłam to pierwéj. Ale wszystkie moje usi-

łowania w tym przedmiocie, doprowadziły mię tylko do tego, że sama z siebie byłam niezadowolona.

— Otóż to właśnie jest podstawą wszelkiéj doskonałości, — i sam Chrystus wyrzekł: „Błogosławieni ubodzy w duchu!“ — Nieodzownym warunkiem wszelkiego postępu w sztukach i umiejętnościach, jest świadomość własnéj niedoskonałości.

— Wiesz pan co? — rzekła Nina po chwilce milczenia. — Ja doprawdy dziwię się, coś pan sobie we mnie upatrzył. Nieraz już myślałam sobie, że panu powinna się była dostać Liwia.

— Bardzo pani jestem obowiązany, za tę jéj o mnie troskliwość. Ale cóż pani powiesz, jeżeli mimo tego zostanę przy moim wyborze? My mężczyzni bywamy czasami tak samo uparci jak płeć piękna.

— No kiedy pan już masz taki gust zepsuty, że obstajesz przy swojém, to muszę zwrócić pańską uwagę na to, iż pan niewiesz co cię czeka. Ja jestem bardzo nieukształcone i niepraktyczne stworzenie; nieprowadzę żadnych rachunków i niejestem wcale gospodynią. Szafy i szuflady zostawiam zawsze otworem, rozrzucam papiery po wszystkich kątach, często bardzo zapominam położyć datę, drę gazety, i tysiączne inne popełniam zdrożności. Otóż jednego pięknego dnia panbyś się zapytał: „Nina, dla czegoś tego niezrobiła?“ a „dla czegoś tamtego niezrobiła?“ a „dlaczegoś niezrobiła owego?“ — albo też: „Nacoś to lub owo zrobiła?“ — O, już ja was nieraz słyszałam tak mówiących, moi panowie! A wiesz pan, że toby się wcale niepodobało, i zresztą nieprzydałoby mi się na nic. Ja niemam najmniejszéj nadziei, żebym się kiedyś poprawiła, i dla te-

go nieobowięzuję się wcale do tego. No cóż, będziesz pan z moich przestróg korzystał?

— Nie, — odparł Klayton patrząc na nią z dziwnym uśmiechem, — podobno nie będę.

— A! Jak wy mężczyzni jesteście w postanowieniach swoich nieprzeparci i niewzruszeni! — zawołała Nina, także uśmiechając się, ale z przymusem.

— Kobiety tak mało posiadają téj cnoty, — odrzekł Klayton, — że my musimy ją za siebie i za nie wykonywać.

— Więc pan upierasz się przy swojém? — zapytała rumieniąc się Nina.

— Tak jest, moja mała czarodziejko. Kiedy wymagasz tego po mnie, to oświadczam, że tak jest. To rzekłszy, Klayton objął ją w pół i patrząc jéj bystro w oczy zapytał: — A teraz, moja ty dzika ptaszeczko, czym cię uchwycił nareszcie? — I....

Ale już i tak rozdział ten przedłużyliśmy nad zamiar.

Rozdział X.

POWRÓT MILLY.

Jak wszystko co przyjemne, tak też i pobyt Klaytona i jego siostry w Kanemie, skończył się nareszcie.

Klaytona powołały do siebie książki i korespondencya, a Anna miała jeszcze odwiedzić kilka znajomych rodzin, przed powrotem do Magnoliahain, własności brata, gdzie miała czuwać nad wykonaniem niektórych jego planów, i nad wychowywaniem i kształceniem jego Murzynów.

Chociaż do samego ostatka żadne formalne zaręczyny Niny z Klaytonem niemiały miejsca, jednak wszyscy wiedzieli, ze zachodzącemu między niemi stosunkowi, tylko téj nazwy brakowało. Między Niną a Anną zawiązała się najgorętsza przyjaźń, i obiedwie pokochały się bardzo, chociaż Nina codziennnie prawie musiała zrobić coś takiego, co raziło wykształcony umysł Anny, a Anna znowu miała skłonność do prawienia kazań, co się bardzo często młodym damom przytrafia.

Pozwólmy sobie rzucić domysł, że przez pierwszych ośm dni po odjeździe gości, Nina czuła się bardzo niespokojną i sama niewiedziała co począć ze sobą. Wypadek który zaraz opowiemy, a który całkiem inny zwrot nada naszemu opowiadaniu, nastręczył jéj nareszcie nowe zajęcie.

Gdy jednego dnia po śniadaniu siedziała pod werandą, naraz, zwróciły jéj uwagę na siebie tłumne jakieś wykrzykniki i wołania, dochodzące jéj ucha z prawéj strony, z pośrodka chat murzyńskich. Spojrzawszy, z wielkiem podziwieniem ujrzała Milly, stojącą wpośród gromady Murzynów, którzy ją otaczali wykrzykując coś, i giestykulując żywo. W mgnieniu oka Nina zbiegła po schodach, chcąc się przekonać co to znaczy. Gdy się zbliżyła, z przerażeniem spostrzegła, że stara jéj przyjaciołka głowę miała obwiązaną, jednę rękę na temlaku, i ledwie nogi za sobą włóczyła.

— Milly! — zawołała Nina przyskakując do niéj. — Na Boga! co tobie jest?

— Nic, nic, moje dziecie, jak skoro ja już być w domu, — odrzekła Milly.

— Ale cóż ci to w rękę?

— Eh, nic. Ten człowiek tam strzelić był do mnie, ale dzięki Bogu niezastrzelić mię. Ja niemieć żadnéj złości do niego, ale ja sobie pomyśleć, że to niedobrze i niegrzecznie być, żeby on sobie tak ze mną postępować i ja pójść precz od niego.

— Pójdź, pójdź ze mną do domu! — zawołała Nina uchwyciwszy Milly za zdrową rękę i ciągnąc ją za sobą po schodach. To hańba! Pójdź Milly, pójdź ze mną! Ten człowiek! A ja wiedziałam, że jemu ufać niemo-

żna! To to takie było to dobre miejsce, o które ci się wystarać obiecał?

— A tak, tak! — rzekł Tomtit, który ciągnął za Niną na czele całéj gromady młodych Murzynów, gdy tymczasem Róża, Stólatek i kilku innych weszli wraz z nią aż na werandę.

— Wielki Boże! użalała się nad przybyłą ciotka Róża. Ktoby to był pomyśleć! Otóż to tak być, kiedy stare familie wynajmować swoich Murzynów takim pospolitym ludziom!

— No, Milly zawsze być taka dumna, — rzekł Stólatek. Ona zawsze tak do góry głowę zadzierać. Ja się wcale temu niedziwić!

— Ruszać sobie precz, ty stary pyskaczu! — wrzasnęła ciotka Róża. — Ja nieznać nikogo coby bardziéj głowę zadzierać, jak ty!

Nina odprawiwszy zgrają młodych próżniaków i ciekawe sługi, wzięła się do opatrzenia biednéj swéj przyjaciołki. Ramie jéj ugodzone było kulą, która pozostawiła po sobie głęboką ranę, obecnie rozjątrzoną i zaognioną niezmiernie w skutek upałów i wielkiego wysilenia.

Gdy odjęła zawiązkę otaczającą jéj głowę, ukazało się kilka głębokich i krwawych ran na skórze.

— Co to jest znowu? — zawołała Nina.

— To on tak mnie był bić w głowę. — Ale on być wtedy pijany i sam niewiedzieć co robić!

— Nie, to doprawdy hańba i zgroza! — Patrz ciocia! — obróciła się do wchodzącéj ciotki Nesbit, — o są skutki ciocinego uporu!

— O Boże! Doprawdy, ja niewiem co teraz robić — zawołała ciotka Nesbit litościwie.

— Co robić? Naturalnie, trzeba najprzód te rany obmyć i obwiązać, — odparła Nina przykrawając spiesznie bandaże i kazawszy sobie podać ciepłéj wody.—Już ja ją sama opatrzę; — ja dosyć dobrze umiem chodzić koło chorych, kiedy już na to przyjdzie.

— Niech Bóg ciebie błogosławi moje dziecię! To tak dobrze, tak miło, kiedy człowiek przyjść do domu, między przyjaciół.

— Wierzę ci. I dla tego téż teraz, niech co chce będzie, już cię więcéj od siebie niepuszczę,— rzekła Nina bardzo zręcznie i szybko obmywszy i obandażowawszy jéj rany. — No, tak już przecie trochę lepiéj wyglądasz; ale teraz idź, połóż się w moim pokoju i wypocznij.

— Bóg zapłać wam moje najsłodsze dziecię; ale ja będę pójść do mojéj stancyjki; mnie się zdawać, że ja tam jeszcze bardziéj być w domu.

Nina poszła z nią, pomogła jéj się rozebrać, pozamykała okiennice, przykryła ją szalem, i zaleciwszy jéj parę razy aby spała spokojnie, opuściła jéj izdebkę.

Potem niecierpliwie oczekiwała aż się Milly obudzi, bo pragnęła dowiedzieć się szczegółów jéj historyi.

— To śliczna rzecz!— rzekła do ciotki Nesbit, wchodząc do jéj pokoju. — Ale już my pociągniemy do odpowiedzialności tych ludzi; pożałują oni swéj niegodziwości.—

— To będzie z wielkiemi kosztami połączone, — odrzekła ciotka Nesbit, — niemówiąc już nic o stracie czasu.—

— Już ja napiszę o tém natychmiast do Klaytona; przekonana jestem, że on tak samo jak ja weźmie to do serca. — On zna prawo i będzie wiedział co z tém zrobić.

— Ale to wszystko pociągnie za sobą wydatki, — rzekła ciotka Nesbit z wielkim smutkiem. — Nieszczęście nigdy samo niechodzi! Jak ona niewróci to ja stracę jéj zasługi! A prócz tego jeszcze koszta procesu! Mojém zdaniem, Milly powinna była być uważniejszą na skutki które z jéj postępowania wynikną.

— Ależ na miłość Boską, ciotko, przecież niepodobna, abyś chciała żeby ona nazad wróciła!

— O, nie! Oczywiście że nie; ale zawsze to szkoda! Zawsze to wielka strata!

— Doprawdy ciociu, mówisz tak, jakbyś o niczém niemyślała tylko o swojéj stracie! Zdaje się, jakgdyby cię to nieobchodziło co Milly wycierpiała.

— Owszem, mnie to bardzo przykro, — rzekła ciotka Nesbit. — Ciekawa tylko jestem, długo ona też leżeć będzie musiała. Doprawdy wolałabym była inną wynająć, któraby mi nie była tak potrzebna jak Milly! —

— No, to tylko na nią podobne! — zawołała Nina z uniesieniem, wybiegając z pokoju aby zajrzeć na Milly. — Niech się dzieje co chce, ona niewidzi i niesłyszy tylko siebie, — niemyśli tylko o sobie! Czemu ta Milly niejest moją!

Gdy Milly przespawszy się dobrze wyszła ze swéj izdebki, wyglądała już daleko lepiéj. Obdarzona od na-

tury wielką siłą i zdrowiem, była ona w stanie znieść daleko więcéj niż inni. Nina uspokoiła się, bo się przekonała, że rany jéj przyjaciołki niebyły niebezpieczne, i że wkrótce będzie téż mogła zupełnie przyjść do siebie.

— No, teraz proszę cię Milly, powiedz mi gdzieś była, — rzekła Nina, — i co to wszystko znaczy?

— Dobrze, moje najsłodsze dziecię. Wynająć mię był niejaki pan Barker, a ludzie powiadać byli, że to być porządny człowiek, i taki on téż być długi czas. Ale wy wiedzieć, że są tacy ludzie, co w nich dwojaki człowiek siedzieć: jeden dobry, drugi zły. Otóż on być właśnie z takiego gatunku. Ja niemòdz powiedzieć żeby on być nałogowym pijakiem, ale jak sobie był tylko trochę podchmielić, to on być taki zły i grubijanin, że mu nikt niemódz dogodzić. Jego żona być bardzo dobra, i on także, ale tylko do pewnego punktu. Ja z początku sobie myśleć, że mnie tam dobrze będzie, i bardzo mi się tam podobać; ale raz on był przyjść do domu i tak być, że jemu nic niemódz dogodzić. Oni tam mieć w domu jednę kobietę, która mieć znowu dziecko, takie malutkie. Otóż ta dziecina była się bawić kawałkiem węgla drewnianego i przypadkiem upuścić go na jego czyste koszule, które tam właśnie wisieć, bo ja je co tylko wyprasować była. On wtenczas taki się zrobić, że ja jeszcze nigdy niebyła widzieć takiego złego człowieka, jak on wtedy być. Ja już dosyć w życiu mojém słyszeć brzydkich wyrazów, ale takich jak on mówić, ja jeszcze niesłyszeć nigdy. On się zakląć, że zabić będzie dziecko, i ja myśleć, żeby on doprawdy to zrobić.

Biedactwo było się schować za mnie, a ja jego tak wstrzymywać, że on go niemodz dotknąć; — ale za to on się był rozzłościć na mnie, pochwycić bicz, i zacząć mię ciąć po głowie. Ja doprawdy myśleć była, że on mię będzie zabić, ale i tak ja dojść do drzwi, dziecko wypuścić, a Hanna je porwać i uciec z niém. On doprawdy być wtedy jak tygrys, — wrzeszczeć, pienić się, a bić mnie. Nareszcie ja jemu się była wyrwać i uciec. On wtedy pochwycić strzelbę, która zawsze stać nabita, i strzelić do mnie; kula trafić mię w ramię i polecieć daléj. Bogu dzięki że mi ręki niebyła strzaskać! Ja tęgo musieć umykać, ja módz to wam powiedzieć! Ale ja sobie wyobrazić, że ja niebyć bezpieczna gdyby zostać; i tak ja przyjść nareszcie do lasu, gdzie ja napotkać wolnych czarnych ludzi, którzy mię u siebie parę dni zatrzymać. Potem ja znowu puścić się w drogę, i przyjść do domu jak wy już wiedzieć.

— I dobrześ zrobiła żeś przyszła, — rzekła Nina.— Ale wiesz, że ja zaskarżę tego człowieka.

— Oh, mój Boże, nie! Mis Nina wy jemu nierobić nic złego. Jego żona być bardzo porządna dama, a on zdawać się niewiedzieć co robić!

— Zgodzisz się jednak ze mną Milly, gdy pomyślisz że to go zrobi lepszym dla drugich.

— No, rzeczywiście Mis Nina, to być prawda; ale jaby tego nigdy niezrobić z zawziętości przeciw niemu.

— Ty się niepotrzebujesz całkiem mięszać do tego,— odrzekła jéj Nina. — Ja napiszę do pana Klaytona, prosząc go o radę w téj mierze.

— To być dobry człowiek, rzekła Milly. — On z pe-

wnością nic niepowiedzieć, coby niebyć sprawiedliwie.— Ja myśleć że tak będzie bardzo dobrze.

— Zapewne. — Takim ludziom trzeba pokazać, że i oni zostają pod prawem. To ich może do opamiętania przywiedzie.

Jakoż Nina poszła zaraz do swego pokoju, i napisała do Klaytona długi list, w którym skreśliła wszystkie szczegóły tego wypadku, i prosiła go o radę i pomoc.

Czytelnicy nasi, przynajmniéj ci, którzy się w podobnych okolicznościach znajdowali, niebędą się wcale dziwić, że Klayton odebrawszy list ten, poczytał sobie za obowiązek, bezzwłocznie udać się do Kanemy. Zaledwie przeczytał pismo Niny, siadł na koń i po forsownéj podróży, niebawem stał się znów uczestnikiem domowego życia w Kanemie. Następnie z wielkim zapałem zajął się sprawą Milly.

—Jest to obowiązek, który na nas wkłada honor państwa i praw naszych, dowieść, że ustawy nasze odnoszące się do téj klassy ludności, która w skutek stanowiska jakie jéj naznaczono, całkiem jest bezbronna i wyłącznie naszéj powierzona opiece, mają moc swoję i ważność;—mówił Klayton. — Oni względem nas stoją w takim samym stosunku jak dzieci, i dla tego tém więcéj baczyć powinniśmy na każde ich praw naruszenie. —

Potem pojechał do pobliskiego miasta, w którém Milly była wynajęta, i przekonał się, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dla stwierdzenia istoty czynu, białych świadków powołać można będzie. Pewna kobieta, szwa-

czka, która właśnie wtenczas szyła w tym domu, przez całą tę scenę siedziała w sąsiednim pokoju. Ucieczkę Milly, i strzał który padł za nią, widzieli robotnicy pracujący w sąsiedztwie. Wszystko więc dobrze się jakoś złożyło, i sprawa została rozpoczęta.

Rozdział XI.

TRYUMF KLAYTONA,

— No, patrzajcie tylko panowie, — mówił Franciszek Russel do kilku adwokatów, z któremi siedział w jednéj z sal ustępowych sądowego gmachu w E*; — Klayton wsiadł wreszcie na swego bojowego rumaka, i pędzi na nas z rozpuszczonemi cuglami, jak lewiatan z sitowia.

— Klayton, to dobry chłopak, — rzekł jeden z nich. Lubię go, chociaż on bardzo mało mówi.

— Że on dobry? — zagadł go Russel wyjmując z ust cégaro; — toż to dobroć sama; — to ogromna siedmdziesiąt cztero funtowa armata, po sam wylot dobrocią nabita! Ale jak też kiedy wypali, lękam się, żeby zbyt wielkiego wstrząśnienia na świecie niesprawiła, gdyż, widzicie moi panowie, taka abstrakcyjna dobroć, nieda się zastósować na tym śmiertelnym padole. To prawdziwe zrządzenie Boskie, że on pierwszy raz w obronie takiéj sprawy występować będzie, gdyż to całkiem zgo-

dne jest z jego skłonnością do heroizmu. Usłyszawszy o tém, takem się tém zajął, że pobiegłem natychmiast do Smitersa, Jonesa i Petersa, i wymógłem na nich, że wstrzymali się ze swojemi sprawami, aby jemu wolne pole do popisu zostawić. Bo jeżeli mu się tą razą powiedzie, poweźmie tak dobre wyobrażenie o prawnictwie, że pozostanie i nadal w tym zawodzie.

— Jakże się to ma rozumieć? — zapytał któryś, — czy on to teraz nielubi prawnictwa?

— O, nie! Ale Klayton ma z natury bardzo eteryczny żołądek, któremu lada co zaszkodzi. Z pomiędzy tuzina spraw, on się ledwie jednéj podejmie; jest niezmiernie zamknięty w sobie i milczący; w każdéj krytycznéj chwili, dostaje pewnego rodzaju reumatyzmu w plecy i wtedy staje się do niczego niezdolny. Ale obrona niewolnicy będzie właśnie wodą na jego młyn.

— A to jakieś poczciwe stworzenie, ta niewolnica, prawda? — zapytał jeden z przytomnych.

— I należy do znakomitéj, staréj familii, — dodał drugi.

— Tak jest, — rzekł trzeci, — a ja do tego słyszałem, że dama jego serca, ma także jakiś związek z tą sprawą..

— Tak jest rzeczywiście, — odezwał się Russel. — Powiadano mi, że ta niewolnica jest własnością któregoś z jéj krewnych. Mis Gordon jest to mała, ale drażliwa osóbka, która takiéj rzeczy niezechce puścić płazem; a Gordonowie to rodzina mająca wielkie wpływy. To téż Klayton z pewnością wygra sprawę, chociaż prawo najzupełniéj będzie przeciw niemu.

— Tak? — zapytał jeden z adwokatów, nazwiskiem Will Jones.

— Tak jest, mój kochany, — odparł Russel; — ale to nic nieznaczy. Klayton swoją wymową potrafi opanować i przysięgłych i sędziów. To więcéj niż pewna.

— Dziwi mię tylko, że Barker téj sprawy jakoś nie załagodził.

— O, bo Barker jest uparty człowiek, — rzekł Russel. — Ci ludzie z średniego stanu pałają wielką nienawiścią ku starym, dobrym familiom. On staje do walki, bo to jest walka z Gordonami, i koniec. Zresztą, jego republikanizm odgrywa tutaj pewną rolę, — on nieustąpi Gordonom. W Barkera żyłach płynie krew szkocka, będzie to więc walka śmiertelna.

— Klayton zapewne piękną powie nam mowę.

— A, ma się rozumieć! — zawołał Russel. — Dalibóg, ja sambym niezłą mowę potrafił w tym przedmiocie powiedzieć. Bo zresztą, to było prawdziwe okrucieństwo, a ta Murzynka to bardzo jakieś poczciwe stworzenie. Przytem serce ludzkie bardzo jest skłonne do wzięcia udziału w rycerskiéj obronie bezbronnego. — Doprawdy, nieżyczyłbym sobie lepszego przedmiotu do sądowéj obrony. Ale Klayton potrafi ją bez porównania lepiéj powiedzieć, gdyż on będzie mówił całkiem zgodnie ze swojém przekonaniem, a na tém wiele zależy. Kiedy kto mówi z przekonania, słowa jego nabierają ogromnéj siły, któréj nic innego nadać im niepotrafi.

— Ja niepojmuję, mój kochany, — rzekł jeden z adwokatów, — dla czego ty sądzisz że prawo niebędzie po stronie Klaytona. Według mnie, to jest najokropniej-

sze nadużycie praw, jakie panowie mają nad niewolnikami!

— Zapewne, — odparł Russel. — Ten człowiek jest to bałwan, zwierz prawdziwy, wart żeby mu w łeb strzelić i tam daléj; — ale w gruncie rzeczy, on w niczém praw przysługujących mu nieprzekroczył, gdyż ustawy nasze, wszystkie prawa pana, przenoszą na wynajmującego. — Przeciw temu, zdaje mi się, nikt oponować się nie potrafi. — Pan zaś każdy, miałby był prawo zrobić zupełnie to samo, i niktby mu był słowa jednego za to nieśmiał powiedzieć; — i tak się téż bardzo często dzieje!

— Jednak to okropna rzecz!

— Prawda, mój drogi; ale na świecie pełno jest takich okropnych rzeczy. Świat jest teatrem scen bardzo brzydkich! — odrzekł Russel zapalając nowe cégaro.

— No, to jakże ty możesz utrzymywać, że Klayton wygra, kiedy prawo tak stanowczo jest przeciw niemu? — zapytał Jones.

— A, ty nieznasz jeszcze Klaytona. To jest mistrz w sztuce mistyfikowania! Trzeba ci jednak wiedzieć, że on przedewszystkiem sam siebie mistyfikuje; a kiedy człowiek zdolny zmistyfikuje sam siebie, to już z pewnością nikt mu się oprzeć nie potrafi. Muszę ci się przyznać, chociaż z boleścią serca, że ja nieraz dotkliwie czuję w sobie brak tego przymiotu. Widzisz, ja potrafię przybrać ton patetyczny, wzniosły, gdy tego potrzeba, — ale niepotrafię się tém przejąć na prawdę,— niewierzę sam w to co mówię, — i to jest właśnie najgorzéj. — Gdyby ludzie tak jak ja poznali twardą, suchą,

jałową prawdę życia, niebyłoby na świecie tyle próżnych uniesień.

— Dziwno mi, że tak mówisz, mój Russel, jakbyś w nic niewierzył.

— Owszem, ja wierzę, — odparł Russel; — wierzę w to, że naprzykład dwa razy dwa czyni cztery, i w inne tym podobne prawdy arytmetyczne; a wierzę także i w to, że zły źle czyni. — Ale co się tyczy Klaytona wzniosłych przywidzeń, to niemogę tylko szczęścia mu w nich życzyć. Zresztą, dopóki go słyszę, dopóty mu wierzę. To samo dzieje się ze wszystkiemi co go słuchają, — tak samo stanie się i z tobą; — i na tém też to wszystko zależy. — Ale mimo tego sama rzecz nie zmienia swojéj natury, i gdy się nazajutrz rano obudzę, czuję to dobrze. Szkoda, że tacy ludzie jak Klayton, miasto armat użyć się niedadzą. Roznosi on śmierć i spustoszenie wszędzie gdzie wypali, i gdybym ja go tak nabijać i celować nim umiał, utworzylibyśmy spółkę, przed którąby wszyscy drżeli. Ale jak mi Bóg miły, toż to on idzie! Hola! Klaytonie! A co, jesteś już gotów?

— Spodziewam się, — odrzekł Klayton. — Kiedy sprawa będzie przywołana?

— Niezawodnie dzisiaj.

Okoliczności tak się złożyły, że Klayton przy pierwszym swoim procesie, bardzo liczne miał mieć publikum; — sprawa ta bowiem tém większy budziła interes, że rodzina Gordonów była wielce znakomita i niezmiernie rozgałęziona. Klayton miał także wielu osobistych przyjaciół; ojciec, matka i siostra, mieli także być sprawie obecni, bo chociaż mieszkali w drugim pra-

wie końcu kraju, jednak wtedy właśnie zjechali byli w odwiedziny, niedaleko miasta E*.

Pierwszy występ młodego człowieka, w jakimkolwiek bądź zawodzie, tak jak pierwsza próba okrętu na morzu, ma w sobie zawsze coś takiego, co mu jedna ogólne współczucie.

W czasie kiedy się toczyła wyżéj przez nas przywiedziona rozmowa, rodzice Klaytona, siostra jego i Nina, w domu jednego ze swoich przyjaciół w E*, rozmawiali o tym samym przedmiocie.

— Jestem przekonana, że on wygra tę sprawę, — mówiła Anna z ufnością szlachetnie myślącéj kobiety i przywiązanéj siostry. Przytaczał mi w treści wszystkie swoje rozumowania i dowody, — i zdaje mi się, że ich zbić niepodobna. — Czy mówiłeś z nim o tém ojcze?

Sędzia Klayton chodził po pokoju tam i nazad, ze zwykłą swoją powagą, ręce w tył założywszy. Zagadnięty przez Annę zatrzymał się nagle i rzekł:

— Edwarda wyobrażenia tak są różne od moich, że uważałem za najlepsze, nieobałamucać go żadną w tym przedmiocie rozmową. Co do mnie, to uważam całą tę sprawę za bardzo nieszczęśliwą, i życzyłbym mu był, żeby sobie był inną na pierwszy raz wybrał..

— Sądzisz więc ojcze, że on jéj nie wygra? — zapytała Anna z zajęciem.

— Jeżeli wyrok zapadnie wedle prawa, to niewygra; odrzekł ojciec. — Ale Edward posiada wielką wymowę i zręczność zbaczania od głównego założenia; może więc być że i wygra.

— A ja myślałam, że sprawy zawsze wedle prawa

sądzone bywają! — zawołała Anna zdziwiona. — Kiedy tak niejest, to na cóż się prawa przydadzą?

— Bardzo jesteś naiwna moje dziecię; — odpowiedział jéj ojciec.

— Ależ ojcze, przecież gwałt jest tutaj jawny; zdaje mi się że go nikt niebędzie śmiał usprawiedliwiać!

— To téż nikt usprawiedliwiać go niebędzie, moje dziecko; ale to niema żadnéj ze sprawą styczności. Tutaj zachodzi po prostu pytanie: czy ten człowiek przekroczył przysługujące mu prawa, czyli nie? — Mojem zdaniem: nie. —

— Ach ojcze, cóż to za okropne zdanie!

— Mówię tylko po prostu o tém co jest, odparł sędzia. — Niemyślę przez to bynajmniéj usprawiedliwiać samego czynu. Edward jest w stanie niezmiernie działać na uczucie, a przy pomocy wymowy może mu się uda dokazać tego, że ludzkość tryumfować będzie kosztem prawa.

Po południu przyszła rzeczywiście koléj na sprawę Gordonów z Barkerem, i Klayton spełnił oczekiwania i nadzieje swoich przyjaciół. Co jednak najsilniéj na słuchaczów działało, to ta jakaś wspaniała czystość, która go zdawała się otaczać, ta dostojność i to wewnętrzne przekonanie o tém co mówił, ktore dziwną siłę nadawało jego wyrazom.

Mówił on o wzajemnych stosunkach towarzyskich, o regułach wedle których stosunki te winny być urządzone, i dowiódł, że chociaż w pewnych wypadkach zachodzi tutaj potrzeba nieograniczonéj władzy, to jednak uczucie i zdrowy rozsądek, władzy téj powinny pewne

zakreślać granice. Prawo nadaje moc rodzicom, opiekunom i panom, wymuszenia posłuszeństwa dla siebie za pomocą kary, ale to jedynie na téj zasadzie, iż przypuszcza, że istoty pod ich zwierzchnictwem zostające, moralnie nie są całkowicie rozwinięte, i że własne ich dobro wymaga tego, aby pod władzą i opieką drugich zostawały. Dobro podwładnych jest podstawą praw zwierzchników, — mówił daléj. — Gdy więc kara niesłusznie, albo w sposób tak nieoględny i okrutny wymierzoną zostaje, że przez to bezpieczeństwo i exystencya podwładnych jest zagrożoną, wtedy dzieje się nadużycie prawnéj zasady. Czyn taki jest bezprawiem, i zarówno niemoże być ze stanowiska prawnego bronionym, jak przeciwny jest wszelkiemu uczuciu ludzkoścci i sprawiedliwości.

W czasie przesłuchania świadków, Klayton zachował się z wielką godnością i przezornością, a ponieważ sędziowie przyjaźnie już dla niego byli usposobieni, sprawa jego zyskiwała co chwila. Zeznania świadków wypadły stanowczo na korzyść Milly, i wykazały okropność gwałtu, którego stała się ofiarą.

Na zakończenie, Klayton zwrócił się do sędziów, i przemówił uroczystym głosem, przywodząc im na pamięć obowiązki, jakie ciążą na tych, którzy mają sobie powierzoną opiekę nad bezbronnemi.

— Dla prawego człowieka, — mówił on, — niemasz świętszych obowiązków nad obowiązki względem tych, którzy w zupełnéj od niego zależności zostają. Przekonanie, że jakaś istota ludzka nieznajdzie nigdzie obrony przeciw naszéj władzy, żadnego uwzględnienia, odnośnie do naszego z nią postępowania, zagrażającego

jéj częstodroć wielkiém niebezpieczeństwem, powinnaby nam być właśnie powodem do wielkiéj wyrozumiałości dla niéj, a nawet pieczołowitości. Afrykańska rasa dużo u nas wycierpiała. Historya okrucieństw których się nad nią dopuszczono, i krzywd, które jéj wyrządzono, musi w sercu każdego uczciwego człowieka bolesne obudzić uczucia. Nam którzy dzisiaj jesteśmy jeszcze właścicielami niewolników, ojcowie nasi smutną przekazali odpowiedzialność. Nieznajdziemy żadnego dla siebie usprawiedliwienia, jeżeli utrzymując niewolę, niezamienimy jéj w rodzaj ojcowskiéj opieki, i całéj potęgi naszéj intelligencyi nieobrócimy na to, aby się stać opiekunami i nauczycielami słabych i nieumiejętnych. Spojrzenia całego świata są na nas zwrócone. Wszyscy stanowczo potępiają nasz upór z jakim stoimy przy systemacie niewoli. Pokażmyż więc przynajmniéj, tłumacząc prawa nasze w duchu bezstronności i ścisłéj sprawiedliwości, że u nas każdy pan, jest najlepszym i najszczerszym przyjacielem Afrykanina.

Widoczną było rzeczą, iż słowa te cały tłum słuchaczów na stronę Klaytona zjednały. Adwokat strony przeciwnéj czuł się tém bardzo upokorzony, tém bardziéj, iż mało miał nadziei, aby wymową swoją potrafił usprawiedliwić czyn tak okrutny i nieludzki. Kto się nieczuje pewnym swojéj sprawy, a do tego jeszcze spostrzeże, że cała niejako otaczająca go atmosfera nieprzyjaźnie na nim ciąży, niezdoła nic na swoją korzyść powiedzieć.

Jakoż na tém się skończyło, że prezydujący zawezwał przysięgłych, aby zawyrokowali na korzyść skarżą-

céj, jéżeli uważają, że kara jéj była zanadto surowa i okrutna. Po krótkiéj naradzie przysięgli oświadczyli, że tak jest, i Klayton wygrał pierwszą swoją sprawę.

Jeżeli kiedy kobieta dumna jest ze swego wybranego, to zapewne wtenczas, kiedy on jest mowcą publicznym, uwieńczonym szczęśliwym skutkiem. Takiem téż uczuciem dumy przepełnione było serce Niny, gdy po ukończeniu sprawy znalazła się otoczona od innych kobiet, które jéj tryumfu Klaytona winszowały.

— Aha! — zawołał Frank Russel. — Mnie ten cud wcale niedziwi. Każdy rycerz wtedy najmężniéj się potyka, kiedy dama jego myśli patrzy na niego. Wszystko to przypisać należy Mis Gordon, bo ona odjęła całą siłę przeciwnéj stronie, tak jak góra magnesowa, która wszystkie gwóździe powyciąga z okrętu.

— Kontent jestem, — mówił sędzia Klayton, wracając z żoną do domu, — bardzo jestem kontent, że się tak powiodło Edwardowi. On już z natury tak jest dumny, iż bałem się, żeby w razie przegranéj niepowziął wstrętu do prawa. Przyznaję bowiem, że w prawie jest wiele takich rzeczy, które człowieka dumnego, i który tak jak Edward skłonny jest do idealizowania życia, łatwo zniechęcić mogą.

— Trzeba przyznać, że rozwinął myśli bardzo wzniosłe i zasadnicze; — rzekła Mrs. Klayton. —

— Wzniosłe, zapewne, ale wcale niezasadnicze, — odparł sędzia. — Byłaby to praca niewdzięczna, ale wszystkie jego twierdzenia potrafiłbym zbić jedno po drugiém.

— Ale mu tego przecie niepowiesz, — prosiła go Mrs. Klayton. — Niech się nacieszy!

— Oczywiście! Edward jest dobry chłopiec i mam nadzieję że z czasem się wytrawi. —

Tymczasem Frank Russel i Will Jones szli w przeciwnym całkiem kierunku.

— A co, czym ci niepowiedział tego naprzód? — zapytał Russel. — Klayton całkiem Bedforta z siodła wysadził, i wszystkich nas na taki uroczysty ton nastroił, jak gdybyśmy słuchali kazania. —

— Dowody jego były bardzo gruntowne! — rzekł Jones.

— Ma się rozumieć, — i ja niepamiętam żeby mu kiedy na nich zabrakło. Wszystko co o nim można powiedzieć, gdy mówić przestanie, ogranicza się na tém, iż tak niejest rzeczywiście jak on dowiódł. Powiadam ci, Barker się wścieka i zaklina że będzie apelował. Ale to wszystko nic nie znaczy; Klayton zawsze zostanie dnia tego bohaterem. — Uważałeś Mis Gordon w czasie jego mowy? Na świętego Jerzego! Wyglądała tak cudownie, że bardzo żałowałem, iż się sam téj obrony nie podjąłem.

— Czy to ta sama piękna, zalotna, mała Mis Gordon, o któréj tyle w Nowym Jorku słyszałem?

— Ta sama?

— Jakże się to stać mogło, że ona jego pokochała?

— Jak? Albo ja wiem! Ona ma tyle kaprysów, co pstry tulipan prążków na sobie, — a jéj skłonność do Klaytona jest jednym z tych kaprysów. — Czy widzia-

łeś jak ona wyglądała? — Szal spadał jéj na jednę stronę, a loki, zausznice i woal na drugą. — A oczy! — Jakie ona ma oczy! — Ona mi przypomina zawsze krzak polnéj róży, błyszczący rosą poranną, i woniejący tysiącem kwiatów, z pomiędzy których przeglądają ciernie.

Rozdział XII.

MAGNOLIAHAIN.

Nieomylił się sędzia Klayton, utrzymując, że szczęśliwy obrót sprawy któréj syn jego bronił, wielce go ucieszy. Jużeśmy dawniéj wspomnieli, że Edward Klayton miał pewien wstręt do praktyki prawnéj; jednak wzgląd na ojca zniewolił go do tego, że postanowił spróbować przynajmniéj swojéj zdolności w tym zawodzie. Gdyby był poszedł za własną tylko skłonnością, byłby sobie obrał inne zajęcie, jego wyobrażeniom i sercu daleko więcéj odpowiednie. Od dawna ułożył on sobie był plan, osiąść w swojéj posiadłości wraz z siostrą i poświęcić się kształceniu i nauczaniu niewolników; — jednakże ze względu na ojca, ostateczne wykonanie tego planu odłożył na późniéj, aż odbędzie praktyczną próbę prawniczych swoich zdolności.

Po ukończeniu procesu, któryśmy dopiero co opisali, wrócił zaraz do swoich zatrudnień, a Anna namówiła

ze sobą Ninę na kilka tygodni do Magnoliahain, ich posiadłości, dokąd téż i my z obowiązku musimy iść za niemi. —

Czytelnicy pozwolą, że ich od razu posadzimy pod cieniem werandy, która otacza dom Klaytona w Magnoliahain.

Miejsce to zawdzięczało swoje nazwisko grupie przepysznych drzew magnoliowych, w pośród których dom był postawiony. Był to długi a niski budynek, otoczony zewsząd szerokiemi werandami, oplecionemi mnóstwem tych pnących się roślin, w które tak bogata jest południowa flora.

Pokoje z których okna wychodziły na werandę, na któréj Nina z Anną siedziały, były zaciemnione dla odstręczenia much, ale przez otwarte drzwi malowniczo się przedstawiało ich wnętrze. Posadzki białemi wyłożone matami, lekkie bambusowe sprzęty, białym pokrowcem obciągnięte krzesła i sofy, i wielkie wazony róż, tu i owdzie ustawione tak, że na nie światło z zewnątrz padało, składały się w całość bardzo wdzięczną i ujmującą.

Było jeszcze bardzo rano, a obie damy zasiadły już do śniadania, korzystając z pory, dopóki słońce nie osuszy téj obfitéj rosy, która rannemu powietrzu takiéj orzeźwiającéj użycza świeżości.

Pomiędzy niemi stał mały stoliczek, zastawiony wybornemi owocami, które ułożone w zgrabnych koszyczkach, wyglądały z pomiędzy zielonych liści; był tam także dzbanuszek zmrożonego mleka, a z eleganckiéj maszynki na dwie osoby, rozchodził się rozkoszny zapach kawy. Niezbywało téż na owych delikatnych bi-

szkoktach, i dziwnego kształtu żytnich bułeczkach, z których tak słusznie chełpią się kucharki południowych Stanów Zjednoczonych. Niepodobna tutaj również przepomnieć o wazonach z różami miesięcznemi, których pielęgnowanie, stanowiło rozkosz Letycyi, małéj, brunatnéj cery dziewczyny, na usługach Anny zostającéj.

Anna Klayton, w białym rannym negliżu, ze zdrową swoją cerą, z pięknemi zębami, z uśmiechem szczerym i serdecznym, wyglądała jak królewska centofolia.

I była téż rzeczywiście królową wśród swojéj posiadłości, bo rządziła nią najpotężniejszém na świecie berłem, — berłem miłości. Afrykańska rasa nadzwyczajném przejęta jest uwielbieniem dla wszystkiego co piękne i idealne, i pewnie w najświetniejszych salonach piękność i wdzięki Anny niebyłyby znalazły tak wysokiego a słusznego ocenienia i uznania, jak wpośród tych podwładnych jéj istót. Murzyni do wielu wad prawdziwie dziecinnych, łączą także właściwe dzieciom przymioty, pomiędzy któremi najwybitniejsze są: prostota i nieograniczone zaufanie oraz uwielbienie dla białych zwierzchników, ilekroć ci po ojcowsku sobie z niemi postępują.

Nina w ciągu jednodniowego pobytu w Magnoliahain, poznała już ze spojrzeń pełnych miłości i podziwu które się za Anną zwracały, jak daleko sięgała tam jéj władza.

— Jak też to ślicznie pachną te kwiatki magnoliowe!— zawołała Nina.—Nienwierzysz Anno, jakam ci wdzięczna, za to, żeś mię tak wcześnie obudziła!

— Moja droga, — rzekła Anna, — w naszym klimacie ranne wstawanie jest konieczną potrzebą dla tych,

którzy pragną używać prawdziwych przyjemności życia. A ja do ich liczby należę. Gnuśny spoczynek i ospałość nie są dla mnie bynajmniéj przyjemnością. Ja potrzebuję czuć, że żyję i działam.

— Prawda, prawda. Już to widać, że ty niejesteś tak jak ja z imienia tylko panią domu; ty nią jesteś w istocie. Ale bo jak też ty zręcznie umiesz się wziąść do tego! Czyż to podobna żeby tu u ciebie nic nie było pod zamknięciem?

— Tak jest rzeczywiście, — odrzekła Anna. — Bogu dzięki, od pamiętania o kluczach jestem wolna zupełnie. Kiedy tu przybyłam, każdy mi powiadał, że to czyste szaleństwo, chcieć coś podobnego doprowadzić do skutku, ale ja na to odpowiadałam, że chcę koniecznie postawić na swojém, a Edward umacniał mię w tém popostanowieniu. Teraz sama możesz się przekonać, jak mi się ten plan udał wybornie.

— Ty doprawdy musisz posiadać jakąś władzę czarodziejską, bo nigdzie niewidziałam jeszcze tak dobrze urządzonego gospodarstwa jak u ciebie. Każdy z twoich sług robiąc cokolwiek, zdaje się namyślać, jakby to zrobić najlepiéj. Jakim ty sposobem przyszłaś do tego? — Od czegoś zaczęła?

— Powiem ci jak to było. Kiedyśmy objęli w posiadanie tę plantacyą, wszystko było tutaj w najokropniejszym stanie. Najstraszliwsza demoralizacya panowała między Murzynami. Wszystkie środki, jakie zrazu przedsiębrałam ku ich poprawie, były daremne, tak, że już zaczęła mię odstępować ochota do dalszych usiłowań. Ale Edward rzekł do mnie: „Nietrać odwagi Anno, i staraj się wynaleźć, o w nich jeszcze jest dobrego.“ — Wzię

łam się więc jeszcze na taki sposób: — zwołałam wszystkich naszych Murzynów i przemówiłam do nich: „Wszyscy utrzymują, że wy jesteście najgorsze w świecie stworzenia, i że niczego przed wami ustrzedz nie można, co niejest pod kluczem. Ale ja innego jestem zdania, i zdaje mi się że wam zaufać można. Powiedziałam tym którzy mi to mówili, że oni niewiedzą co w was jest dobrego, — a że tak myślę rzeczywiście, dowiodę wam tém, że odtąd wszystkie drzwi i zamki zostawiać będę otworem, i pilnować was niebędę. Możecie tedy brać co zechcecie; ale jeżeli po pewnym przeciągu czasu przekonam się, że wam ufać niemożna, wszystko wróci do dawnego stanu.“ Niemyślałam nigdy żeby słowa te, tak wielki wpływ na nich wywrzeć mogły. Odtąd rzeczy całkiem inną postać przybrały. Zaufanie, które w nich położyłam, taką ich napełniło dumą, że starsi czuwali nad młodszemi, aby go niezawiedli, i odtąd bardzo mało miałam z niemi kłopotu. Dzieci tylko z początku niepokoiły mię nieco, bo mimo troskliwego nadzoru matek, kradły mi ciągle placki ze śpiżarni. — Zwołałam tedy wszystkich powtórnie, powiedziałam im że jestem zadowolona z ich postępowania, że wszystkim o tém rozpowiadam, tylko że mi przykro, iż dzieci jak mi się zdaje, kradną mi placki: „Wiecie o tém dobrze, rzekłam daléj, że ja wam placków nieżałuję, i gdy mię które z was poprosi chętnie wam ich udzielam, ale tego nielubię, żeby mi kto po śpiżarni plondrował. Odtąd więc codzień będę stawiać talerz z plackami przed drzwiami śpiżarni, a kto będzie chciał, to niechże sobie już z tego talerza bierze.“ I wystaw sobie moja droga, od

tąd placki nawet na talerzu zostały nietknięte, i na kość się zeschły.

— No, widać moja droga, że między twoimi ludźmi niema Tomtita! Ale to są zawsze cudowne rzeczy, moja Anno!

— To też moje sąsiadki niechcą mi wierzyć kiedy im to opowiadam, albo utrzymują, że posiadam jakąś czarodziejską władzę.

— Bo też tak jest rzeczywiście. Takie rzeczy nie każdemu się udają — i podobne są do rószczki czarnoksięzkiéj, która nie w każdych rękach moc swoję zatrzymuje. Aby coś podobnego dokazać, trzeba mieć takie serce jak twoje. Ale powiedz mi, czy ci się z równą pomyślnością udało ten systemat przeprowadzić na całéj plantacyi?

— Z temi którzy pracują w roli, daleko nam szło trudniéj. Trzeba w nich było obudzić najprzód uczucie własnéj godności, a potem zamiłowanie do czystości, co było najtrudniéj. Ale i tego dokazaliśmy z czasem. Edward pobudował im nowe, porządne chaty i wystawił wielką łaźnią. Nie przymuszało się ich jednak gwałtem do czystości, tylko tym którzy się sami do niéj brali, okazywało się więcéj względów i przychylności. Gdy to spostrzegli drudzy, niebawem poprawili się zupełnie. Następnie Edward ustanowił między niemi pewien rodzaj sądu, z nich samych złożonego. Jeżeli który z nich wykroczy przeciwko ogólnym przepisom zachowania się i porządku, powołany zostaje przed taki sąd, a ten karze winowajcę zwykle daleko surowiéj, niżby to sam Edward uczynił.

— A cóż na to mówią wasi sąsiedzi? — zapytała Nina.

— Ci z któremi żyjemy w sąsiedzkich stosunkach, są to wszystko ludzie grzeczni i dobrze wychowani; niemięszają się więc całkiem w nasze interesa, ani niedają nigdy poznać po sobie, że inaczéj myślą jak my. Jednakże mnie się zdaje, że mimo tego podejrzliwém okiem na nas spoglądają, a niektóre słówka które im się niechcący wymykają czasami, utwierdzają mię w tych domysłach. Zresztą mało komu przyjdzie ochota nas naśladować, gdyż systemat nasz, niezapewnia wielkich materyalnych korzyści. Plantacya zaledwie wystarcza na własne utrzymanie, bo Edward nieuważa zysku za rzecz główną. Najbardziéj jednak sąsiadom naszym niepodoba się to, że ludzi naszych czytać uczymy. Ja młodszym, a nasz agent p. Smith starszym, udzielamy nauki. Każdy z robotników gdy skończy wyznaczoną sobie robotę, pozostałym czasem może rozrządzać dowolnie, i wielu z nich spędza go przy książce. Otóż to wszystkim jest solą w oku. Jest to nawet przeciw prawu; ale ponieważ niesprawiedliwe prawa tracą zwykle moc swoję z czasem, przeto zdaje mi się, że my możemy sobie już tego nieposłuszeństwa pozwolić. — Uskarżają się też powszechnie, że nasi Murzyni niemają takiéj zwierzęcej powierzchowności jak inni, tylko postępują sobie jakgdyby czuli godność własną. W każdym razie obawiam się, że będziemy mieli z tego powodu jeszcze dużo nieprzyjemności, ale jednak nietracę odwagi.

— A jakże sądzi p. Klayton, do czego to wszystko doprowadzi? — zapytała Nina.

— On sądzi, że Murzyni u nas wkrótce zostaną usa-

mowolnieni, tak jak niegdyś w Anglii poddani. Ja się tego niebardzo spodziewam, ale mój brat powiada, że najtrudniéj tylko, aby ktoś pierwszy dał przykład, a z czasem wszyscy naśladować go będą. — Gdyby wszyscy ludzie byli tacy jak on, niema wątpliwości, żeby się tak stało rzeczywiście, lecz to właśnie nieszczęście, że takich jest bardzo mało. Ale któż to zbliża się ku nam? A, słowo daję, to jeden z moich zapalonych wielbicieli, pan Bradshaw!

I w téj chwili, drogą idącą tuż popod samę werandę nadjechał konno jakiś mężczyzna w średnim wieku. Trzymał on w ręce bukiet z róż najrozmaitszych kolorów, który zsiadłszy z konia i wybiegłszy na schody, ofiarował Annie.

— Oto są pierwociny moich róż, z ogrodu który założyłem w Rozedale.

— Prześliczne! — zawołała Anna przyjmując bukiet. — Pozwól pan, że go przedstawię Mis Gordon.

— Mis Gordon, szczęśliwy jestem ze sposobności, która mi pozwala ją poznać, — rzekł p. Bradshaw, kłaniając się z uszanowaniem.

— W sam czas przyjechałeś panie Bradshaw, — odezwała się Anna; — pewnie pan jeszcze niejesteś po śniadaniu, może pan więc zechcesz pomnożyć nasze towarzystwo.

— Dziękuję ślicznie Mis Anno; — na tak miłe wezwanie, niepodobna dać odmowną odpowiedź.

P. Bradshaw usiadł zatem na trzeciego przy stoliczku, i poczytał sobie za obowiązek, bawić swoje towarzyszki jak umiał.

— Cóż tam się dzieje z planami pani, Mis Anno? Czy idą pani po myśli? Spodziewam się, że rola opiekuńczego anioła, którą pani z takim zapalem przyjęłaś na siebie, niewyczerpuje jéj sił zanadto.

— O, bynajmniéj, panie Bradshaw! Czyż wyglądam na zmęczoną?

— A! wcale nie! Ale my wszyscy podziwiamy energią pani.

Nina spostrzegła niebawem jakąś dziwną niespokojność w zachowaniu się pana Bradshaw. Wyglądał on zupełnie, jak człowiek obarczony jakiemś poselstwem, którego niemoże zakomunikować, z powodu niespodzianéj obecności trzeciéj osoby. Zaraz więc po śniadaniu wstała, udając że zostawiła sobie szydełko w swoim pokoju, a gdy Anna chciała posłać po nie którego ze służących, rzekła, iż oprócz niéj niktby go znaleść niepotrafił, i odeszła.

P. Bradshaw od wielu lat był wiernym przyjacielem domu Klaytonów, a z Anną był na takiéj stopie poufałości, że mógł z nią mowić z zupełną otwartością. Zaledwie się więc drzwi za Niną zamknęły, przysunął swój stołek do Anny, i usiadł z miną człowieka, który coś ważnego ma do powiedzenia.

— Prawdę powiedziawszy, — rzekł, — mam coś na sercu, co pani muszę powiedzieć, a spodziewam się że stara moja przyjaźń dla całéj rodziny pani, stanie mi za wymówkę, że dotykam okoliczności, która panią z bliska obchodzi. Wczoraj właśnie byłem zaproszony na obiad do półkownika Grandona. Zastałem tam małe, ale dobrane męzkie towarzystwo. Byli tam Howardowie, Eliotowie, Howlandowie i t. d. Rozmowa skierowała się

przypadkiem na brata pani. Wszyscy mówili tam o nim z wielkim szacunkiem, oddawali sprawiedliwości szlachetnym jego zasadom, ale jednomyślnie zgodzili się na to, że się na wielkie niebezpieczeństwo naraża.

— Na niebezpieczeństwo! — zawołała Anna przestraszona.

— Tak jest pani, na wielkie niebezpieczeństwo!

— Ależ, doprawdy nierozumiem...

— Mówię tutaj o tych nowościach, które państwo u siebie zaprowadzacie. Chciéj mnie pani tylko dobrze zrozumieć. Wszystko to jest piękne, podziwienia godne, i pochodzi z najzacniejszych, najszlachetniejszych pobudek, ale obok tego wielkiém grozi niebezpieczeństwem.

Tajemnicza, uroczysta mina, z jaką p. Bradshaw te słowa wymówił, mimowolny uśmiech wywołała na usta Anny. Ale niechcąc robić przykrości człowiekowi, o którego życzliwości niewątpiła, powściągnęła swoję wesołość i rzekła:

— Wytłómacz się pan jaśniéj, bo nierozumiem pana.

— Oto rzecz tak się ma, Mis Anno. My wszyscy oddajemy cześć waszéj ludzkości, waszemu zaparciu się samych siebie, waszéj łagodności, z jaką obchodzicie się ze swemi niewolnikami; jesteśmy tego przekonania, że wy dla nas celem uwielbienia i przykładem być powinniście. Ale co się tyczy tego, że ich czytać i pisać uczycie, — mówił p. Bradshaw głos zniżając, — to zdaje mi się, iż nierozważyliście dobrze, jaką im broń w ręce dajecie. Ta uczoność rozszerzy się w krótce po wszystkich plantacyach, przebiegli Murzyni z łatwością jéj będą nabywać, gdyż właśnie ci co są najniebezpieczniejsi, bywają zwykle zarazem najpojętniejsi.

— No i cóż potem?

— To ułatwi im tajemne związki i poda im sposobność do buntów! Widzisz pani, Mis Anno, raz czytałem był historyą jakiegoś człowieka, który sobie zrobił taką sztuczną nogę z korka, że sama chodziła; ale skoro ją raz w ruch wprawił, niemógł jéj już potém pohamować, i ta noga zachodziła go na śmierć. Biegała z nim póty, to z góry na dół, to z dołu do góry, aż umarł z utrudzenia; a ona biegała ciągle z jego trupem, i zapewne teraz biega jeszcze z jego szkieletem.

Poczciwy p. Bradshaw, znajdował powiastkę swoją tak komiczną, że aż kładł się na stołku i śmiał się do rozpuku, ocierając twarz batystową chustką do nosa.

— To jest rzeczywiście bardzo zabawna historya, panie Bradshaw, — rzekła Anna, — ale niepojmuję jaki ona może mieć związek z tém, coś pan przedtem mówił.—

— Jakto? pani tego nierozumiesz?... Oto, państwo uczycie Murzynów czytać, pisać i tam daléj; — to naturalnie otwiera im oczy; oglądają się do koła siebie, i poczynają rozważać. Wkrótce zaczną mieć własne zdanie, z waszem zdaniem się niezgadzać, a niebawem wyżéj od was cenić się poczną. Jeżeli wtenczas zechcecie ich wziąść krócéj, powstanie między niemi niezadowolenie, i ciekawym, kto im wtedy da radę. Choćbyście najlepiéj z niemi się obchodzili, oni zawsze będą knuć spiski i robić bunty, jakeśmy tego już doświadczyli w południowéj Karolinie. I któż stał na czele tych sprzysiężeń? Oto ci co pisać i czytać umieli! Tak, tak, Murzynom ufać niemożna. Według mego zdania, najlepiéj jest w ten sposób z niemi postępować: dawać im dobrze jeść i pić,

ubierać ich przyzwoicie, i nieprzeciążać robotą. To daleko lepsze dla nich, niż nauka. Pozwól mi pani skończyć,— rzekł, widząc że mu Anna chce przerwać. — Przystaję żeby ich w religii pouczać, ale tylko ustnie, i to takich śpiewów i miejsc z Pisma Ś., które dla nich są stósowne. Daruj mi pani, ale muszę jéj powiedzieć, że ci panowie biorą te rzeczy na serio, gdyż lękają się wpływu, jaki to wywrze na ich niewolników. Pani wiesz, jak to szybko wszystko rozszerza się z jednéj plantacyi na drugą. Jeden z tych panów opowiadał mi, że ma u siebie bardzo zdatnego Murzyna, który się ożenił z kobietą z waszéj plantacyi. Otóż tego Murzyna zeszedł kiedyś pod drzewem z książką w ręku. Powiadał mi, żeby był wolał zobaczyć go ze strzelbą, bo to właśnie jest jeden z tych przemądrych, co to, jak tylko czytać i pisać się nauczą, do wszystkiego są zdolni. Słuchajże pani co się daléj stało. Naturalnie zabrał mu książkę, i powiedział, że mu każe dać sto kijów, jak go jeszcze raz złapie na podobnym uczynku. I jakiż z tego ostateczny rezultat? Oto człowiek ten stał się odtąd taki zły i zuchwały, że go sprzedać będzie musiał.

— Kiedy tak,— rzekła Anna,— to najsurowiéj przykażę swoim ludziom, aby się nieważyli, ani książki ani nic podobnego dawać na cudze plantacye.

— To się na nic nieprzyda, zaręczam pani, Mis Anno. Pani niemasz wyobrażenia, jaką ci ludzie mają passyą robić właśnie to, co im jest zakazane. To dla nich daleko jest większą podnietą, aniżeli sama chęć nauczenia się czegoś. Państwo niepotraficie położyć granic oświacie, którą usiłuje rozkrzewić u siebie; ona jest jak ogień; wybuchnie płomieniem i obejmie wszystkie po-

graniczne plantacye. Ja pani powiadam, że to dla nas jest kwestya życia lub śmierci. Pani się śmiejesz, ale ja panią zapewniam, iż tak jest rzeczywiście.

— Doprawdy, skierowałeś pan rozmowę, na przedmiot bardzo niemiły, panie Bradshaw. Przykro mi bardzo, że jestem przyczyną niespokojności moich sąsiadów, ale...

— Pozwól sobie pani jeszcze zrobić uwagę, że kto uczy niewolników czytać i pisać, dopuszcza się występku, na który prawa nasze surowe przepisują kary.

— Rozumiałam dotąd, że takie barbarzyńskie prawa, w państwie chrześciańskiem są tylko martwą literą, i że nie można wyższego hołdu złożyć ludzkości, jak gardząc temi prawami.

— Toś się pani myliła,— bardzoś się pani myliła!— zawołał p. Bradshaw z zapałem.— Weź pani tylko na uwagę nas białych tutaj w południowéj Karolinie; Murzyni mają się do nas w stosunku, jak trzy do jednego. I czyż to zgadza się z rozsądkiem, dawać im jeszcze wykształcenie, któreby im ułatwiało porozumiewanie się wzajemne?— Doprawdy lękam się, Mis Anno, ażeby się wam skutki waszego lekkomyślnego postępowania zbyt boleśnie uczuć nie dały!

— Zapewne,— zawołała Anna rumieniąc się z niecierpliwości,— już nawet widzę samą siebie pokutującą za grzech i zbrodnię, jakich się dopuszczam, ucząc dzieci czytać i pisać! Sądziłam panie Bradshaw, że nadszedł już czas, w którym niegodzi się zważać na takie prawa. Społeczność wyrosła już z pod nich, ludzie pogardzają niemi, a one same z siebie upadają, jako zwiędłe liście z drzew! Chodź jeno pan, panie Brads-

haw, chodź pan ze mną do mojéj szkoły, — zwołam wszystkich swoich uczniów, — mówiła Anna łagodniejszym już tonem. — Jak się pan naocznie o wszystkiém przekonasz, dopiero sądzić będziesz. Proszę tylko zaczekać chwilkę, aż zawołam Mis Gordon.

Anna pobiegła przez salon, i wkróce ukazała się w towarzystwie Niny, poczém wszystko troje poszli między chędogie chaty murzyńskie, po prawéj stronie domu leżące. Każdy z tych domków miał swój osobny ogródek jarzynny, i grządki na kwiaty. Następnie weszli w mały gaik magnolinowy, w środku którego ujrzeli niewielki budynek, podobny do greckiéj świątyni, z kolumnadą, żółtym jaśminem opiętą.

— Cóż to za śliczne miejsce! — zawołał p. Bradshaw.

— To moja szkoła, — rzekła Anna.

P. Bradshaw z trudnością zdołał powściągnąć wykrzyk podziwienia, które jednakże tak wyraźnie malowało się na jego twarzy, że Anna rzekła z uśmiechem:

— Cóż pan chcesz? szkoła zostająca pod opieką kobiety musi przecież wdzięczną mieć powierzchowność. Zresztą jednym z głównych celów mojéj nauki, jest obudzenie w dzieciach uczucia piękna.

Wszedłszy po schodach, znaleźli się w obszernym pokoju, którego podłoga wyłożona była białemi matami, a po bokach stały w nim czarne tablice. Ściany ozdobione były pięknemi francuzkiemi kupfersztychami, pomiędzy któremi wisiały tu i owdzie tablice z przypowieściami z Pisma Śgo. Czyściuchne stoliczki ustawione były rzędami, a przy każdym z nich stał niewielki stołek.

Anna poszła ku drzwiom i zadzwoniła. W niespełna

dziesięć minut potém, dało się słyszeć stąpanie licznych nóg po schodach, i dzieci weszły. Był tam reprezentowany wszelaki wiek, od czterech aż do piętnastu lat, i wszystkie przejścia od czarnego jak heban koloru skóry Murzyna, z kędzierzawą głową, aż do lekko brunatnawéj cery Kwadrona, z wielkiemi oczyma i bujnym, wdzięcznie wijącym się włosem. Wszystkie dzieci były jednako ubrane, w niebieskie sukienki, białe czapeczki, i takież fartuszki; maszerowały w takt jednego z ulubionych Murzynom hymnów, i zajęły miejsca wedle starszeństwa.

Gdy już wszystko usiadło w porządku, Anna klasnęła w ręce i cała szkoła zaśpiewała pieśń poranną, rozłożoną na cztery głosy, tak pięknie, że p. Bradshaw ze łzami w oczach jéj słuchał.

Po śpiewie nastąpił rodzaj małego egzaminu;— uczniowie czytali, sylabizowali, pisali na tablicy. Mniejsze dzieci, zostawały w dwóch przyległych pokojach pod nadzorem starszych dziewcząt, które im udzielały także nauki. Anna chodziła wszędzie, czuwając nad wszystkiém, a Nina, która po raz pierwszy to widziała, niemogła się nadziwić wszystkiemu.

Przytomność obcych osób, dodawała jeszcze bodźca uczniom, i widocznie chodziło im o to, aby szkole i nauczycielce zaszczyt uczynić. W ten sposób dwie godziny ubiegły. Anna pokazywała panu Bradshaw próbki kaligrafii swych uczniów, mapy przez nich rysowane, a nawet kopie z małych litografij. P. Bradshaw aż odchodził od siebie z podziwienia.

— To rzecz niepojęta!— zawołał nareszcie.— Mis Anno, pani jesteś naprawdę czarodziejką! Paniś tutaj cuda

porobiła! Pani musiałaś laskę Aarona odszukać! Wiesz pani co, pani się narażasz na niebezpieczeństwo zostania spaloną jako czarownica!

Gdy wracali do domu, p. Bradshaw pozostał nieco w tyle za damami, a twarz jego przybrała wyraz zamyślenia i prawie smutku.

— Czegoś się pan tak zadumał? — zapytała Anna.

— Ach, pani! Zachwycony jestem panią i jéj szkołą, ale mimo tego niemogę się odjąć trapiącym mnie myślom o skutkach, jakie to wszystko pociągnąć za sobą może.

— A, kiedy pan taki jesteś uparty,— rzekła Anna,— muszę pana za to ukarać. Za pokutę zostaniesz pan z nami na cały dzień. Pokażę panu mój ogród, gdyż chciałabym zasiągnąć pańskiéj rady, co do chodowania jednego gatunku róż.

— Jestem w rozpaczy, Mis Anno, że muszę odmówić na ten raz posłuszeństwa tak miłemu rozkazowi. Ale zaprosiłem właśnie do siebie na obiad czterech moich przyjaciół; muszę więc czemprędzéj panie pożegnać, aby wrócić do domu zanim słońce zupełnie wzbije się w górę.

— Poczciwy człowiek!— rzekła Anna, patrząc za odjeżdżającym.

— Czy wiesz,— zaśmiała się Nina,— iż ja byłam pewna, że on przyjechał ci się oświadczyć, i dla tego odeszłam niechcąc mu przeszkadzać.

— Kiedy tak,— odrzekła Anna,— toś się opóźniła trochę ze swoim domysłem. Niedawno temu p. Bradshaw odegrał wprawdzie tę rolę, ale dzisiaj jest tylko moim najmilszym i najlepszym przyjacielem.

— Powiedzże mi jednak, moja droga, jakim sposobem to się dzieje, żeś się ty dotąd w nikim mezakochała? —

— Widać że w mojém sercu czegoś niedostaje, — odrzekła śmiejąc się Anna, — gdyż do płci męzkiéj niemam jakoś żadnego pociągu. Ci panowie zachowują się jeszcze jako tako, dopóki raczą w roli kochanków występować, ale potem, zwykle od razu stają się nieznośnemi. Ojca, ani Edwarda niemogę zaślubić, a ci dwaj tak mi smak popsuli, że żaden inny podobać mi się niemoże. Zresztą, tak jak jestem, jestem szczęśliwą, — cóż mi więc po mężu? Czyżby żadna kobieta nieumiała sama sobie wystarczyć? — Ale powiem ci, że mi jednak przykro, iż nasze postępowanie tyle przykrości sprawia naszym sąsiadom.

— Ja, bobym mimo tego nieustawała w rozpoczętém dziele, — rzekła Nina. Nieraz uważałam, że ludzie wszelkiemi siłami starają się powstrzymać każdego, kto idzie niezwyczajną drogą; ale jak skoro przekonają się że tego niedokażą, robią prawo w tył zwrot, i sami idą za tym, którego daremnie nawrócić chcieli. Tak samo też zdaje mi się, będzie i tą razą.

— Daj Boże! — westchnęła Anna. — Ale otóż i Dulcymer z listami.

I w téj chwili podjechał Dulcymer pod werandę, i podał Annie torbę listów pełną.

— Jakież dziwne imię nadaliście temu chłopcu! — zawołała Nina. — A jak on śmiesznie wygląda. Minę ma taką zabawną, że mi zupełnie wronę przypomina.

— O, Dulcymer niejest naszą kreacyą. Jeszcze za rządów naszych poprzedników na plantacyi, był on tutaj

pierwszym ministrem i polubieńcem, — pewnym rodzajem uprzywilejowanego nadwornego błazna; i do dziś dnia nie robi on prawie nic, tylko śpiewa i tańcuje. Mój brat, który każdemu o ile możności, jak najwięcéj wolności zostawia, daje mu tylko lżejsze różne zatrudnienia, zgodne z jego ruchliwą naturą. No masz! — mówiła daléj podając Ninie list, a drugi do siebie adresowany rozpieczętowując z ciekawością. — A! byłam tego pewna! Wystaw sobie, Edwarda jakiś proces powołuje właśnie w te strony! Widział też kto taki usłużny proces?.... Możemy się go dziś wieczór spodziewać. No, będzie też to radość! — A, Dulcymer, to ty jeszcze tutaj? — zawołała spostrzegłszy, że chłopak stał jeszcze w cieniu tulipanowego drzewa.

— Proszę Mis Anny, czy Master Klayton będzie dziś wieczór do domu przyjechać?

— Tak jest, Dulcymerze; a teraz biegnij rozgłosić tę wiadomość, bo wiem że na to tylko czekałeś.

I Dulcymer nieczekał na powtórzenie sobie tego rozkazu, lecz w mgnieniu oka zniknął w poblizkich krzakach.

— Założę się, że ten filut myśli nam dziś jakąś niespodziankę wieczór wyprawić.

— Jakto? zapytała Nina.

— Widzisz, z niego jest pewien rodzaj trubadura, i ręczę, że w téj chwili suszy sobie mózg nad jaką kantatą. Będziemy mieli wieczór coś nakształt opery, — możesz na to rachować.

Rozdział XIII.

TRUBADUR.

Około piątéj godziny popołudniu, Nina z Anną zajęte były nakrywaniem stoliczka do herbaty, ustawionego na werandzie. Nina nazbierała mnóstwo liści dębowych, i z wielką zręcznością upinała z nich długie, płaskie girlandy, któremi ubierała do koła okrągły stolik, przykrywszy go wprzód śnieżnym adamaszkowym obrusem. Anna krzątała się około ślicznych owoców, układając je w zgrabniuchnych koszyczkach, wpośród zielonych liści winogradu.

— Letycya dzisiaj jest w rozpaczy, — rzekła Anna, spoglądając z uśmiechem, na młodą, ładnie ubraną Mulatkę, która przyglądała się tym zatrudnieniom dużemi, błyszczącemi oczyma. — Niezostawimy jéj dzisiaj nic do roboty.

— O, Letycya musi mi już dzisiaj pozwolić rozwinąć całą moję zręczność, — odrzekła Nina. — Jest bowiem pewien zakres gospodarstwa, do którego rzeczywiście nielada talent posiadam. I gdybym żyła, — o jakże się

też to nazywa, — a! w Arkadyi, to byłaby ze mnie zawołana gospodyni, gdyż nic bardziéj nie lubię, jak wić wieńce i bukiety. Już to w mojéj naturze jest jakiś popęd do upiększania wszystkiego. Radabym tylko zawsze stoły i półmiski ubierać i stroić piękne kobiety. Miéj się więc na baczności Anno, gdyż jak tylko stół w wieńce przystroję, przyjdzie koléj na ciebie i ciebie uwieńczę.

Tak szczebiocąc, Nina biegała na wszystkie strony, przybierając stół w liście i kwiaty, niby ptaszek co z miejsca na miejsce przelata.

— Rzeczywiście, co to za szkoda, — odezwała się Anna po chwili, — że to życie nasze niejest życiem arkadyjskiém!

— Oj, co to, to prawda! — przytaknęła jéj Nina.— Przypominam sobie, że kiedy jeszcze byłam dzieckiem, znalazłam w domu jakieś stare, podarte tłómaczenie książki pod tytułem: „Sielanki Gesnera“, gdzie były prześliczne powiastki, o pięknych, biało ubranych pasterzach, którzy grali na fletach ze srebra i słoniowéj kości, i o pasterkach, w niebieskich płaszczykach z rozpuszczonemi włosami. Ludzie ci żyli takiemi cudnemi rzeczami, jak zimna serwatka, mleko, winogrona, agrest i brzoskwinie. Nie było tam żadnéj pracy, żadnych trudów ani kłopotów. Każdy żył, tam jak żyją kwiatki i ptaszki: rosnąc i śpiewając. Odtąd zawsze tęschniłam za takiém życiem. Ach, moja droga, dla czego to tak niemoże być na prawdę?

— Zapewne, że to nieodżałowana szkoda, — rzekła Anna. — Cóż my to tu musimy walk wytrzymać w obronie porządku i piękności!

— Tak jest; — a potém co najgorsze, to to, że nawet to co piękne z czasem brzydkiem się staje. Naprzykład te róże, które nas teraz tak zajmują, jutro, albo pojutrze, nazwiemy je zwiędłemi śmieciami, i każemy je precz wyrzucić. Ale już jabym niechciała nigdy być tą, która wyrzuca zwiędłe kwiaty, albo myje brudne naczynia; świeże kwiaty codzień zrywać, toby był dla mnie miły obowiązek.

— Doprawdy, jest to dla mnie niepojętą zagadką,— odezwała się na to Anna, — dla czego wszystko na świecie tak dąży do zepsucia, — dla czego wszystko tak wstecz się cofa? — Zdaje mi się, że ładny, czysty, gustowny dom, albo taki naprzykład przystrojony stolik, są rzeczami pięknemi, a jednak przeciw temu kto ma o nich staranie, wszystko się sprzysięga: muchy, pająki, mrówki, moskitosy. A potem, los wszystkich istót ludzkich jest taki, że wszystko co je otacza zużywają, wprawiają w nieład i niszczą.

— To prawda. — Właśnie ta sama myśl przyszła mi do głowy, gdyśmy byli na tém pobożném zebraniu. — Pierwszego dnia byłam zachwycona; — wszystko wyglądało tak ładnie, tak czysto, tak świeżo! Ale przy końcu drugiego dnia było już tyle skorup z jaj, łupin z grochu, skór z melonów i innych nieczystości, porozrzucanych koło namiotów, że obrzydliwie było spojrzeć na to wszystko.

— Szkaradnie! — zawołała Anna.

— To tylko moje nieszczęście, — mówiła daléj Nina, że przy całém mojém zamiłowaniu w porządku, niejestem wcale na to stworzona, żeby go umieć utrzymać. Za to mój pierwszy minister ciotka Katy, dzięki nauce

mojéj matki, jest jedyną do tego osobą; to téż ja ją tylko zachęcam czasami do wytrwałości, a w całym domu jest u mnie wielki porządek, chociaż ja w niektóre miejsca prawie nigdy niezaglądam. Ale doprawdy, trzebaby mi się chyba drugi raz na świat narodzić, żebym zamiłowanie w porządku posunąć mogła do tego stopnia jak ciotka Nesbit! Widziałaś ty kiedy, jak ona rękawiczki albo kołnierzyk z komody wyjmuje? Jeżeli naprzykład rękawiczki są pod spodem, to bierze wszystko z wierzchu jedno po drugiém i kładzie na komodzie, a znalazłszy wreszcie to czego szuka, znow wszystko tym samym porządkiem układa w szufladzie, a zamknąwszy ją, klucz chowa pod serwetę. Ja bo znów okropnie jestem prędka i niecierpliwa! Kiedy mi czego trzeba, przewracam w szufladzie wszystko do góry nogami; — chusteczki, szaliki, wstążki, kwiaty, wszystko niby tęcza w górę wylata; zdaje mi się żebym umarła, gdybym tego, czego szukam, nieznalazła w téj chwili. Dopiero po dwóch, albo trzech takich napadach na szufladę, przychodzi żal, bo potém drudzy dużo czasu po trzebują, żeby znów wszystko do porządku przyprowadzić, i łają malutką, niegrzeczną Ninę, która téż zawsze przyrzeka się poprawić. Jednak z boleścią serca wyznać muszę, że nigdy niedotrzymuje słowa, chociaż na przyszłość nietracę o niéj jeszcze nadziei. Powiedz mi Anno, — ty niejesteś ani sztywną, ani pedantką, a jednak obdarzona jesteś jakimś zmysłem porządku, — jakeś ty przyszła do tego?

— Mogę cię zapewnić, że niemam tego z natury; — to mama mię tego nauczyła.

— Mama! A, teraz to rozumiem! westchnęła Nina.— Jakaś ty szczęśliwa!... Ale otóż i skończyłam, — pójdź Letycyo, zabierz tę resztę kwiatków. Mój stolik wyrósł z pomiędzy nich, jak świat z chaosu. Ile razy skończę takie przybory, zawsze żal mi tych kwiatków i liści, które mi pozostaną, i które daremnie zerwałam. Zdaje mi się, że biedne kwiatki smutnie zwieszają główki, spoglądają na mnie z wyrzutem, i mówią: „Niepotrzebujesz nas, a czemużeś nas niezostawiła w pokoju?“

— Tą razą Letycya oszczędzi ci tych wyrzutów, bo ona także umie się obchodzić z kwiatami, i zobaczysz, jakie mnóstwo ślicznych bukiecików z tego narobi.

Letycya zarumieniona tą pochwałą, schyliła się i pozbierała w fartuszek te wzgardzone dzieci Flory.

— A to znowu co nowego? — zapytała Anna spostrzegłszy starannie ubranego Dulcymera, który wszedłszy po schodach, z niskim ukłonem podał jéj bilet na tacy. — Ha, ha, co tu elegancyi! — Papier ze złotemi brzegami, pachnący mirrą i ambrą! No zobaczmy co to jest? — „Trubadurowie z Magnoliahain, mają honor niniejszém upraszać Mr. i Mis Klaytonów, oraz Mis Gordon, ażeby raczyli zaszczycić obecnością swoją, muzykalne przedstawienie, które się o godzinie ósméj wieczór w gaju odbędzie.“ A, ślicznie! To zapewne któraś z moich uczennic wysztychowała to zaproszenie. — Z przyjemnością służyć będziemy, Mości Dulcymer.

— Gdzie on się u pana Boga nauczył takich frazesów? — zapytała Nina, gdy Dulcymer odszedł.

— Powiadałam ci już, że to był ulubieniec poprzedniego dziedzica, który brał go ze sobą zawsze, ilekroć podróż jaką odbywał, — zwyczajnie tak, jak to nie-

którzy wożą ze sobą ulubione małpy. Otóż w czasie tych podróży, musiał się tam gdzieś i około teatrów ocierać. Powiedziałam ci zaraz, że on tu coś wymyśli.

— To jednak musi być bardzo zabawne stworzenie.

— Tobie może się wydawać zabawnym, ale mnie się już naprzykrzył, bo niemogę z nim nic poradzić. — Zdaje się, że w nim niema żadnego moralnego uczucia, i nieraz patrząc na niego myślę nad tém, czy w takich istotach oprócz małpiego podobieństwa, jest choć odrobina człowieczéj natury. Dotąd bowiem w Dulcymerze niemogłam się niczego dopatrzeć, oprócz śmiesznéj zwierzęcości; o moralnéj stronie, niema u niego mowy.

— Może jego moralne przymioty podobne są do nasienia cyprysowego, które przed trzema miesiącami posiałam, a teraz mi dopiero wschodzić poczyna.

— To też Edward myśli tak samo. Jego wiara w człowieczeństwo jest nieograniczona, co według mnie, jest jedną z jego stron słabych. — Ja téż o ile możności staram się nietracić nadziei, że Dulcymer kiedyś pojmie przecie różnicę, jaka zachodzi między kłamstwem a prawdą, i między jego rzeczami a cudzemi. Tymczasem jednak, jest to największe nic dobrego na całéj plantacyi. Ale słuchaj jeno; — czy mi się zdaje, czy téż słyszę tentent konia? — Ktoś jedzie drogą.

Obie poczęły nadsłuchiwać.

— Dwóch ich jest, — rzekła Nina.

Jakoż wkrótce ukazał się Klayton w towarzystwie drugiego jeźdźca, w którym panie poznały niebawem Franka Russel. — W téjże chwili dał się słyszeć odgłos skrzypców i banjów, i cała processya starych

Murzynów i dzieci, śpiewając i grając ukazała się z magnoliowego gaju.

— A co niepowiedziałam ci? — rzekła Anna; — to dopiero początek operacyj Dulcymera.

Pieśń brzmiała na prostą, jednostajną nutę, upodobaną Murzynom; text jej był także bardzo prosty; Nina i Anna rozróżniły słowa następujące:

„Nasz Master przyjeżdża drogą,
„Trap, trap, koń uderza nogą.“

Każdéj głośniéjszéj, wybitniejszéj nucie, towarzyszyło klaskanie w ręce, poczém cały orszak śpiewał chórem:

„Śpiewaj młodzieży, Master się zbliża.
„Niech w długie lata żyje nam! Hurra!
„Ho! he! ho! hurra! hurra!“ —

Klayton odpowiadał na te powitania kłaniając się z konia, a tymczasem cała czereda Murzynów rozstąpiwszy się na dwie strony, utworzyła szpaler, wśród którego jeźdźcy dojechali aż do werandy.

— Na honór, — rzekł Russel, — na taką demonstracyą niebyłem przygotowany. To jest przyjęcie godne prezydenta!

Gdy Klayton zsiadł z konia, kikunastu ludzi skoczyło zaraz, aby mu go potrzymać, i cały porządek pochodu zamienił się w tłumne zbiegowisko, gdyż wszyscy cisnęli się, aby jakieś przyjazne słówko panu swemu powiedzieć, albo nawzajem od niego je usłyszeć.

— Wjechałeś pan w formalnym tryumfie, — rzekła Nina do Klaytona,

— Takie okazye wyczerpują zwykle Dulcymera, tak, że potem kilka tygodni trzeba czekać na jaki nowy objaw jego przymiotów, — rzekła Anna.

— A więc trzeba korzystać z pomyślnéj chwili, — odezwał się Russel. — Ale jakże tutaj ślicznie! To jest urzeczywistnienie sielanki! Zdaje mi się, że jesteśmy w pałacu królowej wieszczek.

— Tymczasem jednak, powiedz nam, gdzie mamy otrząsnąć pył z naszych nóg, — rzekł Klayton.

— O, zaraz, — odparła Anna. — Tam oto już czeka ciotka Praw, która panów zaprowadzi do waszych pokojów. Idźcież więc i wystrójcie się, jak umiecie najlepiéj. —

Wkrótce wrócili obaj młodzi ludzie, ubrani w świeżą białą płócienną odzież, i całe towarzystwo zasiadło do herbaty.

Po herbacie, rzekła Anna patrząc na zegarek.

— Muszę panów zawiadomić, że dziś wieczór zaproszeni jesteśmy wszyscy na operę.

— Tak, tak, — dodała żartobliwie Nina. — Dzisiaj otwarty zostanie teatr opery w Magnoliahain, i towarzystwo magnoliowych trubadurów, wystąpi dziś po raz pierwszy.

W téj chwili ukazał się też Dulcymer w towarzystwie trzech swoich kolegów. Wszyscy mieli białe wstążki w dziurkach od guzików, a w rękach nieśli białe marszałkowskie laski, na których białe atłasowe powiewały szarfy. Idąc zwolna, parami, uroczystym krokiem weszli po schodach.

— Cóż to ma znaczyć Dulcymerze? — zapytał Klayton.

Dulcymer skłonił się poważnie, niby kruk jaki, i oświadczył, że oni są komitetem, który przybywa aby zaprowadzić panów i panie na miejsce dla nich przeznaczone.

— Ach, aleśmy się całkiem nieprzygotowały do naszéj roli na tém widowisku! zawołała Anna ze śmiechem.

— A co to za szkoda, że niemam ze sobą mego nowego kapelusza, rzekła Nina. — Ale tymczasem musi go choć to zastąpić. — I urwawszy gałązkę centofolii, okręciła ją około głowy.

— A to niedługa toaleta, — zawołał Russel patrząc na ten wieniec z róż i pączków napół rozwiniętych.

— Zapewne, — odrzekła Nina. — A teraz siadaj ty Anno i poczekaj chwileczkę, tylko cokolwiek te liście i pączki ułożę. O, tak! Aj! jaka ty śliczna jesteś! A teraz chodźmy.

Dulcymer wybrał na teatr małą łączką w gaju za domem; lampy do koła pozawieszane na drzewach, miłe światło rzucały wskróś liści. Na jednym końcu łączki był urządzony pewien rodzaj altany z gałęzi i kwiatów, i tam to marszałkowie zaprowadzili swych gości. Pomiędzy dwoma drzewami magnoliowemi, zawieszona była wielka biała firanka, z poza któréj, zaraz za przybyciem naszego towarzystwa, dał się słyszeć chór świeżych głosów śpiewających powitanie.

Jak tylko goście usiedli, podniosła się firanka, i wystąpił chór złożony z trzydziestu najlepszych śpiewaków, mężczyzn i kobiet, w świąteczne suknie przybranych. Maszerowali oni wedle taktu swego śpiewu, a w rękach

mieli piękne bukiety, które przechodząc, każdy z kolei rzucał pod nogi siedzącego w altanie grona. Ninie z intencyą rzucono kiść pomarańczowego kwiecia, która jéj prosto na piersi upadła.

— Widać, że ci ludzie wiedzą co się święci, — rzekł patrząc na nią Russel.

Obszedłszy do koła, chór usiadł po jednéj stronie sceny, a natomiast środek napełnił się nową, gąstą falą głów czarnych i kędzierzawych. Byli to wszyscy słudzy i niewolnicy z platacyi.

— Trzeba przyznać, że to wszystko ma minę bardzo przyzwoitą! — zawołał Russel. — Jak czysto naprzykład wyglądają te dzieci!

Właśnie wtedy ukazały się były dzieci należące do szkoły Anny; przeciągnęły do koła tak jak wszyscy, i śpiewając swoje szkolne pieśni, rzucały kwiaty. Następnie usiadły obok drugich na niskich ławeczkach, — poczem dopiero Dulcymer i czteréj jego towarzysze wystąpili na środek.

— Aha, — zawołała Anna, — teraz przyszła koléj na Dulcymera; — trubadur będzie się popisywał.

Jakoż Dulcymer zaczął rzeczywiście jakiś rodzaj recytatiwa, poczynającego się od słów: „Master leży w zimnym grobie.“ — Co kilka wierszy prześpiewanych solo, odzywał się chórem cały kwartet, z przepysznych złożony głosów.

— Jakoś te śpiewy smutno się zaczynają, — rzekła Nina.

— O, poczekaj jeno troszkę, — uspokajała ją Anna. To stary Master umarł, o ile mi się zdaje. Pieśń zapewne zaraz inny obrót weźmie.

I tak się też stało. Dylcymer zaintonował inną pieśń, opisującą przybycie nowego pana.

— No, — zawołała Anna, — teraz następuje rymowany i nierymowany rejestr cnót Edwarda, — słuchajcie.

Dulcumer śpiewał daléj. Co cztery wiersze odzywał się chór kwartetowy, który następnie powtarzała cała trupa artystów siedzących na scenie, przyczem z wielkim zapałem biła w takt rękami i nogami tupała.

— A teraz koléj na ciebie, Anno, rzekła — Nina, gdy Dulcymer w przesadnych wyrazach począł się z Anny pochwałami rozwodzić.

— Spis cnót i przymiotów pani,—odezwał się na to Klayton do Niny, — zapewne także będzie nie krótki.

— O, spodziewam się, że mnie przecież dadzą pokój.

— Nie rachuj wcale na to, — rzekła Anna, — bo Dulcymer ma cię na oku.

W téj właśnie chwili, twarz Dulcymera przybrała wyraz pełen znaczenia.

— Patrzcie, patrzcie, jak ten huncwot nadął się gdyby wrona! — zaśmiała się Anna. — No, baczność Nino Teraz na ciebie koléj!

Dulcymer spojrzał na Ninę z boku, komicznie i zaśpiewał:

„Oh! Master odjeżdża często. A gdzie? Czy wy wiecie?
„Do północnéj Karoliny, — tam jest róży kwiecie!“

— Otóż masz pani! zawołał Russel. — Widzisz pani jak oni się śmieją jeden do drugiego? — A jak krzyczą!

Murzyni tymczasem śpiewali co im płuca starczyły:

„Oh, róża z północnéj Karoliny!
„Oh, róża z północnéj Karoliny!
„Oh, życzymy panu szczęścia,
„Z różą z północnéj Karoliny!“

Ten chór powtarzał się kilka razy z wielkim zapałem, przyczem śpiewacy bili z całéj siły w ręce, i śmiali się do rozpuku.

— Zdaje mi się, że róża z północnéj Karoliny powinnaby im podziękować, — rzekł Russel.

— Cicho, cicho!—zawołała Anna; — Dulcymer jeszcze nieskończył.

Jakoż Dulcymer zrobił zabawną pozę, i zwrócił się do jednego ze swoich towarzyszy, śpiewając:

„Cóż to ja widzę na przejrzystém niebie?
„To dwie gwiazdeczki obok siebie świecą!“

Na co tamten odpowiedział mu z wielką żywością:

„Mylisz się bracie! To nie są gwiazdeczki,
„To jéj oczęta takie ognie niecą!“

— To doprawdy zgrabny komplement! — zawołał Russel.

Tymczasem Dulcymer śpiewał daléj patetycznie:

„Dwie róże widzę na jednéj gałązce,
„Kwitnące cudnie do siebie podobne!“

Towarzysz jego odpowiedział mu znowu:

„Mylisz się bracie, bo to nie są róże,
„To tak kraśnieją jéj lica nadobne!“

— I pokraśnieją jeszcze bardziéj, — rzekła Anna uderzając Ninę z lekka wachlarzem. — Pokazuje się, że Dulcymer najlepsze swoje pomysły zachował dla ciebie Nino.

Czarny trubadur śpiewał daléj:

„Cóż to ja widzę? To latorośl winna
„Białą lilią otacza do koła!“

A w odpowiedź zabrzmiała zwrotka:

„Mylisz się bracie, to jéj sploty cudne
„Wiją się w koło jéj jasnego czoła!“

Poczem chór cały zaśpiewał:

„Patrz, jak leciuchnym biega ona krokiem,
„Do koła słychać jéj śmieszek srebrzysty;
„Jak czarodziejka przesuwa się z cicha,
„O, tam przez pokój, przez pokój cienisty.

„Jéj nóżki maleńkie stąpają tak szybko,
„Jak deszczyk co spada na łąki kwieciste,
„Jéj śmieszek srebrzysty dzwoni i ulata,
„Wysoko, wysoko, aż w niebo przejrzyste!“

— Jakaś Muza musiała chyba tą razą użyczyć swéj pomocy Dulcymerowi, — rzekł Klayton spoglądając na Annę.

— Cicho bądź, i posłuchaj jeszcze chóru!

„Oh, róża z północnéj Karoliny!
„Oh, róża z północnéj Karoliny!
„Oh, zaszczep pod naszą werandą
„Różę z północnéj Karoliny!

Chór ten powtórzono trzy razy wśród głośnych śmiechów całego towarzystwa, poczém artyści skłonili się nisko, opuścili scenę, a biała kortyna zapadła.

— Przyznaj się Anno, że to niewszystko było dziełem Dulcymera, — rzekł Klayton do siostry.

— Jeżeli mam wyznać prawdę, to powiem wam, że użył do tego pomocy Letycyi, która ma szczególniejszą, wrodzoną zdolność do poezyi. Gdybym zdolność tę chciała pielęgnować i kształcić, byłaby z niéj niezawodnie druga Filis Wheatly.

Dulcymer ukazał się znów ze swemi towarzyszami, i ofiarowali widzom swoim na tacach limonadę, ananasy i inne owoce.

— Zaiste, trzeba przyznać, — rzekł Russel, — że to wszystko bardzo dobrze było urządzone.

— O, ja jestem przekonany, — odezwał się Klayton, że rasa afrykańska posiada wielkie zdolności do sztuk pięknych, i kiedykolwiek się ucywilizuje, wyceluje wysoko, szczególniéj w muzyce, tańcu i wymowie.

— I ja to uważałam, — rzekła Anna, — że moi uczniowie nadzwyczaj łatwo pojmują wszystko, co się od-

nosi do muzyki lub języków. — Śmieją się z Murzynów, że wiele słów fałszywie wymawiają, co czasem rzeczywiście śmiesznie wygląda; ale to pochodzi ztąd, że oni podobnie jak wszystkie dzieci ze zdolnościami, silą się mówić wyrazami, będącemi po za obrębem ich pojęcia.

— Między śpiewakami którzy się tutaj popisywali, słyszałem rzeczywiście kilka prześlicznych głosów; — zauważał Russel.

— Tak jest, potwierdziła Anna. A między dziewczętami, mamy znów wiele bardzo ładnych głosów altowych, które daleko pospolitsze są u Murzynek, aniżeli u kobiet białych.

— Etyopska rasa, — rzekł Klayton, — jest to roślina podobna do aloesu; powoli rośnie, ale mam nadzieję, że zbliża się już czas, w którym ona w kwiat wystrzeli, i pewny jestem, że to będzie kwiat nielada.

— To tylko poeta może mieć takie nadzieje, — rzekł na to Russel.

Przedstawienie teatralne zmieniło się teraz w formalny bal, w którym wszyscy wzięli udział, i bawili się ochoczo, ale przyzwoicie.

— Sądzę, — odezwał się znów Klayton, — że ci którzy starali się zniewolić Murzynów do zaniechania śpiewów i tańca, stracili niepotrzebnie dużo czasu i energii własnéj; — ja staram się tylko namiętność tę utrzymać w przyzwoitych granicach. Chcieć zamienić Murzynów w Anglosasów, wychodzi na to samo, co gruszki szczepić na winnéj latorośli. Co się mnie tyczy, to wolę zawsze uszlachetniać i pielęgnować samą latorośl winną.

— Otóż to znać zaraz uwieńczonego obrońcę praw murzyńskich! — zaśmiał się Russel. —

— Nie tak bardzo uwieńczonego,—odparł Klayton.— Słyszałeś zapewne, że Barker apelował; zwycięztwo więc moje jeszcze niepewne.

— A! spodziewam się, — zawołała Nina, — że o tém wątpić niemożna! Przekonana jestem, że żaden rozsądny człowiek, nie rozstrzygnie téj sprawy inaczéj. — A potem własny ojciec pański jest jednym z sędziów.

— To téż tém ostrożniejszym jeszcze będzie w swém zdaniu, aby go o stronność dla mnie nie posądzono, — odrzekł Klayton.

Gdy się tańce skończyły, Murzyni spokojnie i przyzwoicie rozeszli się do domów, a towarzystwo nasze wróciło pod werandę, na którą wskróś liści dzikiego winogradu, padało łagodne światło księżyca. Powietrze całe napełnione było rozkoszną wonią, — niby oddechem zasypiających kwiatów.

— A! jak też tu ślicznie pachnie! — zawołała Nina.— Ja namiętnie lubię wszelkie zapachy! Według mnie woń to duch powietrza.

— Lord Bakon powiada, że oddech kwiatów porusza powietrze, tak jak wibracye muzyczne; — rzekł Klayton.

— Lord Bakon to powiedział? — zapytała Nina tonem wielkiego zadziwienia.

— Tak jest; a dla czegóżby nie?

— A, bo ja sobie wystawiam, że to był jeden z tych siwych, starych filozofów, którzy pięknie myśleć nieumieją.

— Jeżeli pani pozwolisz, to jéj przeczytam jutro jego rozprawę o ogrodach; — rzekł Klayton; — a prze-

konasz się pani, że starzy, osiwiali filozofowie, mają częstokroć bardzo piękne pomysły.

— Lord Bakon, — dodała Anna, — miał zawsze u siebie w drugim zaraz pokoju muzykantów, którzy musieli grać podczas gdy on pisał.

— Doprawdy! — zawołała Nina. — A to ślicznie z jego strony. — Kiedy tak, to pragnę bardzo poznać jego rozprawy.

— Są ludzie, — rzekł Klayton, — których władze duchowe rozciągają się bardzo daleko. Tacy ludzie są w stanie zarówno prawić grzeczności, i unosić się nad pierścionkiem na palcu kobiety, jak rozprawiać o biegu planet; dla nich nic niemasz obcego.

— Taki człowiek byłby w sam raz dla ciebie Anno,— mówiła żartując Nina; — bo co ja, to zanadto wydałabym się przy nim nikczemnie. Taki ogrom mądrości, ciężarem swoim wciągnął by mię do wody i utopił bez litości.— Myślę żebym bez wahania puściła z wodą wędkę, gdyby mi się na nią taka ryba złapała.

— No, w dzisiejszych czasach niepotrzebujesz się tego pani zbytecznie obawiać, — uspakajał ją Klayton.— Takich ludzi wieki tylko wydają. Bóg posła ich aby torowali drogę innym ludziom; są to kamieniarze, którzy przygotowują tyle łomów marmuru, że całe generacye mają potém z niemi co robić.

— A, jabym niechciała być żoną takiego kamieniarza, — odrzekła Nina, — bobym się ciągle bała, żeby niespadł na mnie który z kamiennych odłamów.

— Nieprzystałabyś pani na to pod żadnym warunkiem? Nawet wtedy gdyby on był zupełnym twoim niewolnikiem? — zapytał jéj Russel. — Wyszłoby to na

to samo, jak żebyś pani gieniusza zaczarowanéj lampy u stóp swoich miała.

— No, w takim razie, to może, — odparła Nina, — ale i tak obawiałabym się, żeby mię kiedykolwiek nie zawiódł. Takiemu człowiekówi spowszedniałabym wnet jako przeczytana książka, i poszłabym w kąt, na półkę. Widywałam ja już takich wielkich ludzi, przynajmniéj wielkich na nasze czasy, i uważałam, że ani przez pół niezajmowali się tyle żonami swemi co gazetami.

— O! to każdy mąż tę sztukę potrafi! — zawołała Anna. — Gazeta jest wieczną rywalką amerykańskiéj kobiety.— Nawet konkurent, wprzòd nim otrzyma zapewnienie ręki swéj narzeczonéj, musi być bardzo zakochany, żeby się zdołał oprzeć gazetowym pokusom.

— Pani jesteś bardzo surowa, Mis Anno, — rzekł Russel.

— Prawdę tylko mówi, — odpowiedziała mu Nina.— Mężczyzni, to bardzo niedobre plemię; jest to złe konieczne, szczęściem, że przynajmniéj choć przez pół ucywilizowane. O! ale jeżeli kiedy pójdę za mąż, to już ja postaram się o to, żebym miała pierwszeństwo przed gazetami!

Rozdział XIV.

OGRÓD TIFFA:

Gdyby nam zakres naszego opowiadania na to pozwolił, z radością zabawilibyśmy jeszcze kilka dni w cienistém zaciszu w Magnoliahain, wraz z Niną i Klaytonem, którym godzina za godziną, na skrzydłach zdawały się ulatywać. Ale nieubłagana fala czasu nieczeka na nikogo, a tém bardziéj na powieściarza; musimy więc tylko w krótkości czytelnikowi powiedzieć, że Klayton odprowadził Ninę do Kanemy, i dopiero potém do swych zatrudnień powrócił.

Nina wróciła do domu, z pojęciami i myślami sprostowanemi i na dobrą naprowadzonemi drogę, w skutku bliższéj znajomości z Anną. Klayton zupełną miał słuszność, utrzymując, że pokazanie jéj wielkiego, prawdziwie wzniosłego celu życia, skuteczniéj działać na nią będzie, aniżeli najmądrzejsze rady. Wesołe to dziecię poczuło w sobie pragnienie lepszego, wyższego żywota,

aniżeli ten który dotąd pędziło. To wielkie, wszystko obejmujące w sobie uczucie, które o losie kobiety stanowi, jest już z natury swéj podnoszącém, uszlachetniającém, nawet wtedy, gdy przedmiot miłości jest jéj niegodnym; cóż to dopiero za siłę mieć musi ono posiadać, kiedy człowiek zacny stanie się jego przedmiotem.

Od samego początku ich wzajemnéj skłonności, Klayton nigdy nieokazał jawnie chęci wpływania na rozwinięcie się umysłu i serca Niny. Miał on dosyć doświadczenia, ażeby zauważać, że mimo wiedzy Niny, zakres jéj uczuć i myśli znacznie poczynał się rozszérzać; ostateczny więc rozwój tych władz jéj duszy, zostawił on téj saméj sile, która pączki na róży rozwija i pędzi w górę kręte winogradu gałązki. Żył tedy tak jak dawniéj, nie usiłując zmienić trybu jéj życia, i właśnie dla tego niezmierny wpływ na nią wywierał.

Jednego ranka, w kilka dni po powrocie, Nina postanowiła dowiedzieć się, jak się ma stary Tiff. Był to ranek pogodny i gorący, i cała natura spoczywała jeszcze w téj sennéj ciszy, która wielki upał zwykła poprzedzać.

Podczas nieobecności Niny, położenie Tiffa znacznie się polepszyło. Malec w skutek troskliwych starań, ssania owego kawałka wieprzowiny i ciągłego przebywania na świeżem powietrzu, stał się żwawym, ładnym chłopczykiem, a Tiff odrywając się od swego zatrudnienia w ogrodzie, ciągle na niego zaglądał, i za każdą razą niemógł się powstrzywać od wykrzyków najwyższego podziwienia na jego widok.

W chwili gdy Nina przyjechała, Tiff zajęty był właśnie pracą w ogrodzie. Trzeba przyznać, że powierzchowność jego była trochę zabawna. Jako pełniący obowiązki niańki, z przodu był fartuchem przewiązany; ale ponieważ liczne i różnorodne zajęcia tak mu czas zabieraly, że niemiał kiedy myśleć o sobie, i zwracać uwagę na swoję powierzchowność, przeto spodnie jego nosiły na sobie widoczne ślady owéj znikomości, która wszystkich doczesnych rzeczy jest udziałem.

— Boże mój,— mruczał sam do siebie owego ranka, pracując pilnie nad zrestaurowaniem téj niezbędnéj części odzienia.— Tu dziury, i tu dziury! Co to znaczyć? Doprawdy, feralny dzień na mnie przyjść! Biedny stary Tiff! Boże sprawiedliwy! Jabym sobie bardzo życzyć mieć takie suknie jak to o nich opowiadać byli na pobożnem zebraniu, co ich to przez czterdzieści lat na puszczy byli nosić. Ogromnie oszczędne być w tedy czasy! Ale ja wiedzieć co zrobić; ja sobie będę przywiązać dwa fartuchy,— jeden z przodu, drugi z tyłu. Chwała Bogu, ja mieć jeszcze fartuchy. Kiedy już małemu wszystkie zęby były się wykłuć, kiedy sukienki Tedda posporządzane, bielizna wyprana, a chwasty w ogrodzie wypielone, to ja sobie w tych dniach będę zrobić parę nowych spodni. Po co też to Pan Bóg tyle stworzyć tego chwastu? Mnie się zdaje, że on rosnąć tylko na nasze utrapienie;— ale kto wie, może on na co być przydatny? My tak mało wiedzieć!

Tiff siedział właśnie w ogrodzie plewiąc grządki, gdy spostrzegł Ninę. Któż sobie potrafi wystawić przykrość jego położenia?... Żaden z kawalerów wielkiego świata, niemoże mieć surowszych pojęć o grzeczności i wzglę-

dach, winnych piękności i dostojeństwu, jak je miał Tiff. W okropnym więc był kłopocie, że go Nina zjechała siedzącego na ziemi, a za cały strój mającego tylko niebieski fartuch z przodu, a czerwony z tyłu. Jednak czytelnicy nasi zauważali już zapewne, że Tiff obdarzony był wielką przytomnością umysłu, i że w chwilach krytycznych nigdy nietracił odwagi. W mgnieniu oka zatém, wyrozumowawszy sobie, iż brak gościnności gorszy jest stokroć aniżeli brak stroju, wstał i pobiegł złożyć swemu gościowi winne uszanowanie.

— Niech Bóg was błogosławić, Mis Nina! — zawołał, a tymczasem swawolny wietrzyk niby w żagle dmuchał w jego fartuchy, to w czerwony, to w niebieski na przemiany.— Stary Tiff okropnie być szczęśliwy, że was widzieć. Mis Fanny być zdrowa, i Teddy także, i maleńki być żwawy Bogu dzięki! Mis Nina raczyć zsiąść z łaski swojéj i wstąpić do nas na chwilę. Ja nazbierać trochę pięknych jagód na bagnie, a Mis Fanny bardzo będzie dumna z tego, jeżeli wy raczyć ich skosztować. Wy widzieć,— dodał spoglądając na swój oryginalny kostium i śmiejąc się serdecznie,— że ja dziś niespodziewałem się żadnych znakomitych odwiedzin, i dla tego wdziać stare suknie.

— A, mój wuju Tiff, bardzo ci tak dobrze!— odrzekła Nina. — Twój strój jest oryginalny i malowniczy. Ty przecież nienależysz do tych ludzi, którzy się pracy wstydzą, nieprawdaż wuju Tiff? Żebyś mi podprowadził konia do jakiego pniaka, tobym zesiadła.

— W ten moment, Mis Nino,— zawołał Tiff i spełnił jéj życzenie.—Gdyby się Tiff wstydzić pracy, toby mu-

sieć bardzo się wstydzić, bo rzeczywiście bardzo dużo mieć do roboty!

— Tomtit naparł się jechać ze mną, — rzekła Nina oglądając się do koła; — ale został tam nad rzeczką, gdzie go zwabiło kilka pięknych winogron, i spodziewam się, że go nie tak prędko obaczę. Bądź więc tak dobry, uwiąż Sylfinę gdzie w cieniu, a ja tymczasem pójdę do Mis Fanny.

Nina wbiegła lekko na ganek, otoczony z obu stron chińskiemi goździkami i nagietkami, gdzie u drzwi oczekiwała na nią Fanny z wielką nieśmiałością.

Wśród lasu, wśród dzikiéj przyrody, niebyło śmielszego nad nią dziecięcia. Nie było tam ani jednego drzewa, na któreby Fanny dostać się niepotrafiła; niebyło gęstwiny w ktorąby się niewcisnęła. Znała każdego ptaszka, każdego motylka, każdy kwiatek w pobliżu. Wiedziała doskonale kiedy który owoc dojrzewa, kiedy kwitnie który kwiatek, a język ptaszków tak rozumiała, i w takiéj poufałości żyła ze skocznemi wiewiórkami, że ją za jednę z nich wziąść można było.

Jedyny jéj towarzysz, stary Tiff, obdarzony był od natury dziwném, fantastyczném usposobieniem, od pospolitości jak niebo od ziemi dalekiém. Nauki jego o grzeczności i przyzwoitości, długie powieści o sławie i znaczeniu jéj przodków, natchnęły Fanny pewnym rodzajem dziecinnego poczucia własnéj godności, które jednakże przejmowało ją zarazem wielkim wstydem w obec tych, których odziewał zewnętrzny blask, i wyższe w świecie dostojeństwo.

Jakkolwiek Tiffa metoda wychowania była instynktowa, była jednak przytém i całkiem filozoficzna, gdyż

pewien stopień poszanowania siebie samego, jest podstawą wielu cnót i tarczą przeciwko wielu pokusom. Oprócz tego Fanny odziedziczyła po matce organizacyą o wiele delikatniejszą, aniżeli dzieci téj klassy, do któréj po ojcu należała. Posiadała téż wrodzoną płci swojéj zdolność odgadywania tajemnic toaletowych, tak, że gdy Nina stanęła na progu jedynéj izdebki, spodobały się jéj od razu czystość i smak, cechujące zarówno izdebkę, jak jéj gospodynią.

Kwiatki na bagnach rosnące i leśne, ustawione były do koła starannie i gustownie, a pomiędzy niemi były ułożone pióra ptaków, różnokolorowe z jaj skorupki, zasuszone trawy i inne leśne osobliwości, i świadczyły o guście wykształconym przez ciągłe obcowanie z naturą.

Sama Fanny ubrana była w ładną sukieneczkę w deseń, którą jéj był przywiózł ojciec, przyjechawszy ją raz odwiedzić; na głowie miała czepeczek biały muślinowy. Ciemne włosy miała gładko zaczesane, a jasne, niebieskie oczy, i świeża, różowa twarzyczka, podnosiły jeszcze miłe wrażenie, które na pierwsze wejrzenie zgrabna jéj figurka robiła.

— Dziękuję ci, — rzekła Nina uprzejmie, gdy jéj Fanny jedyny w całéj chacie stołek podała;—pojdę z Tiffem do ogrodu, bo w taki piękny dzień niemogę dosiedzieć pod dachem. Niespodziewałeś się mnie zapewne tak wcześnie wuju Tiff; ale dziś zrana byłam w bardzo czynnym humorze, i wykołatałam wcześniéj śniadanie, żeby pojechać do was i wrócić przed upałem. Jak tutaj ładnie, jaki wyborny cień dają te drzewa, — a jak szumią wspaniale! Nieprzerywaj sobie roboty Tiff, proszę cię, nieuważaj nic na mnie!

— To prawda Mis Nino, tutaj być bardzo pięknie.— Ja tutaj dziś byłem wyjść już o czwartéj godzinie do ogrodu i zdawać mi się było, że drzewa psalm szumieć, tak cicho, poważnie! I tak one niby ręce do modlitwy podnieść w górę, a tuż nad niemi była świecić prześliczna gwiazda. Ja sobie myśleć że ta gwiazda musieć należeć do najstarszych familij tam w górze.

— Zapewne, — odrzekła Nino wesoło; — ta gwiazda wuju Tiff, nazywa się Wenus, gwiazda miłości, — i zdaje mi się że z bardzo staréj pochodzi familii.

— Ho! miłość to dobra rzecz! — zawołał Tiff, — bo ona wszystko łagodzić. Nieraz, kiedy ja nad tém myśleć, to mnie się zdawać, że drzewa w lesie kochać się nawzajem; one tam stać obok siebie, i ramiona ku sobie wyciągać, i tak przyjaźnie kiwać na siebie głowami, i szeptać a szeptać. Winne macice, i ptaszki i wszystko, to tak żyć ze sobą zgodnie, jakby się kochać wzajemnie. A ludzie to się gniewać na siebie, i dręczyć się nawzajem, i nosa zadzierać. Mnie się zdawać, że dla nas wielka być nauka z tego, co się dziać koło nas.

— Oczywiście wuju Tiff, — rzekła Nina; — stara nasza matka natura jest wyborną nauczycielką, i umie ze wszystkiego wybrać co najlepsze.

— To prawda; ona tak dużo robić, a bez żadnego hałasu. Ja się już nad tém nieraz zastanawiać patrząc na swój ogród. Wy się tylko przypatrzyć temu zbożu, co wam teraz ponad głową wyrosnąć; to wszystko wyrosnąć było w lecie, po cichutku, tak że nikt niewiedzieć, kiedy się to stać. Na pobożnem zebraniu byli nam opowiadać, jak Bóg stworzyć niebo i ziemię. Ale Tiff mieć

swoje własne o tém wyobrażenie, — jemu się zdawać, że Bóg ciągle niebo i ziemię stwarzać, że się to ciągle dziać przed naszemi oczyma. Te wszystkie rzeczy które rosnąć, mieć swoje osobne przeznaczenie, i drogę, którą one iść. Groch tak ciekawie wspinać się tu na tyczki, kręcić się jak mu się podoba, jakgdyby on być żywy; chociaż go przywiązać, to on i tak wybiegać na boki! Takie rzeczy to tak pobudzać Tiffa do śmiechu, Mis Nina,— doprawdy, bardzo go do śmiechu pobudzać.

I usiadł na ziemi i rozpuścił wodze swojéj wesołości.

— Doskonały z ciebie filozof, mój Tiffie! — zaśmiała się Nina.

— Boże broń, Mis Nina, ja niebyć taki! — zawołał Tiff z uroczystą powagą. — Kaznodzieje bardzo piorunować na takich ludzi na pobożném zebraniu, i o ile ja miarkować, to nienależy być żadnym *lozofem*! Ja się téż spodziewać, że ja nim niebyć, Mis Nina.

— O, ja mówiłam o filozofach w dobrym gatunku, wuju Tiff. Ale jak ci się w ogóle podobało pobożne zebranie?

— No, ja spodziewać się Mis Nina, że ja się tam był czegoś przecie nauczyć, choć niewiedzieć jak dużo. A kiedy Mis Nina być łaskawa nas odwiedzić, to może będzie łaskawa także nas coś nauczyć. Mis Fanny jeszcze niczewszystkiem dobrze czytać, to wy nam może coś będziecie przeczytać z bibli, i nauczyć nas, jak to trzeba żyć, żeby być chrześcijaninem.

— Ach, mój Tiff, ja sama tego dobrze niewiem, — rzekła Nina z westchnieniem. — Przyszlę ci tu Milly, to ona z tobą o tém pogada, bo ona jest bardzo dobra chrześcianka.

— Milly być bardzo porządna kobieta, — odrzekł Tiff wahającym się tonem, — ale ja myśleć, że to zawsze lepiéj, kiedy biały nauczać. Jabym woleć, żeby wy to uczynić, jeśli wam to niezrobić przykrości.

— Ale nie, wuju Tiff! Jeżeli chcesz żebym wam co przeczytała, to i owszem. Masz tu biblią? Poczekaj, postawię sobie stołek tutaj w cieniu, to niebędziesz potrzebował przerywać sobie pracy.

Tiff pobiegł do domu zawołać Fanny i przynieść biblią, którą był Kripps, na jego prośby, przywiózł za ostatnią swoją bytnością. Fanny usiadła przy nogach Niny, a ona poczęła przewracać w biblii, namyślając się co im przeczytać.

— Cóż ci przeczytać, Tiff? — Czego sobie życzysz najbardziéj?

— No, jaby najbardziéj chciał znaleźć najkrótszą drogę jaka jest do nieba, żeby nią dzieci poprowadzić. — Ten świat jest bardzo dobry, i trwać długo, ale wy wiedzieć, że nie na wieki, — i że wszystko musi mieć koniec.

Nina zamyśliła się.

Cóż to za wielkie pytanie rzucono jéj w téj chwili! Z jakąż ufnością, ten poczciwy starzec czekał na jéj odpowiedź! Nareszcie rzekła z niezwykłą powagą.

— Najlepiéj podobno będzie mój Tiff, jeśli ci przeczytam co o naszym Zbawicielu. On zstąpił na ziemię, żeby nam drogę do nieba pokazać. Jak tu drugą razą przyjadę, to ci opowiem wszystko, co tam stoi o nim napisane, wszystko co on powiedział i uczynił, a może wtenczas sam znajdziesz tę drogę, o którą się pytasz. Może i ja ją znaleźć potrafię, — dodała z westchnieniem.

Gdy to mówiła, wiatr poruszył gałązkami polnéj róży, co się pięła po drzewie, pod którém Nina siedziała, i obsypał ją deszczem różanych liści.

— Tak, — pomyślała sobie Nina patrząc na listki które upadły na książkę; — on prawdę powiedział; wszystko jest przemijające.

I wśród szumu drzew i szmeru winogradowych gałązek, zabrzmiały pierwsze słowa świętéj historyi.

I Nina czytała, jak Jezus narodził się w Betleem, w ziemi Judzkiéj, i jak przybyli doń, aby mu cześć oddać, trzej mędrcowie ze Wschodu, pytając, gdzie jest ten nowonarodzony król Judzki?

Więcéj ukształceni słuchacze, byliby bez wątpienia przerywali czytanie, statystycznemi i geograficznemi pytaniami, jak naprzykład: gdzie to leżała Jerozolima, co to za jedni byli ci mędrcy, jak daleko Wschód leży od Jerozolimy, i czy to podobna, żeby oni tak daleko jeździli?

Ale słuchaczami Niny były dzieci, i starzec z dziecięcą duszą, w któréj ogromne skarby wiary nagromadzone były, podobne do owych amuletów, grających tak ważną rolę w mnogich bajkach i powieściach czarodziejskich. — Bujna fantazya tych słuchaczów, urzeczywistniała sobie od razu to, co im czytano. Mglisty obraz Jerozolimy, stawał od razu przed oczyma ich duszy, i widzieli ją tak dobrze jakby pobliskie miasto E*. — Król Heród był dla nich żyjącą postacią, a Tiff odkrył w nim nawet wielkie podobieństwo do starego jenerała Katona, który był nieprzyjacielem cnoty i prześladował Peytonów, będąc ich sąsiadem. Przy opisie rzezi niewiniątek, uniósł się Tiff wielkim gniewem, i oświad-

czył, że jakkolwiek wiedział iż Heród był nic dobrego, jednak tak znów źle o nim dotąd niesądził; — wreszcie chociaż na nikogo niemiał w sercu nigdy zawziętości, jednak cieszyła go bardzo ta myśl, że djabeł dawno tego człowieka pochwycił w swoje pazury.

— Dobrze mu tak! — zawołał uderzając silnie motyką po chwastach. — Żeby zaś wszystko to małe biedactwo wymordować! I co oni mu być winni? Ciekawym co on był myśleć sam o sobie?

Nina musiała aż uspakajać poczciwego staruszka, zwracając jego uwagę na dalsze opowiadanie. I zaczęła czytać daléj, o nocnéj podróży owych mędrców, i jak gwiazda prowadziła ich ciągle, i nie-tanęła aż nad tém miejscem gdzie dziecię było; jak przyszedłszy ujrzeli Jezusa i Maryą matkę jego; jak przed nim padli na kolana i ofiarowali mu mirrę, kadzidło i złoto.

— O mój Boże! — zawołał Tiff; — jakby ja chcieć być wtedy z niemi! To dziecię, to być Bóg prawdziwy! Mis Nino, ja sobie przypominać ten hymn, który byli śpiewać na pobożném zebraniu:

„Zimne kropelki rosy na żłobie błyskają,
„Jezus główkę położył w stajni wraz z bydlęty.
„Aniołowie dziecięciu pokłony oddają,
„Bo to Stwórca, Pan świata i Zbawiciel święty!“

Nina jeszcze nigdy w życiu niepoczuła tak jak wówczas całéj nieporównanéj poezyi téj legiendy, która niby niezwiędła lilija, kwitnie jeszcze dzisiaj w sercu całego chrześciaństwa tak pięknie i niepokalanie, jak przed ośmnastu wiekami. To dziecię betleemskie wyrósłszy po-

tem na męża i nauczając w Galilei, powiedziało jednego czasu śliczną przypowieść, o ziarnie, co pada na dobrą rolę; taką rolą było właśnie serce Niny.

— Gdy Nina przestała czytać, rozczulił ją widok wrażenia, jakie na swych słuchaczach sprawiła. Poczciwy Tiff widocznie gotów był upaść na kolana, przed owém cudownem dziecięciem, przed swoim Zbawicielem i zdawało mu się że nawet powietrze które go otacza, uświęcone zostało prostą wielkością téj historyi.

Nina chciała już siadać na konia i wracać do domu, gdy Tiff podał jéj koszyczek dzikich malin.

— Tiff radby wam co ofiarować, — rzekł do niej.

— Dziękuję ci, wuju Tiff. Jakież to prześliczne jagody! Gdybyś był tak dobry, i dał mi jeszcze gałązkę tych róż.

I któż był kiedy dumniejszy i szczęśliwszy jak Tiff, w chwili gdy jéj podawał bubiecik róż, z samego wierzchołka krzaku uszczknięty.

Niestety! zanim Nina wróciła do domu, róże zwiesiły już zwiędłe główki.

— Trawa usycha, kwiatek okwita, tylko słowo Boskie trwa wiecznie.

Rozdział XV.

OSTZEŻENIE.

Życie południowych Stanów Zjednoczonych płynie dwoma odmiennemi prądami; — jeden z nich unosi na sobie dostatki, nadzieje i uczucia panów, a drugi niewolników.

Jest to smutna a jednak rzeczywista prawda, któréj tysiączne przykłady stawia nam przed oczy historya ludzkości, że zawsze miliony ludzi były skazane na to, aby tylko jako niewolnicy szły w tryumfalnym orszaku drugich, a odgłosy trąb wojennych, szelest puszczonych z wiatrem sztandarów i tłumne okrzyki radości, czyniły ich więzy jeszcze cięższemi i ochydniejszemi.

W miarę jak Ninie życie poczęło się coraz bardziéj uśmiechać i weseléj składać, tem sroższy los stawał się udziałem w niewoli zostającego jéj brata.

Jednego wieczora po ułatwieniu dziennych zatrudnień, pojechał był na stacyą pocztową, odebrać zalegające

tam listy dla rodziny Gordonów. Między niemi znalazł także jeden do siebie adresowany, i ten wracając lasem do domu, zwolna przeczytał. — Treść jego była następująca:

„Kochany Bracie!“

„W ostatnim moim liście pisałam ci, jak przyjemne życie pędzę wraz z dziećmi, wśród własnéj posiadłości; ale od tego czasu zmieniło się wszystko. Przybył tutaj Tom Gordon, rozpoczął proces o posiadłość, i zażądał wydania sobie mnie i moich dzieci jako niewolników.— To jest okropny człowiek!“ —

„Wzięto całą tę sprawę pod roztrząśnienie, i wydano wyrok przeciwko nam. Sędzia oswiadczył, że obie moje karty wolności, jedna wystawiona w Ohio, a druga tutaj, są nieważne; że syn mój jest niewolnikiem, i niemoże posiadać żadnego majątku, tak samo jak muł, który chodzi w pługu. Miałam tutaj dosyć przyjaciół, wielu mnie żałowało, ale nikt mi niemógł dopomódz.“—

„Tom Gordon jest to zły, — bardzo zły człowiek. Nie będę ci powtarzać wszystkiego co mi mówił, ale przysięgam ci, że pierwéj siebie i dzieci zabiję, nim zostanę jego niewolnicą. Harry! ja byłam wolną i wiem co to jest wolność. Moje dzieci wychowały się jako ludzie wolni, i da Bóg, niedoświadczą co to jest niewola!“

„Uciekłam z plantacyi i ukrywam się u jednéj czarnéj rodziny w Natchez; spodziewam się ujść do Cincinnati, gdzie mam przyjaciół.“

„Biédny bracie! Miałam nadzieję, że ci potrafię dopomódz, — ale teraz już się wszystko skończyło; teraz

ja sama dla siebie nic niemogę. Prawo jest po stronie moich prześladowców, ale ufam że mi Bóg dopomoże.

„Bądź zdrów!“

„Twoja przywiązana siostra“

Trudno jest ocenić uczucia człowieka, wychowanego w tak przykrém jak Harry położeniu. Uczucia które w nim rozwinęło staranne wychowanie, względy z jakiemi go traktowali jego panowie, odpowiadały zupełnie stanowisku ukształconego człowieka; ale zresztą położenie jego było takie same, jak każdego innego niewolnika i niemiał prawa do niczego na świecie, — związki rodzinne nieistniały dla niego. —

Cokolwiek człowiek obdarzony głębokiem uczuciem doświadczyć by mógł po odebraniu podobnéj wiadomości od ukochanéj siostry, tego doświadczył Harry. I obraz Niny szczęśliwéj, wesołéj, obsypanéj darami losu, przesunął się przed jego oczyma. Gdyby rozprężone jego myśli dały się były ująć w słowa, byłyby brzmiały w sposób mniéj więcéj następujący:

„ Mam dwie siostry, córki jednego ojca, obiedwie piękne, obiedwie kochania godne i dobre; — jedna z nich posiada stopień i stanowisko w społeczeństwie, majątek, szczęście i pokój; druga, jest to wzgardzone, bezbronne stworzenie, oddane w moc nikczemnego człowieka. Była dobrą żoną i dobrą matką, mąż jéj uczynił wszystko co mógł, aby jéj los zabespieczyć, ale okrutna ręka prawa pochwyciła ją i popchnęła napowrót w tę otchłań nędzy, z któréj on rozumiał, że ją na zawsze wyratował. A ja nic nie mogę na to poradzić. Ja niejestem człowiekiem! I przekleństwo to spo-

czywać będzie wiecznie na mnie, na mojéj żonie, na moich dzieciach i wnukach. „On niemoże posiadać żadnego majątku, tak samo jak muł, który chodzi w pługu.“ Taki sam los będzie udziałem i moich dzieci! A przecież powiadają ludzie: „Macie wszystko czego wam trzeba; i dla czegòż nie jesteście szczęśliwi?“ Radbym, żeby oni sami doświadczyli tego kiedy! Czyż oni myślą że suknie z cienkiego sukna i złote zegarki, mogą człowiekowi stanąć za wszystko?

Harry jechał daléj mnąc list w ścisnionych pięściach, puszczone cugle spadały wolno z karku końskiego; a jechał właśnie tą samą samotną ścieżką, na któréj już dwa razy spotkał się był z Dredem. Podniòsłszy oczy do góry, ujrzał go po raz trzeci, stojącego nieruchomie, jakby wyrósł z ziemi.

— Z kąd się tu wziąłeś znowu? — zapytał Harry.— Zjawiasz się obok mnie za każdą razą, kiedy mnie silniejsza boleść przygniata!

— Czyż mój duch niejest za-wsze z tobą? — odparł Dred. — Czyż ja niewidziałem wszystkiego?... Harry, ja ci powiadam: musimy cierpieć, bo cierpieć chcemy!

— Ale cóż mamy robić?

— Co robić? A co robi dziki koń? Uderzmy ich kopytem, wstańmy i idźmy na nich! Cóż robi grzechotnik? Zasadzajmy się na nich po ścieżkach któremi chodzą, i kaleczmy ich. Dla czego oni nas obrócili w niewolników? Wprzód próbowali zrobić to samo z dzikiemi Indyanami, a dla czego niezrobili? Bo oni niechcieli być niewolnikami, a my chcemy!

— Ależ, — rzekł Harry, — to wszystko nadaremnie!

Bez środków, bez planu, bez dowódzców, sami na własną zgubę pójdziemy.

— No, to i cóż? Zginiemy i koniec! — zawołał Dred. Mniejsza o to! Jeżeli oni nam głowę zgniotą, to my ich choć w piętę zranimy. Wszakże zabili Nat Turnera. A jednak ze strachu przed nim, o mało niewolnikom wolności niedali. Tak, tak, już się naradzali nad tém! Chodziło tylko o kilka głosów; jeszcze trochę więcéj strachu, a byliby to zrobili. Gdyby się było memu ojcu udało, niewolnicy w południowéj Karolinie byliby dzisiaj wolnemi. — Zginąć, umrzeć! Dla czego nie? — Czyż ci tak zbywa na męzkiéj odwadze, że nieumiałbyś umrzeć? że wolisz czołgać się jak robak, bylebyś tylko mógł żyć?

— Dla siebie, nieboję się śmierci, — rzekł Harry.— Bóg widzi, że niewiele dbam o życie, — ale...

— Rozumiem, — przerwał mu Dred. — Ale ta która cię wstrzymuje, usunięta z twéj drogi zostanie. Powiadam ci, Harry, jedna pieczęć została złamana, i jedna czara wylana jest w powietrze, a anioł zatraty z dobytym mieczem unosi się nad Jerozolimą.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Harry:

Dred przez chwilę stał w milczeniu. Potem ciało jego wyprężyło się, jak ciało lunatyka, a głos jego zabrzmiał, jakby pochodził zdaleka, chociaż każdy wyraz można było zrozumieć dokładnie:

— Słowa proroka, i objawienie, które on miał przez Pana, kiedy wpadł w zachwycenie, i leżał z otwartemi oczyma. I oto widział on pismo latające po niebie, a wszędzie, wewnątrz i zewnątrz zapisane smutkiem, jękami i narzekaniem! Patrz, ono się zbliża! Patrz, wielu

padnie od ręki Pańskiéj! Będą padać w domu i po drodze! Oblubienica umrze w swoim pokoju i dziecko umrze w kolebce! I krzyk się stanie po całym Egipcie, bo niebędzie ani jednego domu, w którymby umarły nieleżał.

— Dred! Dred! — wołał Harry wstrząsając nim silnie. — Przyjdź do siebie! — Obudź się! — Okropny jesteś!

Ale Dred nieruszał się, i stał z pochyloną ku ziemi głową, z rękami w niebo podniesionemi, i wpatrywał się przed siebie, podobnie jak człowiek chcący dojrzeć czegoś przez gęstą mgłę.

— Widzę ją! — rzekł nareszcie. — Któż to jest przy niéj? Obrócony jest do mnie plecami. Aha, widzę, — to on! A tam stoi Harry i Milly. Tak, tak; róbcie co możecie, ale to wszystko napróżno. Daremnie posełacie za lekarzem; żaden nieprzyjedzie, bo wszycy są bardzo zajęci. Trzyjcie jéj ręce! — Tak, — ale to wszystko na nic. Kogo Pan kocha, tego zawczasu zabiera do siebie, aby niepatrzał na nieszczęście, co się zbliża. Połóżcie ją. Tak, — to śmierć! śmierć!...

Harry już nieraz widział Dreda w tym stanie, i strach go ogarnął, bo i w nim było nieco zabobonnéj wiary w proroctwa Dreda, powszechnie między Murzynami panującéj. Wstrząsnął nim jeszcze raz, i zawołał na niego po imieniu, ale Dred odwrócił się od niego w milczeniu, z oczyma, które zdawały się nic niewidzieć, potem poruszył się machinalnie, i zniknął w gęstwinie.

Harry za powrotem do domu jeszcze bardziéj się przestraszył, usłyszawszy jak ciotka Nesbit czytała Ninie list, opisujący postęp cholery, która wówczas okropne

rozniosła spustoszenie po północno amerykańskich wybrzeżach.

„Nikt niewie jak złemu zaradzić, — były słowa listu. Lekarze tracą głowy, bo choroba zadaje fałsz wszelkim regułom. Jak piorun spada na miasta, roznosi jęki i śmierć, i znika z równąż szybkością. Wielu ludzi zdrowych jeszcze zupełnie zrana, przed wieczorem spoczywa już w grobie. W wielu miejscach całe rodziny jednego dnia wymierają.“

— Teraz rozumiem co on chciał powiedzieć, — pomyślał Harry, — ale niepojmuję, jakie to może mieć dla nas znaczenie?

W ogólności, wiadomość ta niesprawiła w Kanemie szczególnego wrażenia; uważano ją jako smutną wieść i nic więcéj. Sam tylko Harry był niespokojny i przeczuwał coś niedobrego.

Rozdział XVI.

JUTRZENKA.

Nina codziennie rano lub wieczór odwiedzała Tiffa. Tiff miał zawsze w pogotowiu dla niéj jakiś mały podarunek z kwiatków lub owoców, albo lekkie śniadanie składające się z ryb lub ptaszków, z wielkim przyrządzone smakiem, a wiejska prostota charakteryzująca każde jego przyjęcie, pełna była jakiegoś dziwnego, dzikiego, leśnego powabu. Nina ze swéj strony, czytywała mu ciągle ową historyą, która go tak bardzo zajmowała, i podziwienia godną było rzeczą, jak on mało do niéj potrzebował objaśnień, gdyż prostota i serce pełne miłości, stały mu zawsze prawie za tłómacza.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie odczyty te wywierały i na Ninę, obdarzoną takiém tkliwém i pełném uczucia sercem. Są chwile, w których dusza ludzka miotana burzami życia, niby młodociana latorośl winna,

szuka dla siebie podpory. Chwile te przypadają zawsze w czasie wielkich, przechodowych peryodów życia ludzkiego. Taka też chwila nadeszła właśnie dla Niny.

Jadąc przez las, wśród ciężkiéj, sennéj ciszy dnia skwarnego, Nina która poczęła się budzić z marzeń dziecinnych, i uczuwać tęsknotę za czemś szlachetniéjszém, rozmyślała nieraz o Synu Boga, który stał się człowiekiem, o jego życiu i czynach, i w głębi jéj duszy utworzył się piękny, niepokalany obraz Boga człowieka; a świat który on stworzył, w każdém tchnieniu wiatru, w woni kwiatów, w szumie lasu, zdawał się do niéj przemawiać: „On żyje i kocha ciebie!“ — Głos dobrego pasterza doszedł do ucha zbłąkanéj owieczki i powołał ją na jego łono. —

Myśl zostania pobożną chrześcianką, budziła przedtém w Ninie wstręt, podobny do uczucia, jakiego doświadcza człowiek myślący o zimnym i ponurym korytarzu, który trzeba przejść, aby się dostać do pięknego, spokojnego mieszkania. Ale teraz nagle zdało się jéj, jakby jakaś niewidzialna ręka odchyliła zasłonę, która jéj dotąd zakrywała oblicze Wszechmocnego. Niebo i ziemia zdawały jéj się piękniejsze, dziwna radość napełniła jéj serce, i zdało się jéj, że czuje się coraz to bliżéj źródła wszelkiéj miłości. To uczucie kładło się wraz z nią do nocnego spoczynku, i wraz z nią budziło się zrana. Najlepiéj odmalujemy ten stan jéj duszy, przytaczając niektóre wyjątki z listu, który w tych czasach do Klaytona pisała: —

„Zdaje mi się, że w przeciągu dwóch ostatnich miesięcy więcéj we mnie odmian zaszło, aniżeli dotąd w ciągu całego mego życia. — Gdy pomyślę czém ja to by-

łam przed trzema miesiącami, gdym jeszcze bawiła w Nowym Jorku, zaledwie poznać się mogę. Zdaje mi się, że w ówczas życie wydawało mi się czystą igraszką, że byłam wtedy jak ów figlarny kotek młody. Dla tego też myślę, że we mnie niebyło i wtedy dużo złego, tylko że i dobrego niebyło. I wtedy już czułam nieraz pragnienie stania się lepszą, zwłaszcza gdy Liwia Raj była na pensyi. Zdaje się, że ona obudziła coś, co we mnie spało; ale ona odjechała, a ja zasnęłam napowrót."

„Potem poznałam pana. Pan budziłeś mię niekiedy z mego snu, i przypominam sobie, że był czas, kiedy bardzo gniewałam się o to, że mię ktoś budzić się poważa; to tak było zupełnie, jak kiedy kto nad ranem w słodkim półśnie leży; tak mile wtedy się marzy; tak przykro kiedy nas kto z tego stanu do trzeźwego życia chce przywołać. Z początku gdym pana poznała, nieraz mocno byłam na niego rozgniewana, i pragnęłam szczerze żebyś mi dał pokój, bo widziałam wyraźnie, że pan należysz do całkiem innéj sfery niż ta, w któréj ja żyłam. Jakieś niepojęte przeczucie mówiło mi, że gdy się do pana zbliżę, wkrótce życie przestanie mi się wydawać czystym żartem. Ale pan, jak zwykle, uparłeś się, i wziąłeś tę rzecz zupełnie na seryo."

„Dawniéj myślałam zawsze, że całkiem niemam serca, ale teraz zaczynam wierzyć, że go mam podostatkiem. Zdaje mi się, że codzień więcéj kochać jestem w stanie. Mnóstwo rzeczy których wprzód niepojmowałam, teraz stało się dla mnie całkiem zrozumiałe, i z każdym dniem czuję się szczęśliwszą."

„ Pan znasz przecie tego starego, zabawnego wuja Tiffa, którego wzięłam pod swoję opiekę, i który mieszka tutaj w lesie? — Od jakiegoś czasu codziennie jestem w jego chacie i czytuję mu Pismo Śte, co na mnie niezmierne wywiera wrażenie. Z początku zaraz wzruszyło mię to bardzo, że on tyle wagi przywięzuje do religii, kiedy ja, która daleko więcéj w téj rzeczy powinnam być pouczona, traktuję ją z takiém lekceważeniem. Gdy mię tedy począł prosić ze łzami w oczach, żeby dzieciom jego drogę do nieba pokazać, przyszło mi na myśl czytać mu życie Jezusa z nowego testamentu. — Sama niewiedziałam przedtém jakie to piękne, — zdało mi się, że nigdy jeszcze tyle piękności niewidziałam, i że mię to do nowego budzi życia. Wszystko zmieniło się we mnie, a zmianę tę sprawiła piękność Chrystusa. Pan wiesz, że ja zawsze nadwszystko ceniłam piękność, czy to w muzyce, czy w naturze, czy w kwiatku; ale teraz w Chrystusie widzę więcéj pięknego, niż we wszystkiém inném. Zdaje mi się że wszystko jest tylko cieniem, który piękność Jego na cały świat rzuca. — “

„Dziwna rzecz, jak ja czuję Go blisko siebie! Zdaje mi się że On strzegł mię całe życie, chociaż ja Go niewidziałam; — że On był ciągle dla mnie dobrym pasterzem, szukającym nieposłusznéj owieczki, — że mię zawsze swojém dzieckiem nazywał; — ale serce moje, niedawno dopiero powiedziało Mu: „ mój Ojcze!“—

„Jestże to religia? Jestże to to, co ludzie nawróceniem nazywają? — Opowiedziałam ciotce Nesbit wszystko co czuję, bo ja teraz bardziéj kocham wszystkich niż dawniéj; doprawdy czuję żal w głębi duszy za te wszyst-

kie psoty którém jéj wyrządziła, i zaczynam ją szczerze kochać. Ona bardzo się tem zatrwożyła, i prosiła mię, żebym pomówiła o tém z p. Titmarsh, jako z duchownym. Pojmujesz pan, że niemiałam wielkiéj do tego ochoty, ale sądziłam, że powinnam to zrobić, bo poczciwa ciotka, zdawała się być bardzo tém zakłopotana.“

„Myślę, że gdybym nawet była zupełnie taka, jakem być powinna, zawsze jednak niebardzo by mi się podobały sztywne maniery tego poczciwca; pan wiesz, że tacy sztywni pedanci, byli zawsze dla mnie prawdziwą pokusą. Otóż, był tu kiedyś; mówiłam z nim, alem go nic a nic niezrozumiała. Powiadał mi, wiele jest sposobów wierzenia i kochania; zdaje mi się że trzy wierzenia, a kochania dwa; i pytał mnie się o różne rzeczy, które dla mnie całkiem były niepojęte. W ogóle, zdaje mi się, że niewiele skorzystałam z téj rozmowy.“

„Wieczorem pojechałam do starego Tiffa, i czytałam mu o tém, jak Jezus kazał przyjść do siebie dzieciom. Niewystawisz sobie pan, jak Tiff był tém zachwycony. Musiałam mu to trzy albo cztery razy powtórzyć, i teraz za każdą razą jak do niego przyjadę, muszę mu to odczytywać, gdyż mu się niezmiernie to miejsce w Piśmie świętem podoba. Tiff i ja zgadzamy się bardzo ze sobą w téj mierze.„

„Ciotka Nesbit martwi się bardzo tém, że ja jestem taka szczęśliwa; powiada, iż się obawia tego, że ja niemam najmniejszego wyobrażenia o tém co to jest grzech. Przypominasz sobie pan może, iż opowiadałam panu jednego razu, jak szczęśliwą się czułam, gdym po raz pierwszy prawdziwą usłyszała muzykę. Przedtem zdawało mi się, że śpiewam bardzo pięknie, ale w ówczas

w jednéj chwili śpiew mój wydał mi się bezładną tylko tonów mięszaniną; a jednak za nic w świecie niebyłabym oddała uczucia, którego wtedy doświadczyłam. Tak też stało się i teraz. Życie Jezusa Chrystusa, takie słodkie, takie spokojne, takie wolne od wszelkiego samolubstwa, a nadewszystko takie naturalne, chociaż o tyle wyższe nad naturę, pokazało mi, jakie ze mnie nędzne, grzeszne stworzenie; a jednak jestem wesoła! Doświadczam czegoś podobnego, jak wtedy, kiedym po raz pierwszy usłyszała boskie symfonie Mozarta, wykonane przez całą orkiestrę. Wtedy zapomniałam że żyję, zapomniałam zupełnie o sobie, a jednak byłam taka szczęśliwa! — Teraz znów czuję to samo. — Miłość i piękność które czuję około siebie, czynią mię szczęśliwą, chociaż o sobie niemyślę.“

„Jest jedna jeszcze okoliczność, która mię wprawia w podziwienie; to jest, że Pismo święte teraz takie piękne mi się wydaje. Mogłabym je porównać z transparentem, na który przez całe życie patrzałam, ale wtedy niebyło za nim światła; teraz stał się on dla mnie wspaniale oświecony, i zaczynam rozumieć słowa na nim wypisane. Tak się czuję lekką na sercu, tak szczęśliwą, — szczęśliwszą niż kiedykolwiek. Czy przypominasz sobie pan ten dzień, kiedy pierwszy raz przyjechałeś do Kanemy? Wtedy mówiłam panu, jakim smutkiem przejmuje mię myśl, że wszyscy umierać musimy. Otóż to smutne uczucie teraz nigdy mię nienagaba, bo czuję, że Chrystus jest wszędzie, i że niemasz prawdziwéj śmierci; — to co nazywamy śmiercią, jest tylko jakoby przejściem z jednego pokoju do drugiego.“

„Wszyscy mi się tutaj dziwią, że jestem taka swobo-

dna, a biedne ciotczysko powiada, że drży z obawy o mnie.“

„Ale teraz pan musisz mi także powiedzieć co o tém myślisz, bo pan wiesz, mój drogi przyjacielu, że ja panu ze wszystkiego się spowiadam. Napisałam o tém i do Liwii, bo pewna jestem, że ją ta wiadomość bardzo ucieszy. Milly rozumie to wszystko, a to co mi mówi zdaje mi się z wielkim być dla mnie pożytkiem. Dawniéj nierozumiałam, jak ona może mówić do mnie z taką pewnością: „Dziecię! Bóg cię kocha!“ Ale teraz pojmuję tajemnicę téj miłości boskiéj, pojmuję że wszystko dla miłości można wycierpieć i wszystko pokonać miłością; — przekonywam się, że miłość wszelki strach zwycięża.“

Na ten list wkrótce Nina otrzymała odpowiedź, z któréj także przytoczymy tutaj wyjątek:

„Jeżeli rzeczywiście byłem tak szczęśliwy, moja droga, żem obudził drzemiące w głębi twéj duszy te święte uczucia, o których istnieniu nigdy niewątpiłem, to dziękuję Bogu. Ale jeżeli kiedykolwiek, w jakikolwiek sposób byłem tutaj dla ciebie nauczycielem, to dzisiaj tyś już przeszła swego mistrza. — Dziecinna twoja prostota, czyni cię daleko lepszą odemnie uczennicą w téj szkole, w któréj wszelki postęp głównie polega na tém, aby o wszystkiém co ziemskie zapomnieć, i stać się jako dziecko. My mężczyzni, w skutek wrodzonéj dumy i potrzeby oglądania się na światowe względy, skłonniejsi jesteśmy do ambicyi, a trudniejsi do pojęcia téj wzniosłéj nauki, że wiara jest najwyższą mądrością.“

„Nie martw się tém, droga Nino, co mówią albo myślą o tobie ciotka Nesbit lub pan Titmarsh. To coś poczuła w sobie, jest to wiara. Oni ją rozbierają, gdy tymczasem ty ją czujesz w sercu; a między analizą uczuciem zachodzi taka sama różnica, jak między łupiną a ziarnkiem.“

„Co do mnie, muszę wyznać, że niejestem tak szczęśliwy jak ty. Według mnie, religia składa się z dwóch części. Jednę jéj część stanowią chęci i usiłowania człowieka, drugą, stanowi oddziałanie ze strony samego Boga. Dotąd, ja zaledwie pierwszą z tych części posiadam. Może dla tego, że zamało jestem prostaczkiem, że za mało jeszcze jestem dzieckiem. — Ja już dużo doświadczyłem na świecie, moja droga, a teraz zbliża się stanowcza chwila w mém życiu. Mam zamiar zrobić krok, który mię może pozbawi przyjaciół i przychylności powszechnéj, — który prawdopodobnie zmieni całą moją przyszłość. Ale chociaż stracę przyjaciół i znaczenie, to ty jednak będziesz mię kochać, nieprawdaż?

„Czuję, że ci krzywdę wyrządzam tém zapytaniem, a jednak radbym jak najprędzéj otrzymać na nie odpowiedź; to mi doda sił do tego co uczynić zamierzam. W ten czwartek sprawa moja znów będzie przywołaną przed sądowe kratki, jestem więc bardzo zatrudniony; ale myśl o Tobie nieopuszcza mię ani na chwilę.“

Rozdział XVII.

WYROK SĄDU.

Nadszedł czas posiedzeń sądu wyższego, i sprawa Klaytona miała być powtórnie roztrząsana. Im bardziéj zbliżała się ta chwila stanowcza, tém niespokojniejszy był sędzia Klayton. Jako prezydujący w sądzie wyższym z obowiązku swego musiał on każdy wyrok ogłaszać.

— Bardzo mi przykro, — mówił jednego razu do Mrs. Klayton, — że ta sprawa na mnie przypadła, bo będę musiał unieważnić wyrok pierwszéj instancyi.

— Ja myślę, — odrzekła Mrs Klayton, — że Edward posiada dosyć siły do zniesienia zwyczajnych, do jego zawodu przywiązanych nieprzyjemności. Bronił on i tak dzielnie swojéj sprawy, i zyskał powszechne podziwienie, którego teraźniejszy wyrok nie zniweczy.

— Nierozumiesz mnie, — rzekł Klayton. — Mnie nie to dręczy, że będę musiał stanąć publicznie naprzeciw Edwarda; mnie chodzi o istotę wyroku, który wydać bę-

dę zmuszony, — o zasady które w nim będę musiał przytoczyć.

— A czy musisz koniecznie?

— Muszę. — Sędzia powinien tylko słuchać i rozstrzygać; musi wypowiedzieć wszystko co znajdzie w prawie, chociażby to w zupełnéj stało sprzeczności z jego uczuciami i wyobrażeniami o sprawiedliwości.

— Ja, bo niemogę pojąć, — rzekła Mrs. Klayton, — jakby to być mogło, żeby pierwszy wyrok został zniesiony, bez dopuszczenia się niesprawiedliwości, do nieba o pomstę wołającéj.

— Masz zupełną słuszność; — ale ja nie na to siedzę na sędziowskiém krześle, żeby stanowić nowe prawa, albo zmieniać stare, ale poprostu, żeby tłumaczyć ich znaczenie. A przysiągłem, że je wiernie tłumaczyć będę, i przysięgi méj dotrzymać muszę.

— Czyś mówił już o tém z Edwardem?

— Szczegółowo o jego sprawie niemówiłem, ale on wie dobrze jakie jest moje zdanie w téj mierze.

Ta rozmowa toczyła się na godzinę przedtém, nim sędzia Klayton udał się na miejsce swego urzędowania.

Sala sądowa była przepełniona. Barker, który był człowiekiem czynnym, zdeterminowanym, i w pewnéj klasie bardzo nawet lubionym, umiał dla swéj sprawy wielki obudzić interes. Klaytona przyjaciele żywy także brali w niéj udział, a adwokaci z saméj zasady byli przytomni jéj biegowi, aby się przekonać, czy się też prawu stanie zadosyć. Tak więc proces ten powszechne budził zajęcie.

Pomiędzy widzami, Klayton ujrzał w sądowéj sali Harrego. Z powodów, które łatwo pojmie czytelnik, o-

becność Harrego bardzo zainteresowała Klaytona; utorował sobie więc drogę do niego.

— Harry, — rzekł, — zkąd się ty tutaj wziąłeś?

— Panie chciały wiedzieć, jak tu rzeczy stoją, — odrzekł zapytany, — więc siadłem na konia i przyjechałem tutaj.

To rzekłszy, wsunął Klaytonowi do ręki bilecik, a baczny spostrzegacz byłby dojrzał z łatwością, jak poczciwemu Edwardowi krew uderzyła do twarzy. Wrócił na swoje miejsce, otwarł kodex i podniósł go przed oczy; — w tym zaś kodeksie w środku położył dopiero mały, ze złotemi brzegami liścik, na którym kilka wierszy naprędce ołówkiem było skreślonych, — wierszy stokroć droższych dla niego, niż wszystkie prawa na świecie.

Mamyż się dopuścić téj zdrady, żeby zajrzeć w list przez ramie Klaytona?.... Cóż robić? patrzmy i czytajmy:

„Powiadasz pan, że musisz uczynić dzisiaj krok, który uważasz za prawy i konieczny, ale który może pozbawić pana wielu przyjaciół, przychylności powszechnéj, a wszystkie pańskie widoki na przyszłość zniweczyć,— i zapytujesz się, czy cię nawet wtedy kochać będę. — W odpowiedź na to oświadczam panu, że niekochałam nigdy ani przyjaciół pańskich, ani przychylności któréj używasz, ani pańskich widoków, ale ciebie samego. I potrafię uczcić i ukochać człowieka, który się nie wstydzi ani lęka czynić to, co uważa za słuszne, i dla tego spodziewam się że zostanę na wieki

„Twoją

Niną.“

„P. S. Pański list dostałam dopiero dziś rano, więc zaledwie miałam tyle czasu, żeby nabazgrać te kilka wierszy i posłać je przez Harrego. Jesteśmy tutaj wszyscy zdrowi, i z niecierpliwością oczekujemy końca sprawy, bo się spodziewamy zaraz potém pana obaczyć.“

— Kochanku, — szepnął do Klaytona stojący za nim Russel, — z jakimże ty zapałem studiujesz prawo!

Klayton schował papier w rękę.

— To wyborna rzecz, — kończył Russel, — kiedy kto ma spisane takie małe objaśnienia w kodexie; — to go upiększa, jak stary mszał owe różnobarwne malowidła. Ale powiedz mi Klaytonie, musisz przecie coś wiedzieć jaki obrót bierze sprawa.

— Przeciw mnie! — odparł Klayton.

— No, niema o czém gadać. Jużeś raz odniósł tryumf, którego nic nieosłabi, cokolwiekbądź wypadnie. Ale cicho! Twój ojciec mówić zaczyna!

Wszystkie spojrzenia w sądowéj sali skierowały się ku sędziemu Klaytonowi, który wstał ze zwykłym spokojem i godnością, i przemówił czystym, swobodnym głosem:

„Przykre jest zaiste u nas położenie sędziego, któremu taką jak obecna sprawę rozstrzygać wypadnie. Zasady bowiem wedle których osądzić ją musi, są tego rodzaju, że nigdzie, oprócz u nas, nieznalazłyby uznania. Walka uczuć człowieka z obowiązkami powołania, silnie wre w takich razach w piersiach sędziego i wiedzie go na pokuszenie, pomijania o ile możności spraw takich. Ale skargi na okoliczności wywołane politycznym naszym stanem, na nic się nie przydadzą, i zbrodnią byłoby, gdyby sąd jakikolwiek, zrzucać z siebie chciał

odpowiedzialność, jaką nań prawo włożyło. Jakkolwiek zatém mimowolnym wstrętem wewnętrznym przejęty, sąd nasz widzi się spowodowanym wyrzec swoje zdanie, odnośne do praw i władzy panów nad niewolnikami w północnéj Karolinie.

„Zachodzi tutaj skarga, o pobicie Milly, niewolnicy Luizy Nesbit.“

„Pierwszą okolicznością, którą tutaj rozważyć należy, jest pytanie: czy pobicie niewolnicy przez tego, który ją wynajął, może służyć za podstawę do sądowéj skargi? Sąd poprzedni zawyrokował, że tak jest. Zdaje się, że wyrok ten na tém ugruntowany został, jakoby oskarżony tylko w części posiadał prawo własności; — ale prawa nasze wyraźnie orzekają, że czy to panu samemu, czy innéj jakiéjkolwiek osobie, zostającéj w chwilowem posiadaniu niewolnika, taż sama rozciągłość władzy nad nim przysługa. Główna rzecz, to jest służebnictwo niewolnika, zostaje niezmienna, a zatém i władza nad nim musi zostać ta sama. Pod względem prawnym, a mianowicie w stosunku do wszystkich innych osób, oprócz rzeczywistego właściciela, wynajmujący ma te same prawa i obowiązki, co i samże właściciel.“—

„Co się tyczy ogólnego pytania, czy właściciel jest prawnie odpowiedzialny za pobicie niewolnika swego, lub za wykonanie swéj władzy nad nim w inny sposób, prawem wyraźnie niezakazany, — bardzo mała zachodzi wątpliwość. Wprawdzie nierozstrzygnięto dotąd stanowczo, czyli jest do tego uprawniony, ale też prawa tego nikt mu dotąd nieprzeczył, gdyż jest to pierwsza skarga tego rodzaju. Powszechny w kraju naszym zwyczaj, jak naj-

mocniéj świadczy na korzyść władzy, którą państwo całe uważa za konieczną, do utrzymania w swéj mocy praw panów nad niewolnikami.“

„Chociażbyśmy nawet inaczéj sądzili, to jednak niemożemy ze zdaniem naszém występować przeciw zdaniu ogółu, i utrzymywać, że prawo to i władza powinnyby być stósownie ograniczone. Prawo to porównywano tutaj z prawami urządzającemi inne stosunki domowe, i dowodzono nam, że przecież władza rodziców nad dziećmi, opiekuna nad małoletniemi, majstra nad praktykantami, jest warunkowa i ograniczona. Ale sąd niemoże uznać zastósowania owych praw do niejszego wypadku, gdyż między temi dwojakiemi stosunkami niezachodzi najmniejsze podobieństwo; owszem są one sobie wprost przeciwne i bezdenna otchłań leży między niemi. Różnica między niemi jest ta sama, jaka między stanem wolnym, a niewolą, różnica największa, jaką sobie tylko pomyśleć można. Człowiek wolny wychowuje się do praw i obowiązków wspólnych mu z innemi ludźmi wolnemi. Dla tego potrzebuje moralnego i umysłowego wykształcenia, któreby go do podobnego zawodu usposobiło. Zwierzchnikom ich zatém przyznana jest tylko pewna władza nad niemi, którąby ich do przyswojenia sobie tych moralnych przymiotów zmusić była w stanie. Większe przekroczenia z ich stony, samo już prawo karze.— Z niewolą, rzecz ma się całkiem inaczéj, gdyż celem jéj jest tylko pożytek i zysk pana, i publiczne bespieczeństwo. Niewolnik, równie jak całe jego potomstwo skazany jest na to, aby rósł w zupełnéj niewiadomości, aby nigdy niemógł nic swego posiadać, i aby pracował, a inni zbierali owoce téj jego pracy.“

„Takiego służebnictwa można oczekiwać tylko po tym, kto nigdy niema własnéj woli, kto zależy zawsze od woli drugiego; — takie posłuszeństwo, może być tylko skutkiem nieograniczonéj władzy nad człowiekiem. Władza tedy pana nad niewolnikiem musi być nieograniczona, aby posłuszeństwo jego było zupełne.“

„Wyznaję otwarcie, że pojmuję całą srogość téj zasady, że czuję ją tak, jak tylko człowiek czuć może, i jestem przekonany, że w głębi serca zasadę tę każdy potępić musi. Ale u nas przyjęta jest ta zasada, i inaczéj być niemoże, bo ona jest panującą w każdem państwie, w którém utrzymuje się niewola. Nie można jéj odrzucić bez nadwerężenia praw pana, i bez uwolnienia niewolnika.“

„Wprawdzie trafiają się czasami wypadki takiego okrucieństwa i umyślnéj tyranii, w które wedle sumienia, prawo wdaćby się powinno; ale zachodzi właśnie trudność w oznaczeniu, w jakich wypadkach wdanie się sądu miejsce miećby mogło. Ale nam niewolno tutaj wchodzić w tego rodzaju rozprawy, ani praw panów roztrząsać.“

„Ażeby niewolnik został tém czém jest, musi mieć koniecznie wpojone to przekonanie, że przeciw panu swemu nigdzie nieznajdzie obrony, i że władza jego nad nim jest nieograniczona i uświęcona, jeżeli nie boskiemi, to przynajmniéj ludzkiemi prawami.“

„Powtarzam jeszcze raz, że z radością byłbym pominął tę niewdzięczną kwestyą, ale kiedy już na to przyprzyszło, sąd widzi się spowodowanym oświadczyć, że dopóki niewola pozostanie u nas w takim stanie jak dzisiaj, i dopóki władza prawodawcza nieuzna za stósowne

wydać w téj mierze inne ustawy, będzie zawsze pierwszym obowiązkiem każdego sędziego, uznawać nieograniczoną władzę pana nad niewolnikiem. Oświadczenie zaś niniejsze czynimy z uwagi na to, że władza taka, odnośnie do wartości niewolników jako własności, dla bezpieczeństwa pana i spokojności publicznéj, koniecznie jest potrzebna, — a nawet w ogóle, pewną opiekę, i dobry byt samymże niewolnikom zapewnia.“

„Poprzedni zatém wyrok niniéjszém znosi się, a niniejszy orzeka się na korzyść oskarżonego.“ —

Podczas téj umowy, Klayton utkwił przypadkiem wźrok w Harrym, który stał na przeciw niego, i wstrzymując oddech, słuchał słów jego ojca. I widział, że im daléj mówił ojciec, tém bardziéj bladła twarz Harrego, tém mocniéj chmurzyło się jego czoło, a wzrok coraz dzikszy wyraz przybierał. —

Nigdy jeszcze Klaytonowi okropności niewoli tak żywo nie stanęły przed oczyma, jak teraz, kiedy słyszał jéj rozbiór, w obec człowieka, w którego duszy głęboko tkwiło jéj żądło. Czysty, wolny od wszelkiéj namiętności głos sędziego Klaytona; uroczysta, spokojna powaga słów jego, brzmiały w jego uszach niby tysiączne skargi.

Nareszcie Klayton przerwał grobową ciszę, która po ogłoszeniu wyroku w sali zaległa. Powstał, i prosił sądu o pozwolenie, powiedzenia jeszcze słów kilku, odnoszących się do wyroku.

Ojciec jego zdawał się być nieco zmięszany tém żądaniem, a między sędziami powstał mały ruch. Ale ciekawość, obok innych przyczyn, zniewoliła sąd iż się do żądania tego przychylił.

Klayton więc odezwał sią w te słowa.

„Spodziewam się, że mi nikt tego na karb lekceważenia ani zrozumiałości nie policzy, gdy powiem, że prawo niewoli i jego zasada, dziś poraz pierwszy ukazały mi się w prawdziwém swojém świetle. Dawniéj pozwalałem sobie mieć nadzieję, że niewola winna być uważana jako pewien rodzaj opieki, w któréj klassa silniejsza przyjmuje na siebie obowiązek pieczy i wychowania słabszych od siebie, i zdawało mi się, że zastósowanie prawa winno być tego rodzaju, aby z niego wypływała obrona dla bezbronnego. — Dzisiaj rozwiały się te urojenia; dzisiaj poznałem dokładnie zamiar i cel praw naszych, i dla tego jako chrześcianin, niemogę ani chwili dłużéj brać udziału w wykonaniu praw, obowięzujących w państwie, które proteguje u siebie niewolę. Wyrzekam się więc stanu, w który dopiero co wstąpiłem, i usuwam się na zawsze z sądownictwa.“

— Otóż, teraz dopiero zaczął po swojemu! — zawołał Frank Russel. — Ugodzony został w najdrażliwsze miejsce, sumienie jego dotknięte zostało, a teraz, proszę, niech go kto próbuje zatrzymać.

Szmer podziwienia rozszedł się między sędziami i widzami, tylko sędzia Klayton siedział nieporuszony. Słowa te, boleśnie zraniły jego serce, obaliły z gruntu najsłodsze jego nadzieje, a jednak słuchał ich z tym samym spokojem, i z tą uwagą, z jaką zwykl był słuchać każdego mowcę, a następnie niedając po sobie poznać najmniejszego wzruszenia, przeszedł do innych spraw, które z kolei pod rozstrzygnięcie sądu przychodziły.

Krok ten niezwyczajny, niemało naturalnie narobił hałasu; Klayton nienależał do tych ludzi, względem których

znajomi mogą sobie pozwalać zupełnéj w sądzie o ich postępkach otwartości. Jego zachowanie się poważne i nakazujące, wstrzymywały każdego, ktoby miał do tego ochotę. Jak zawsze, kiedy ktoś z przyczyn mających zrzódło w wielkiéj sumienności, dopuszcza się niezwyczajnego jakiego kroku, postępek Klaytona surowym uległ naganom. Ludzie powierzchowni kontentowali się oklepanemi frazesami: głupio, śmiesznie, donkiszocyada! Starsi adwokaci, którzy żyli w przyjaźni z Klaytonem, potrząsali głowami, i utrzymywali, że to był krok porywczy, przedwczesny, nierozważny.

— Jemu coś musi być! — odezwał się ktoś.

— Wyraźnie chory! — rzekł ktoś drugi.

— Radykał i niepraktyczny! — dodał trzeci.

— Tak zapewne,— wmięszał się Frank Russel do rozmowy, — Klayton jest taki radykał, i tak niepraktyczny, jak tylko być może. My wszyscy potrafimy służyć zarazem Bogu i mamonie, bośmy szczęśliwie wynaleźli w tych czasach pośrednią drogę między temi dwoma ostatecznościami. Ale Klayton pozostał zupełnie w tyle ze swemi wyobrażeniami, — on jest Żydem w téj mierze. Czy pan tego samego jesteś zdania zdania, panie Titmarsh? —

— Mnie się zdaje, że nasz młody przyjaciel jest strasznie *ultra*, — odrzekł zapytany. — Do pewnego punktu czuję się zniewolony z nim sympatyzować; ale ponieważ boskiéj Opatrzności podobało się zaprowadzić niewolę na ziemi, więc niejestem tak zuchwały, abym śmiał utrzymywać, że ludzki rozum zdolny jest sądzić o tém.

—A gdyby się téż było podobało Opatrzności, zapro-

wadzić na ziemi korsarstwo, czybyś pan tak samo utrzymywał? — zapytał go Russel z powagą.

— Oczywiście! — odpowiedział p. Titmarsh. — Co tylko boska Opatrzność postanowi, to musi być słuszne.

— A ja rozumiałem, — rzekł Russel, — że boska Opatrzność postanawia dla tego pewne rzeczy, że one są słuszne.

— Nie, mój przyjacielu, — odrzekł p. Titmarsh spokojnie; — one dla tego są słuszne, że są postanowione, chociażby nawet nieodpowiadały całkiem naszym ułomnym wyobrażeniom o sprawiedliwości.

Klayton wróciwszy do domu opowiedzial matce co zrobił i dla czego.

Ojciec nic z nim o tém niemówił; a sędzia Klayton należał do tych ludzi, z któremi niełatwo zacząć rozmowę o czémkolwiek, zanim oni sami nieobjawią chęci mówienia o tém.

Drugiego dopiero dnia nad wieczorem, sędzia zawołał syna do swego pokoju. Łatwo pojąć, jak przykrą musiała być dla obudwu rozmowa, która między niemi nastąpiła.

— Pojmiesz zapewne mój synu, — zaczął sędzia,— jak bolesnym jest dla mnie krok, któryś uczynił. Spodziewam się przynajmniéj, żeś go nieuczynił nierozważnie, — w skutek chwilowego tylko uniesienia.

— Bądź pewny ojcze, że tak nie było, — odrzekł Klayton. — Czyniąc to, poszedłem za najgłębszém mojém przekonaniem i za głosem mego sumienia.

— Kiedy tak, to niemogłeś sobie inaczéj postąpić, i niemogę cię za to ganić. Ale w takim razie, czyż su-

mienie pozwoli ci nadal zajmować stanowisko właściciela niewolników?

— O ile się to zgadza z memi wyobrażeniami, jużem ich usamowolnił, a charakter właściciela zatrzymałem jedynie dla tego, że on jest dla mnie środkiem obrony moich sług od srogości prawa i podaje mi sposobność wychowywania ich i kształcenia.

— A jeżeli ten sposób postępowania wprowadzi cię w kolizyą z ustawami państwa?

— Jeżeli tylko są jakie rozsądne sposoby wpłynięcia na zmianę tych ustaw, to niezaniedbam żadnego.

— Zważ jadnak, że ustawy te tak są zrośnięte z polityczną budową naszego kraju, że niemożna ich znosić bez nadwerężenia téj budowy. Cóż ty na to?

— Ja na to powiadam: znieść niesprawiedliwe ustawy, chociażby owa budowa runęła! *Fiat justicia, ruat coelum*!

— Spodziewałem się po tobie téj odpowiedzi, — rzekł sędzia Klayton spokojnie. — Jest to logiczne następstwo twoich wyobrażeń; ale wiesz przecie, że państwo wedle nich kierować się nie będzie. To, co wedle twego sumienia jest najsilniejszém przekonaniem dla ciebie, będzie krzyżowało interesa drugich, i państwo niezezwoli na wykonanie twoich planów.

— Wtedy przesiedlę się z mojemi ludźmi w taki kraj, gdzie będę mógł przyprowadzić je do skutku.

— Przewidziałem ten rezultat, — rzekł sędzia. — Czy rozważyłeś wszystkie następstwa i skutki twego postępowania?

— Tak jest.

— Masz zamiar wejść w związki małżeńskie z Mis

Gordon. Czy pomyślałeś o tém, jak ona przyjmie to wszystko?

— Tak jest. Mis Gordon zgadza się ze mną w téj mierze, i aprobuje zupełnie moje postępowanie.

— To niemam ci już nic do powiedzenia. Każdy winien czynić to, co uważa za swój obowiązek.

Nastała chwila milczenia, poczém odezwał się znów sędzia:

— Zapewne rozważyłeś także i skutki, jakie z twego postępowania wynikną dla nas, którzy jeszcze stoimy przy systemacie i ustawach, które ty odrzucasz?

— Niemiałem zamiaru wywoływać jakiekolwiek skutki, — odrzekł Klayton.

— Wierzę bardzo; ale one są logicznemi następstwami twego postępowania, — rzekł ojciec. — Zapewniam cię że i ja rozmyślałem już nieraz nad tą kwestyą, odnośnie do moich obowiązków, ale zachowanie się moje jest dostatecznym dowodem, że jeszcze niedoszedłem do takiego jak ty rezultatu. — Prawo ludzkie w najlepszym nawet razie, jest zawsze odbiciem się złych stron ludzkiéj natury; ale jakkolwiek jest niedoskonałe, jednak w ogóle wziąwszy jest zawsze prawdziwém błogosławieństwem, bo najgorszy system, zawsze lepszy jest od anarchii.

— A dla czegobyś ojcze niemiał być reformatorem tego systematu?

— Bo każda reforma jest u nas niepodobna, mój synu, dopóki niebędziemy przygotowani do zniesienia niewoli, które musi być koniecznie pierwszym każdéj reformy rezultatem. O ile zaś uważam, bynajmniéj się u nas na to niezanosi. Duchowieństwo od którego pier-

wsza w tym względzie wyjść powinna inicyatywa, z niesłychaną traktuje te rzeczy obojętnością, a nawet dzisiaj, z wielkiem mojém zgorszeniem, z kazalnicy przemawia w obronie niewoli. — Co do mnie, to ja nieczuję w sobie zdolności na reformatora, chociaż również niemogę się oswoić ze stanowiskiem które zajmuję. Niechcę utrzymywać, że zostając na niém, nic złego nieuczyniłem, ale spodziewam się, że dobre nad złem przeważy. Lecz jeżeli ty się czujesz powołanym do utorowania nowéj drogi dla naszego społeczeństwa, jeżeli cię niestraszą trudności i przeszkody z posłannictwem takiém połączone, to ja będę ostatnim, który życzenia moje osobiste i uczucia na przeciwnéj szali położę. Krótkie jest nasze życie na ziemi, i czynom sprawiedliwości raczéj, a nie życzeniom i widokom naszym poświęcać je należy.

Sędzia wymówił te słowa z większém niż zwykle wzruszeniem, które do głębi serca rozczuliło Klaytona.

— Najdroższy ojcze, — rzekł podając mu list Niny. — Wspomniałeś przed chwilą o Mis Gordon. List ten który odebrałem tego samego rana, kiedy się sprawa moja agitowała, najlepiéj ci jéj sposób myślenia wykaże.

Sędzia Klayton założył okulary, i przeczytał list dwa razy z wielką uwagą. Potém oddał go synowi i rzekł ze zwykłym sobie lakonizmem:

— Ujdzie! —

Rozdział XVIII.

GROM UDERZA.

Czarny obłok, który dotąd dalsze tylko zaciemniał okolice, począł się zwolna i nad Kanemą rozciągać. Żadna choroba niejest tak uparta a dziwaczna w swoich przypadłościach jak cholera. Zdawało się że ta straszna klęska, która tylokrotnie spustoszyła kraje północnéj Ameryki, uwzięła się żartować ze wszystkich usiłowań sztuki lekarkiéj. Sposób traktowania jéj, oparty na bolesném doświadczeniu, w przeszłym jéj peryodzie czerpaném, okazywał się zwykle za drugą razą całkiem bezskutecznym, bo symptomata jéj zmieniały się zupełnie. Pewne ostrożności i prezerwatywy są w takich razach konieczne; tutaj jednak przekonano się ze smutkiem, że choroba ta, podobna do wilka, który wciska się do najlepiéj strzeżonéj owczarni, mimo wszelkiéj baczności i lekarskiéj pomocy, z okropną gwałtownością niszczyła wszystko.

Również dziwaczną była droga, którą choroba ta prze-
biegała. Czasami jakby z obłoków spadała na całą jaką
okolicę, zostawiając w śród niéj jedno miasteczko, albo
wioskę nietkniętą, a potem znów, kiedy w owéj okolicy
zapomniano o niéj już prawie, wracała się do owego
oszczędzonego wprzód miejsca, podobna do niszczącéj ar-
mii, która posèła pewien oddział na zrabowanie jakiego
punktu, zapomnianego przedtém wśród ogólnéj łupieży.
Zdarzało się nieraz, że w przeciągu dwudziestu czterech
godzin cały dom zostawiała pustką. Nieraz znów zago-
spodarowawszy się w jakiém mieście zostawiała w nim
jednę i drugą ulicę całkiem nietkniętą, ale za to dru-
gą razą srożyła się właśnie najbardziej w tych miejscach,
resztę miasta zostawiając w pokoju.

W podobny zupełnie sposób pojawiała się ona i w po-
łudniowych plantacyach, w których, jako w oddalonych
od miast, a zatem pozbawionych pomocy lekarskiéj, poja-
wienie się jéj tém było straszliwsze.

Od chwili otrzymania pierwszych listów, opisujących
postęp cholery w Stanach północnych, ciotka Nesbit
bardzo była niespokojna i stroskana. Podziwienia jest
godnym zaiste ten upór, z jakim przywięzują się do ży-
cia właśnie ci ludzie, którzy tak go użyć nieumieją, i
jak mało mają z niego pociechy, że ci którzy ich ota-
czają, niemogą pojąć, jak można tak się rozbijać o ta-
ką bagatelę.

Gdy więc poczęły dochodzić wiadomości o zbliżaniu
się téj straszliwéj choroby, rzekła jednego dnia ciotka
Nesbit do Niny:

— Twoi krewni, Gordonowie z E*, radzą nam, abyśmy

opuścili plantacyą, a do nich przyjechali na jakiś czas, dopóki niebezpieczeństwo nieminie.

— A to po co? — zapytała Nina spokojnie. — Czy ciocia sądzisz, że tam cholera zajść niepotrafi?

— No, widzisz, oni tam z całą rodziną żyją ściśle wedle przeciwcholerycznych przepisów, a mieszkając w mieście, mogą mieć lekarza każdego czasu na zawołanie.

— A, możeby to i lepiéj było żebyś ciocia pojechała. Ale co ja, to zostanę przy moich ludziach.

— I ty się niebоisz Nino?

— Nie, ciociu; najmniéjszéj rzeczy. Zresztą uważałabym to za wielkie samolubstwo, gdybym żyjąc ciągle z pracy sług moich, odbiegała ich i porzucała w czasie niebezpieczeństwa. Tyle przynajmniéj zrobię dla nich, że zostanę przy nich, i będę miała o nich staranie.

Harry, który stał na werandzie, przy drzwiach wiodących do salonu, w którym siedziały ciotka z siostrzenicą, słyszał tę rozmowę.

— Powiedz mi, moje dziecko, — rzekła ciotka Nesbit, czy sądzisz że się tu na wiele przydasz? Ty niemasz żadnego doświadczenia. Harry i Milly wiedzą daleko lepiéj co robić w takich razach; ja Milly tutaj zostawię. Co się mnie tyczy, to sądzę, że pierwszym naszym obowiązkiem jest dbać o swoje zdrowie. —

— Nie ciociu; ja znowu myślę, że są wyższe obowiązki, — odparła Nina. — To prawda że ja nieposiadam wielkiéj siły, ale mam odwagę; a przytém przekonana jestem, że mój odjazd zasmuciłby i przeraził moich ludzi, a to, jak powiadają, jeszcze bardziéj usposabia do téj choroby. Każę zaraz zaprządz, i pojadę do lekarza

po stósowne lekarstwa i przepisy, jak się zachować należy. Będę uczyć moich ludzi jak sobie mają postępować i doglądać ich, aby rozporządzeń moich dopełniali; gdy zobaczą że ja się nieboję i jestem spokojna, spodziewam się, że i oni nabierą odwagi. — Ale i ty ciociu niebój się; zdaje mi się że lepiéj będzie żebyś pojechała, bo ty jesteś słaba, niemożesz znosić utrudzenia; jeżeli więc uważasz że będziesz spokojniejszą i że ci będzie wygodniéj u naszych krewnych, to radzę ci żebyś wyjechała. Bardzo będę kontenta, jeżeli się Milly tutaj zostanie; ona i Harry wielkie będą mogli plantacyi oddać usługi. Harry! zawołała zwracając się ku niemu. — Każ zaprządz, to pojedziem od razu. —

Harry czuł, jak szlachetność duszy téj istoty, w któréj ręce prawo złożyło klucz od jego kajdan, łagodziła i uspakajała zwolna gorycz przepełniającą jego serce. Jakkolwiek los jego, w innych okolicznościach był twardy i nieznośny, jednak dopóki zostawał pod jéj władzą, czuł się prawie zupełnie wolnym. Niewspomniał on nic przed Niną o owym liście swéj siostry, bo wiedział, że nie była w stanie dopomódz mu w téj mierze, niechciał więc daremnie niepokoić jéj i zasmucać. Nina zauważała ze swéj strony, że Harry był smutny i nieswój, ale poczytywała to za skutek kłopotów, wynikających z ciążącéj na nim odpowiedzialności. —

W tym samym powozie, który powiózł Ninę do miasta, siedziała także ciotka Nesbit, obłożona pudełkami pełnemi czepków, których wysokiéj wartości, nawet strach przed cholerą, w oczach jéj zmniejszyć niepotrafił.

Lekarz do którego się Nina udała, był właśnie *au fait* choroby. Czytał o miazmacie i o zwierzątkach *(animalculae)* i przez pół godziny rozpowiadał Ninie o różnych teoryach cholery, i o sposobach traktowania jéj po szpitalach zagranicznych. O jednéj szczególniéj teoryi mówił z takiém zamiłowaniem, z takim zapałem, iż Ninie zdało się, że on rzeczywiście szczęśliwy był, że mu się zdarzyła sposobność doświadczenia téj teoryi w praktyce.

Dzięki kilku stanowczym zapytaniom, które mu zrobiła, udało się jéj nareszcie wydobyć z niego wszystkie te nieoszacowane przepisy, których jéj był w stanie udzielić. W końcu wypisał jéj najkompletniejszy system zachowania się, dał jéj pakę z lekarstwami i pożegnał ją z tém zapewnieniem, że jak skoro mu tylko czas pozwoli, za szczęśliwego się poczyta, jeżeli jéj będzie mógł osobiście być pomocnym.

Wracając, zatrzymała się Nina na plantacyi stryja Johna, i tutaj zaraz ze smutkiem przekonała się, jaka różnica zachodzi między pisanemi prawidłami postępowania na przypadek cholery, a okropną, rzeczywistą obecnością téj choroby. Przed półgodziną zaledwie, stryj John doznał był okropnego cholerycznego napadu. Przestrach i zamęt panował w całym domu, a z pokoju chorego rozlegały się przerażające krzyki i jęki. Żona jego zajęta cierpiącym, nieuważała, że ci którym kazała coprędzéj spieszyć po lekarza, w bezpożytecznéj trwodze załamując ręce, biegali tam i nazad po werandzie, o niczém więcéj niemyśląc.

— Harry, wyprząż konia z powozu, — zawołała Nina, jedź jak potrafisz najprędzéj, i na miłość boską przywieź lekarza!

W mgnieniu oka Harry wypełnił jéj rozkaz i znikł. Nina stanęła w pośród rozpaczających sług, i stanowczym tonem rozkazała im aby uciszyli skargi. Jéj energiczne wystąpienie, nakazujący dźwięk jéj głosu, działały wybornie na uspokojenie rozdrażnionych nerwów całéj służby. Wyjąwszy kilku najrozsądniejszych, reszcie kazała iść precz z domu, i dopiero tak wszystko urządziwszy, poszła do pokoju chorego, pomagać ciotce.

Niedługo przybył lekarz. Pobywszy chwilkę w pokoju chorego, wyszedł, aby zadać Ninie kilka pytań, a jéj mimowolnie nasunęło się porównanie wystraszonego i pomięszanego wyrazu jaki twarz jego teraz przybrała, z pewnym i stanowczym tonem, w jakim przed dwoma godzinami rozprawiał z nią o miazmacie i zwierzątkach.

— Choroba, — rzekł on, — całkiem inaczej się przedstawia aniżelim się spodziewał. Lekarstwa nie skutkują tak jak powinny; — to jakiś szczególny wypadek! —

Biedny doktorze, w przeciągu trzech miesięcy potém, iluż to takich szczególnych wypadków byłeś świadkiem!

— Czy pan sądzisz, że mu potrafisz uratować życie? zapytała Nina.

— Bóg tylko może go uratować, moje dziecię, — odpowiedział lekarz. — Nic niedziała tak jakby powinno.—

Ale na co przedłużać tę scenę boleści, albo opisywać jęki, walkę i konwulsyje cierpiącego? Nina, biedne siedmnastoletnie dziewczę, tak jak i wszyscy straciła wszelką nadzieję. Niczego niepominięto co mogło być pomocne, ale choroba niby ślepy i głuchy niszczyciel, szła ciągle naprzód, aż nareszcie jęki cichnąć zaczęły, muszkuły od straszliwego kurczu osłabły, i silny, w kwiecie wieku człowiek, leżał w ostatniém stadium téj okropnéj cho-

roby, która w godzinie najzdrowszą twarz zmarszczkami starości okrywa i najsilniejsze targa muszkuły.

Gdy się już wszystko skończyło i chory ducha wyzionął, Nina zaledwie uwierzyć mogła, że ta skurczona postać, że ta pomięta, wynędzniała twarz, jest twarzą owego zdrowego, wesołego jéj stryja, który nigdy nieczuł się zdrowszym, jak zrana tego samego dnia kiedy umarł. — Jak podróżnik, który płynąc popod spadek Niagary, wskróś bryzgającéj piany, czepia się z całą ufnością swego przewoźnika, którego obecność czuje, chociaż go niewidzi, tak i Nina w owéj strasznéj godzinie czuła, że nie jest sama. Zdawało się jéj, że Zwycięzca grobu i śmierci, o którym tyle w ostatnich czasach myślała, ciągle jest przy niéj, a głos jego woła na nią: „Niebój się: jam z tobą!“

— Jaka ty jesteś przytomna, moje dziecię, — mówiła ciotka Marya. — Niemyślałam nigdy żeby w tobie było tyle energii. Niewiem cobyśmy byli bez ciebie poczęli.—

Wtém dał się słyszeć krzyk wielki.

— Oh! my wszyscy pomrzemy! Wszyscy pójdziemy precz! Peters zachorował! Moje dziecko zachorowało! Oh! moje dziecko! moje dziecko! —

Lekarz jakkolwiek zmęczony, z największym pośpiechem zaczął biegać od chaty do chaty. W domu zachorowało także jednocześnie kilku służących, i tylko spokojność i odwaga Niny dokazała tego, że pozostali nieulegli zupełnie pod wpływem panicznego przestrachu. Nina miała szczęśliwą, elastyczną naturę, jednę z tych, co to na pozór niezmiernie słabe i delikatne, posiadają jednak ogromną siłę i wytrwałość. Zupełny wewnętrzny

spokój, pomagał jéj najwięcéj do znoszenia z godnością tych chwil okropnych.

— Niebój się ciotko, — mówiła do staréj załamującéj ręce kucharki. — Szukaj pociechy w religii! Bądź dobrą chrześcianką, i śpiewając pieśni nabożne czyń swoję powinność przy chorych.

Głos człowieka pełnego odwagi i spokoju wewnętrznego, ma zawsze siłę czarodziejską. To téż Nina potrafiła tych którzy jeszcze zostali przy zdrowiu nakłonić, aby mieli staranie o chorych. Właśnie gdy tém była zajęta, przybył w całym pędzie konia posłaniec z wiadomością, że i u niéj w domu cholera wybuchła.

— No, Harry, — rzekła z bladą ale spokojną twarzą; — obowiązek powołuje nas ztąd. —

I w towarzystwie lekarza puściła się drogą ku Kanemie; ale zaledwie kawałek ujechali, gdy ich spotkał jakiś człowiek na koniu.

— Czy niema tu doktora Butlera? — zapytał nachylając się ku powozowi. —

— Jest, — odrzekła Nina wychylając się z okna.

— Ach, doktorze! Zjeździłem całą okolicę szukając pana! Musisz pan na chwilę ze mną pojechać; sędzia Peters umiera. Boję się, czy go jeszcze przy życiu zastaniesz, — ale po drodze trafisz prócz tego na kilkanaście przynajmniéj wypadków. Siadaj więc na mego konia, i jedź na miłość boską!

Lekarz wyskoczył z powozu i siadł na konia; ale potém zatrzymał się i rzucił wzrok pełen współczucia, na śliczną, bladą twarzyczkę wyglądającą z okna powozu.

— Niemogę pani opuścić, — któż ci tam pomagać będzie?

— Bóg! — odrzekła Nina. — Nieboję się niczego!—

— Jedź pan, jedź pan! — wołał ów człowiek. — Prędzéj na miłość boską! —

Coś nakształt łzy zakręciło się w oku lekarza, — ale zwrócił konia i pojechał.

— Teraz, mój Harry, wszystko zależy na tém, — rzekła Nina, — żebyśmy niestracili przytomności i odwagi. Niebędziemy mieli lekarza, musimy sobie więc radzić, jak będzie można. Zresztą klucze śmierci są w ręku pana naszego Jezusa Chrystusa, który tak nas ukochał, że za nas umarł. — On będzie z nami!

— Ach! Mis Nino, pani jesteś aniołem! — zawołał Harry, który radby był upadł przed nią na kolana i modlił się jak do świętéj.

Za powrotem do domu, czekała Ninę taka sama scena popłochu i zamięszania, jakiéj była świadkiem na plantacyi stryja. Stary Stólatek leżał już nieżywy w swéj chacie, a cała służba zgromadzona około niego, jęcząc i płacząc, drżała od straszliwéj trwogi, która ułatwiała jeszcze przystęp chorobie. Nina zajechała od razu przed chatę, przemówiła do zgromadzonych spokojnie, uciszyła ich jęki i płacze, i żądała tylko, aby byli posłuszni jéj rozporządzeniom.

— Jeżeli chcecie wszyscy razem pomrzéć,— mówiła do nich, — toście sobie właśnie najlepszą drogę obrali; — ale jeżeli się zachowacie spokojnie i rozsądnie, i będziecie robić to co ja wam powiem, nic się wam złego niestanie. Harry i ja mamy stósowne lekarstwa i wiemy jak się w czasie choroby zachować należy; od

was tylko ścisłego wypełnienia naszych przepisów żądamy.

Następnie poszła do domu zainformować Milly, ciotkę Różę i kilka starszych kobiet, co czynić mają. Milly w tych okropnych chwilach rozwinęła całą moc i sprężystość swego charakteru.

— Niech was Bóg błogosławi, moje dziecię, — mówiła do Niny, — i niech wam łaski swéj udzieli! Bóg naszą tarczą! On nieopuścić nas w tém nieszczęściu.

Harry tymczasem uganiał się z mężczyznami, używając wszelkich środków, aby ich wyrwać z gnuśnéj bezczynności i do działania nakłonić. Posłał natychmiast do miasta po lekarstwa i stósowne artykuły żywności. Cała plantacya podzielona została na kilka okręgów, których przełożeni zawiadamiali natychmiast Harrego o każdym wypadku. W ten sposób, w kilka godzin, plantacya miasto okropnych scen rozpaczy i zamętu, przedstawiała widok dobrze urządzonego szpitala.

Milly przechodziła plantacyą we wszystkich kierunkach, starała się we wszystkich obudzać uczucia religijne, i śpiewała im pieśni, pełne wiary i ufności, którym szczególnego wdzięku dodawał niezwykły jéj głos, z męską prawdziwie głębokością, kobiecą miękkość łączący. —

Dom cały wyglądał niby oblężona forteca. Nina i Milly pootwierały wszystkie pokoje, dając w nich przytułek tym, którzy z powodu delikatniejszego usposobienia lub większéj drażliwości nerwów, w chatach niebyli bezpieczni.

— Teraz, moje dziecię, — rzekła Milly, gdy już wszystkie te urządzenia dokonane zostały, — teraz wy

iść do swego pokoju i położyć się spać. Ja widzieć doskonale co wam jest: duch w was mocny, ale ciało słabe. Wy sama niewiele pomódz, ale bez was też nic nie będzie iść, — to też wy musieć przedewszystkiém na siebie uważać. Nie trzeba się turbować; ludzie się teraz uspokoili, chorzy są opatrzeni, i wszyscy robią co mogą. Wam teraz trzeba iść spać, bo jakby was brakło, to i po nas!

Nina usłuchała przyjaciołki, poszła do swego pokoju, ale nim się spać położyła, napisała jeszcze do Klaytona list następujący:

„Jesteśmy tutaj wszyscy w ciężkiéj potrzebie, mój drogi przyjacielu! Biedny stryj John, dziś rano umarł na cholerę. Byłam w E*, żeby się rózmówić z lekarzem i wziąść od niego trochę lekarstw; wracając do domu wstąpiłam do stryja chcąc z nim choć na chwilkę pomowić, i byłam świadkiem okropnego wypadku.“

„Biedny stryj umarł, a wielu z jego ludzi zostało także dotkniętych chorobą; kiedym sobie właśnie myślała, żeby tam zostać i być ciotce Maryi pomocną, przybiegł pędem posłaniec z wiadomością, że u mnie w domu także cholera wybuchła.“

„Chciałam zabrać ze sobą do Kanemy doktora, i już nawet jechał wraz ze mną, gdy wtém zabiegł nam drogę jakiś człowiek w całym pędzie konia, który nam powiedział, że sędzia Peters umiera, i że po drodze wszędzie pełno chorych na cholerę. Lekarz więc pojechał. Przyjechawszy do domu, zastaliśmy już starego naszego woźnicę nieżywego, a resztę ludzi w wielkim popłochu. Potrzeba było dosyć czasu na uspokojenie ich i zaprowadzenie jakiegokolwiek ładu; — ale teraz wszystko

już jest w porządku. Dom mój cały pełen jest chorych i bojaźliwych. Milly i Harry są niezmiernie czynni, i wlewają w drugich odwagę. Około dwudziestu ludzi dotkniętych zostało chorobą, ale dotąd jeszcze niezbyt silną.“

„Dziwny spokój czuję w sobie w téj ciężkiéj godzinie; bo teraz mam tę silną wiarę, że gdyby nawet ten świat, wraz ze wszystkiém co na nim jest, zaginął, to nas jeszcze czeka wieczne życie w Chrystusie!“

„Piszę do pana teraz, bo niewiem kiedy znów będę miała okazyą. Jeżeli umrę, nieżałuj mię, ale dziękuj Bogu, który nam pozwala przez Syna swego Jezusa Chrystusa zwyciężać. Jednak mam nadzieję że nieumrę; spodziewam się, że zostanę jeszcze dłużéj na tym świecie, który mi się teraz piękniejszy niż dawniéj wydaje. Życie niemiało dla mnie takiéj ceny, dopóki go niepoznałam; — a jednak taką mam ufność w moim Zbawicielu, że gdyby mi je kazał dzisiaj porzucić, uczyniłabym to bez jednego może westchnienia. Chętnie poszłabym za Barankiem Bożym, gdziekolwiek by mi tylko drogę wskazał.“

„Może ta okropna choroba sroży się i w waszéj okolicy, — może w Magnoliahain. Niechcę być tak samolubną, żebym pana miała wzywać do siebie, jeżeli Anna bardziéj pana potrzebuje, — bo ona pewnie niema takich dwóch podpór jakiemi są dla mnie Harry i Milly. Nie obawiaj się pan zatém niczego, i niezaniedbuj dla mnie swych obowiązków; Ojciec nasz kocha nas wszystkich, i pokieruje wszystkiém jak najlepiéj. Milly chodzi wszędzie śpiewając. Lubię jéj słuchać; ona śpiewa takim

wspaniałym, tryumfującym głosem! Oto właśnie śpiewa w téj chwili:

„O Boże, Boże! Ty moja światłości!
„Ja niemam w sercu przed śmiercią obawy,
„I czekam aż mię z niebios wysokości
„Wezwiesz do siebie, o Panie łaskawy!“

„Będę teraz każdą pocztą pisała do Ciebie, mój najdroższy przyjacielu, dopóki niebespieczeństwo nie minie.“

„Żywa czy umarła

„Zawsze Twoja — Nina.“

Napisawszy ten list, Nina położyła się, i spała tak spokojnie, jakby śmierć i choroba nieunosiły się ponad jéj głową. Gdy nazajutrz zrana wstała i ubrała się, Milly z macierzyńską troskliwością przyniosła jéj trochę ciepłéj kawy i parę sucharków, nalegając usilnie, aby to zjadła zanim wyjdzie.

— Jak się tam macie?— zapytała Nina za najpierwsze.

— Ach! moje dziecię, — anioł śmierci przeszedł téj nocy po nad nami! Ciotka Róża, i silny Sam, i Jack, i Sally, wszyscy poszli precz! Ale ludzie wszyscy być spokojni i na wszystko przygotowani.

— Co robi Harry? — pytała daléj Nina drżącym głosem. —

— On być zdrów. Całą noc czuwał i zajmował się choremi, ale nietraci odwagi. Starsi z naszych ludzi chcą po śniadaniu zrobić małe zebranie pobożne, — niby żałobne nabożeństwo za tych co pomarli. — Mis Nina może wy nam będziecie co przeczytać.

— I owszem, — rzekła Nina. —

Było jeszcze dosyć rano, kiedy wszyscy niewolnicy

z całéj plantacyi zebrali się w pięknym, obszernym salonie, któryśmy już tyle razy opisywali. Dzień był prześliczny. Liście na drzewach i krzakach ocieniających werandę, błyszczały jeszcze rosą poranku.

Szmer miłości i podziwienia rozszedł się po sali, gdy się ukazała Nina w białéj rannéj sukience, z twarzą równie bladą jak suknia.

— Siadajcie, moi przyjaciele, siadajcie, — rzekła Nina spostrzegłszy, że niektórzy z Murzynów nieśmią usiąść na sofach. — Teraz nie czas robić ceremonije; — stoimy wszyscy nad brzegiem grobu, który niezna żadnéj różnicy stanów. Cieszę się, że w was widzę taki spokój i odwagę; widać że macie ufność w naszym Zbawicielu, który nam zwycięztwo nad śmiercią zapewnił. Zaśpiewajcie jaką pieśń nabożną. —

I Milly zaintonowała pieśń, a kiedy wszystkich głosy się z nią połączyły, pieśń brzmiała niby śpiew tryumfalny, rozlegający się u wrót grobowych. — Potém Nina, z razu drżącym, a wkońcu pewnym już głosem, przeczytała stary psalm, którego treścią była ufność w Bogu, i oddanie się jego opiece. — Skończywszy, rzekła:

— Może być, że niejeden z nas powołany ztąd zostanie; ale Chrześcianin niepowinien się obawiać śmierci, bo przez nią dostaje on się do swego Ojca. A zatém, nietraćcie odwagi!

We wszystkich podobnych wypadkach, najstraszniejszy bywa początek. Duch ludzki ze wszystkiém ozwyczaić się potrafi, — nawet z widokiem śmierci i niebespieczeństwa, tak, że one zdają mu się wkońcu niezbędnemi jego bytu warunkami. Na plantacyi, wszystko szło w jak najlepszym porządku, i zdawało się, że wszyscy, za

przykładem swéj młodéj pani, zdecydowani byli z odwagą i ufnością w Bogu, stawić czoło grożącemu niebespieczeństwu. —

Drugiego dnia po południu, Nina siedząc we drzwiach, spostrzegła na raz wóz Tiffa, zbliżający się aleją. Ze zwykłą więc uprzejmością pobiegła zaraz naprzeciw starego.

— Ach, Tiff! Jak się miewasz w tych smutnych czasach?

— Mis Nino, — odrzekł Tiff zdejmując kapelusz z właściwą sobie galanteryą; — za pozwoleniem waszém ja tu przynieść małego, bo on bardzo być chory. Ja robić co módz, ale to nic niepomagać. Ale ja także przywieść Mis Fanny i Teddego, bo ja się bać tak ich samych zostawiać; gdyż mnie opowiadać był jeden człowiek, że ludzie wszędzie umierać, w całéj okolicy. —

— Niedobrześ się wybrał mój Tiff, bo i tutaj także umierają! Ale jeżeli się tu będziesz czuł bezpieczniejszym, to zostań z dziećmi. Będziemy mieli o was takie same staranie jak i o innych. — Podaj mi małego, — on widzę śpi.

— Tak jest Mis Nina, on doskonale był zasnąć.

Nina wyniosła dziecię po schodach, i oddała je Milly.

— Jak on śpi spokojnie, — rzekła.

— Ach moje dziecię, on się już z tego snu nigdy niebędzie obudzić. To niedobry sen!

— Zawsze trzeba mu coś radzić i przyjąć go z dziećmi, moja Milly. My tutaj mamy przynajmniéj lekarstwa i przepisy, a on ich niema.

Tak więc Tiff i mała jego rodzina, znalazła schronienie w tym wielkim szpitalu.

Nad wieczorem umarło dziecko. Tiff aż do ostatniéj chwili trzymał je na rękach, a Nina i Milly z trudnością potrafiły go przekonać, że już żyć przestało. Gdy nareszcie musiał się zgodzić na to, że tak jest rzeczywiście, zrazu był niepocieszony. Aż Nina z niechcenia otwarła biblią, i poczęła czytać:

— „Przynoszono mu też i dziateczki, aby się ich dotykał. Co widząc uczniowie gromili je. Lecz Jezus przyzwawszy ich rzekł: dopuśćcie dziateczkom przychodzić do mnie, a niezabraniajcie im tego: albowiem takowych jest królestwo Boże.“

— Oh! mój Boże, mój Boże! — zawołał Tiff ze łkaniem. Niech już idzie! Ja go już niezatrzymywać! Ja mu nieprzeszkadzać, choćby mi serce pęknąć miało! Mój Boże! jacy my też to być samolubni! Ale bo też to biedactwo tak ładnie zaczęło wyglądać!...

Rozdział XIX.

GŁOS WOŁAJĄCEGO NA PUSZCZY.

Klayton siedział spokojnie w swoim gabinecie, i przeglądał niektóre papiery, do ostatecznego uregulowania jego interesów potrzebne, gdy wtém wszedł młody Murzyn z listami z poczty. Klayton przejrzał je prędko, nareszcie pochwycił jeden z nich i począł go czytać z wielkiém wzruszeniem i z niecierpliwością. Zaledwie skończył, zerwał się, wdział kapelusz i z otwartym listem w ręce pobiegł do najbliższéj kancelaryi pocztowéj. —

— Dajcie mi konia jakiego macie najlepszego, — takiego, coby dzień i noc wytrzymał!

I w półgodziny późniéj pędził już wyciągniętym kłusem po gościńcu. Przy złém urządzeniu poczt tamtejszych, potrzeba było trzech dni, aby się dostać do Kanemy; ale Klayton spodziewał się, że zebrawszy wszystkie swoje siły, w dwadzieścia cztery godzin stanie na

miejscu. Popędzał więc konia, i co chwila spinał go ostrogami nagląc do pośpiechu, a na najbliższéj stacyi przesiadł się na świeżego. Tak pędził całą drogę i nareszcie około godziny trzeciéj zrana, ujrzał się w lesie, około piętnaście mil tylko od Kanemy odległym.

Silne natężenie nerwów, które go dotąd na trudy téj szalonéj jazdy nieczułym czyniło, poczęło go zwolna opuszczać. Całą noc jechał samotnym lasem sosnowym, niewidziany od nikogo, wyjąwszy gwiazdy, które iskrzącém okiem spoglądały na niego z góry. Na ostatniéj stacyi na któréj konia wymieniał, zastał wszystko w wielkim nieładzie, bo troje ludzi leżało już nieżywych, a czwarty umierał właśnie. Przez całą drogę na każdym przystanku, nawet powietrze zdawało się być napełnione strasznemi wieściami i przesadnemi opowiadaniami, rozsiewającemi postrach śmiertelny.

Im bardziej zbliżał się Klayton do celu swojéj podróży, tem bardziéj obejmowało go to smutne przeczucie jakiegoś nieszczęścia, które zwykle ogarnia nas, kiedy wracamy do jakiego miejsca po długiéj nieobecności.

Brzask dzienny tak jeszcze był słaby, że ledwie przedmioty można było rozróżnić, kiedy Klayton przejeżdżał około chaty Tiffa. Jakieś dziwne uczucie zniewalało go żeby się tutaj przez chwilkę zatrzymał, i zasięgnął jakich wiadomości, zanim dojedzie do plantacyi; ale gdy się zbliżył, ujrzał że brama i drzwi od chaty na rozścież były otwarte. Przy bladém świetle gwiazd przekonał się, że wszystko było tutaj puste, i mimowolnie dziwna przejęła go trwoga. — Wtém kiedy już siadł na konia i miał odjeżdżać, jakiś potężny głos odezwał

się z gęstwiny, i na wspaniałą, w molowe tony przechodzącą nutę, zaśpiewał następujące słowa:

„Na tronie z gromów zbliża się Bóg,
„Na grzesznych strachu upada cień,
„Grzmią radość chóry wiernych Mu sług,
„Bo oto sądu nadchodzi dzień!“

Nic dziwnego, że śpiew ten zabobonną bojaźnią przejął słuchacza znużonego forsowną, nocną jazdą, mającego nerwy do najwyższego stopnia rozdrażnione i rozstrojone. Niespokojność Klaytona wzrosła jeszcze bardziéj, gdy ujrzał czarną postać wynurzającą się z pomiędzy sosen. Postać ta zbliżała się ku niemu mierzonym krokiem, jakby w takt smutnego swojego śpiewu.

— Kto jesteś? — zawołał Klayton, zbierając całą swoję odwagę.

— Ja? — odrzekła postać.—Ja jestem głosem wołającego na puszczy. Jestem posłany do tego ludu, jako znak gniewu pańskiego!

Przypominamy jeszcze raz czytelnikom, słaby brzask którym wszystko oświecone było w téj godzinie, dzikie położenie miejsca, i dziwny ton, w którym przemawiało owo zjawisko. Bardzo zatem naturalna rzecz, że Klayton przez chwilę milczał niewiedząc co począć, a owa postać mówiła daléj:

— Widziałem Pana idącego na czele dziesięciu tysięcy Świętych swoich! Przed nim szła zaraza, a pod jego nogami były żarzące się węgle!

Zamyśliwszy się nad ukrytém znaczeniem téj dziwnéj przemowy, Klayton chciał jechać daléj, ale człowiek któ-

ry doń mówił, zbliżył się, zastąpił mu drogę, i podniósł rękę z rozkazującym giestem.

— Wiem kogo szukasz, — rzekł, — ale nadaremnie! Bo gwiazda zapadła i czas śmierci nadszedł. Patrz, tam na białym obłoku siedzi ktoś podobny do Syna człowieka; na głowie ma złotą koronę, — a ostry sierp trzyma w ręce.

I potrząsł ręką nad głową, i zawołał z dzikim zapałem:

— Porusz twoim ostrym sierpem, i pożynaj winne macice téj ziemi, albowiem ich grona są dojrzałe! Patrz, patrz! Oto konie broczą we krwi aż po same cugle! — Biada! Biada! Biada synom ziemi! Bo zagrzmią jeszcze trąby innych aniołów!

Straszne te słowa rozlegały się po lesie niby klątwa anioła zatraty. Po chwili zaczął znów cichszym, niby litościwym głosem.

— Nie płaczcie za umarłemi, ani ich żalujcie. Patrzcie! Oto Baranek Boży stoi na górze Syon, a z nim sto czterdzieści i cztery tysiące tych, którzy mają imie Jego Ojca wypisane na czole. To są ci, którzy idą za Barankiem, gdziekolwiek on idzie; w ustach ich niema zdrady, albowiem oni są bez winy przed tronem Boga. Patrzcie, oto anioł, który dzierży pieczęć niebieską, wystąpił naprzód, i będzie im na czole pieczęć Baranka wyciskał.

Potem postać odwróciła się powoli i poszła daléj drogą, śpiewając tym samym ponurym, grobowym głosem; aż naraz pieśń zagrzmiała jakąś dziką melodyą, podobną do uderzeń potężnego dzwonu:

„Kling, klang, — kling, klang,
„Grobowy śpiew!
„Bądź zdrów ojcze mój!
„Zakop mnie w cieniu drzew,
„Przy matce, tam, w grób mój!
„Kling, klang, — kling, klang,
„Grobowy śpiew!“

Klayton jadąc daléj, niemógł się odjąć dziwnemu uczuciu nieokreślonéj jakiejś zgrozy. Głos i sposób mówienia nieznajomego, przypomniały mu żywo owo zdarzenie na pobożném zebraniu; a chociaż wmawiał w siebie, że to był po prostu jakiś dziki fanatyk, podniecony jeszcze okropnością bieżących wypadków, niemógł się jednak opędzić smutnym przeczuciom. Życie to nasze tak blisko graniczące z krainą ciemności i śmierci, możnaby porównać z domem po którym różne widma się przechadzają. Tysiączne nici łączą nas z tą nieznaną, niedostępną oku krainą, a najodważniejsze nawet serca, które nieznają co to strach rzeczy ziemskich, zaumierają z trwogi, gdy je oddech tamtego świata owionie. Największe nawet niedowiarki mają chwile w życiu swojém, których się sami przed sobą wstydzą, ale w których przyznać są zmuszeni, że niepodobna przeczyć tego pokrewieństwa, jakie nas z z tém mglistém duchów królestwem łączy.

— Niemożna się więc dziwić, że mimo wszelkich usiłowań, Klayton niemógł zapomnieć o tajemniczém ostrzeżeniu. Dopiero gdy niepewne brzaski porannego świtu zastąpił blask słonecznych promieni i dzień zajaśniał, uczuł ulgę i uspokojenie w sercu, jakgdyby troski, jęki

i śmierć, snem tylko były przemijającym. Bo też dziwnego wrażenia musiał doznawać każdy człowiek, widząc jak mimo okropnéj klęski ciążącéj nad krajem, w naturze wszystko szło zwykłym porządkiem, — jak wśród trwogi śmiertelnéj i jękow skonu, śród łez i skarg i serdecznych boleści, słońce wschodziło i zachodziło z tym samym jak zawsze przepychem, — jak rosa błyszczała, jak mierzchnące wieczorem niebo miryadami gwiazd błyszczących się zdobiło, jak ptaki śpiewały, jak woda tryskała i szumiała, jak bujnie kwiatki kwitnęły, i cała przyroda wyglądała tak wesoło, tak świątecznie, tak strojnie.

Wjechawszy w granice Kanemy, pierwszego człowieka którego spotkał Klaytona, zapytał się o zdrowie pani.

— Bogu dzięki; — szepnął potém. — Ona żyje. A więc to był sen tylko! —

Rozdział XX.

GWIAZDA WIECZORNA.

Nędzne urządzenie poczt w południowych Stanach Zjednoczonych sprawiło, że list w którym Nina niebezpieczeństwo swego położenia opisała, Klayton w tydzień dopiero odebrał. Przez ten czas siła choroby, która nawiedziła plantacyą, zdawała się słabnąć, i kiedy wśród sąsiednich posiadłości wzmagała się jeszcze ciągle, mieszkańcy Kanemy zaczęli nabierać otuchy, że ta straszna chmura przeciągła już ponad niemi. Było wprawdzie jeszcze wielu chorych, ale niebyło już nowych wypadków, i zdawało się że nawet ci którzy jeszcze chorobą byli dotknięci, przy staraniach i lekarstwach przyjdą do zdrowia.

Nina, jak to czyniła codzień od czasu cholery, wstała bardzo rano i obeszła wszystkich swoich ludzi, chcąc się o ich stanie zdrowia przekonać. Zmęczona tém co-

kolwiek, wróciła pod werandę i usiadła pod cieniem różowego krzaka, aby odetchnąć świeżem, chłodném, ranném powietrzem. Naraz usłyszała tętent konia, a spojrzawszy w aleę, obaczyła Klaytona. W jednéj chwili rzucił on cugle, wybiegł po schodach, i już ją trzymał w swoich objęciach.

— Ach! jesteś tutaj moja najdroższa, moja różo, moje wszystko! Bóg jest miłosierny! To za wiele! Myślałem że cię już niezastanę.

— Widzisz, że tak źle nie jest, mój przyjacielu, — rzekła Nina. — Bóg był z nami. Straciliśmy wielu ludzi, ale mnie Bóg zachował dla ciebie.

— I ty zdrowa jesteś doprawdy? — zapytał Klayton odsunąwszy ją nieco od siebie i patrząc jéj w twarz uważnie. — Jakoś blado wyglądasz moja droga.

— Niema się czemu dziwić, — odrzekła uspakajając go Nina. — Dosyć miałam powodów żeby zblednąć; ale zdrowa jestem zupełnie. Przez cały ten czas byłam zdrowa, i może ci się to dziwném zdawać będzie, ale nigdy nieczułam się szczęśliwszą! Czułam taki zupełny pokój wewnętrzny, byłam tak pewna, że mię Bóg kocha!

— Wiesz co moja droga, że ten pokój, to dziwne, nadziemskie szczęście, niepokoją mię właśnie? To mi przypomina, że umierający doświadczają tego samego uczucia.

— Ja znów myślę, — odparła Nina, — że kiedy niemamy się na kim wesprzeć, i tylko w Ojcu naszym niebieskim podpory szukamy, wtenczas naturalnie zbliżamy się do niego bardziéj niż kiedykolwiek, i to nas tak

uszczęśliwia. Ale jaki ty jesteś strudzony, — czyś całą noc jechał?

— Tak jest; niespocząłem od wczoraj, od godziny dziewiątéj rano. Cztery konie zajeździłem, żeby być tutaj jak najprędzéj. Pomyśl sobie tylko: list twój dopiero w tydzień po napisaniu odebrałem!

— To się może i dobrze stało; bo słyszałam, że każdy, kto nagle i bez przygotowania wpadnie w takie miejsce, gdzie się właśnie sroży epidemia, niezawodnie dotknięty nią zostanie. Ale teraz pozwolisz że się zajmę tobą. Wiesz, że ja jestem panią w téj fortecy, naczelnym jéj dowódzcą i naczelnym lekarzem. Otóż rozkazuję ci natychmiast iść do swego pokoju, gdzie ci Milly kawy zaniesie, a potem położyć się spać! Widziałeś już na własne oczy, że tu wszyscy zdrowi jesteśmy i mamy się dobrze, nic ci zatem do spoczynku przeszkadzać nie będzie. Pójdź, jesteś moim więźniem.

Uwolniony od dręczącéj go obawy, Klayton poczuł dopiero osłabienie fizyczne i moralne, i chętnie poddał się rozporządzeniom swojéj małéj monarchini. Poszedłszy więc do przeznaczonego dla siebie pokoju, i napiwszy się kawy którą mu Milly przyniosła, zapadł w głęboki, spokojny sen, który trwał aż do popołudnia. Z początku w skutek wielkiego znużenia, spał tak mocno, że mu się nic nie śniło; ale po paru godzinach, ożywione nerwy zaczęły działać, i sen jego zaludniły niespokojnemi, mglistemi obrazami. Zdawało mu się, że był znów z Niną w Magnoliahain, że ludzie jego przechodzili około nich i rzucali im kwiaty pod nogi; ale pomarańczowy kwiat, który upadł Ninie na piersi, był czarną krepą

przewiązany. Ona z uśmiechem zdjęła krepę, a kwiatek zatknęła we włosy. Chór śpiewał tymczasem:

„Oh! róża z północnéj Karoliny!
„Oh! róża z północnéj Karoliny!“

Nagle pieśń przeszła w jakiś śpiew żałobny; wesoła drużyna zamieniła się w orszak pogrzebowy, a silny, melancholiczny głos, podobny do tego, który słyszał zrana w lesie, śpiewał:

„Płaczcie, bo okwitła róża,
„Róża z północnéj Karoliny!“

Klayton począł się pasować ze snem i nareszcie potrafił się obudzić. Obudziwszy się, spojrzał do około siebie. Promienie zachodzącego słońca oświecały wierzchołki drzew w alei, a na dole, na werandzie, śpiewała Nina. Słuchał więc, a tony płynęły ku niemu, podobne do wonnych listków różanych, które swawolny wietrzyk w górę unosi.

„I lato także ma swoje burze,
„I radość z smutkiem wiecznie się plecie,
„Żółkniejąą listki, więdnieją róże,
„Wszystko przemienne na tym tu świecie!“

„Codziennie zrana, gdy słonko błyśnie,
„Za przeszłym rankiem człowiek się smuci;
„Uśmiech na ustach co raz zawiśnie,
„Nigdy już, nigdy, ach niepowróci!“

Piosnka ta ulubiona naówczas, i znana powszechnie pod tytułem: „Śpiew tańczącéj Indianki,“ nosiła na sobie rzeczywiście charakter tych mistycznych śpiewów, w które tak bogata jest wchodnia literatura, a w których tak dziwnie szczęście ziemskiéj miłości ze szczęściem wiekuistém w jednę zlewają się całość. W pieśni téj leżała jakaś dzika, urocza moc, i wiersz za wierszem spływał przez okno do pokoju Klaytona, niby białe rajskie gołąbki, tajemnicze jakieś poselstwo pod skrzydełkami niosące:

„Więc spieszmy w kraj ów, szczęsny, słoneczny,
„Gdzie wszystkie nasze troski ukoim, —
„Lecz wprzód nas związek niech złączy wieczny,
„Bym była twoją, a tyś był moim!“

„Teraz już idźmy w ten kraj szczęśliwy,
„Kędy radością serca się poją, —
„Co nam zgotował Bóg miłościwy,
„Kędy na wieki będę już twoją!“

Lekkie zapukanie do drzwi, otrzeźwiło nareszcie zupełnie Klaytona. Potém drzwi się troszkę uchyliły, i maleńka rączka wrzuciła do pokoju gałązkę napół rozkwitłych róż miesięcznych, a słodki głosik przemówił:

— Chciałam ci tém przypomnieć, że jeszcze do tego świata należysz. — Jeżeliś wypoczął, to zejdź z łaski swojéj na dół.

I Klayton usłyszał, jak ktoś lekkim krokiem zbiegł po schodach. Wstał więc, i niebawem, poprawiwszy nieco toalety, zeszedł na werandę.

— Dawno już czeka na ciebie herbata; poważyłam się więc dać ci znać o tém, — rzekła Nina.

— Nieuwierzysz jak się czułem szczęśliwym, leżąc tam i słysząc cię śpiewającą. Czy niepowtórzyłabyś mi téj piosneczki?

— To ja śpiewałam? — No, nic a nic niewiem o tém! Pokazuje się, że ja czasami myśli moje mimowolnie wyśpiewuję. Ale dobrze, — zaśpiewam ci po herbacie, — ja bardzo lubię śpiewać.

Wypiwszy herbatę, usiedli znów pod werandą i patrzyli w niebo, małemi, różowemi, obłoczkami pokryte.

— Jakie to wspaniałe! — zawołała Nina. — Tego lata daleko bardziéj zajmują mię zjawiska natury, niż dawniéj. Zdaje mi się że czuję, jak one wywierają wpływ na mnie, i wypełniają całą moją istotę, jak światło te obłoki!

Tak siedząc i patrząc w niebo, zaczęła znów nucić te same wiersze, które już Klayton słyszał, tylko troszeczkę zmienione:

„O, ja znam kraj ten szczęsny, słoneczny,
„Gdzie wszystkie ludzkie troski się koją,
„Gdzie wszystko związek połącza wieczny,
„Kędy ty moim, ja będę twoją!“

„Idźmy więc, idźmy, w ten kraj szczęśliwy,
„Kędy radością serca się poją,
„Co nam zgotował Bóg miłościwy,
„Kędy na wieki będę już twoją!“

„I lato także ma swoje burze,
„I radość z smutkiem wiecznie się plecie“...

Nagle urwała śpiew i pobiegła z werandy do domu.

— Co każesz? — zapytał Klayton.

— Nic, — odrzekła, — zaraz wrócę.

Klayton popatrzał za nią, i widział jak poszła do pokoju, w którym były lekarstwa i środki wzmacniające, i tam napiła się czegoś.

Klayton uczuł w piersiach trwogę nieopisaną.

— Czyś ty nie chora? — zapytał z troskliwością gdy wróciła.

— O, nie, — tylko mi się trochę słabo zrobiło. My tutaj teraz jesteśmy tak ostrożni, że jak tylko komu cokolwiek niedobrze, zaraz coś zażywa. — Ja już nieraz czułam się tak słabą, — niema o czém mówić.

Klayton objął ją w pół i czule w twarz jéj popatrzał.

— Ty jesteś tak podobna do anioła, że doprawdy muszę cię przytrzymać, abyś w niebo nieuleciała.

— Więc myślisz że mam gdzieś skrzydła ukryte? — zapytała z wesołym uśmiechem patrząc na niego.

— Boję się tego, — odrzekł Klayton. — Czy ci już lepiéj?

— O, już! Tylko, — możeby lepiéj było, żebyśmy usiedli. — Te ciągłe wzruszenia widać osłabiły mię nieco. —

Klayton usiadł z nią na ławce przy drzwiach, ale trzymał ją ciągle w objęciach. Po chwili głowa jéj ciężko opadła na jego ramię.

— Tyś chora! — zawołał przerażony.

— Nie, — szepnęła. — Nie, nic mię nieboli, tylko jestem trochę słaba i znużona. Tutaj troszkę zimno, nieprawdaż? — I lekki dreszcz ją przeszedł.

Klayton nic niemówiąc wziął ją na ręce i zaniósł na sofę. Potem zadzwonił na Milly i Harrego.

— Siadaj na konia i pędź po lekarza, — zawołał gdy wszedł Harry.

— To się na nic niezda, — odezwała się Nina. — Lekarz jest tak strudzony, że niepodobna aby przyjechał. Zresztą mnie nic nie brakuje, tylkom trochę znużona, i zimno mi. Zamknijcie tylko drzwi i okna i przykryjcie mię czém. Nie, nie, niepójdę na górę, wolę tutaj zostać. Przykryjcie mię tylko szalem i koniec. Pić mi się chce, — dajcię mi trochę wody.

Ta straszna choroba, która się wówczas srożyła nad tamtemi krajami, w bardzo rozmaity sposób rozwijać się zwykła. Bywa czasem, i wtedy jest najgorzéj, że ktoś tak się przejmie zgubnym jadem rozlanym w powietrzu, że wszystkie siły żywotne, mogące stawiać opór chorobie, wyczerpują się w nim zwolna. Wtedy chory bez żadnych gwałtownych symptomatów, zasypia powoli i traci siły, zupełnie jak przy krwotoku.

Zanim godzina upłynęła, widoczną już było rzeczą, chociaż żadne zewnętrzne objawy choroby się nieokazały, że śmierć wycisnęła już swoję pieczęć na tém pięknem czole. Pchnięto posłańca za doktorem, i popędził z pośpiechem do, którego nagliły go strach i miłość. Harry niechciał odstąpić Niny.

— Mnie nic nie brakuje, — szeptała biedna, — to tylko takie jakieś osłabienie, — a potém ta zmiana temperatury w powietrzu. Żebyście mię tak przykryli lepiéj;

albo, — możeby to dobrze było żebyście mi dali trochę wódki, lub coś podobnego. Bo to jest woda, co mi dajecie, — prawda? —

Niestety! był to najmocniejszy spirytus, tylko ona już smak wszelki była straciła; — spirytus z jeleniego rogu który jéj dawano wąchać, także już dla niéj niemiał żadnego zapachu! A w temperaturze niezaszła żadna zmiana; to cień śmierci nad nią się rozciągał!

A jednak głos jéj pozostał czysty, chociaż duch miotał się niespokojnie. Czasami człowieka osłabionego, umierającego, nachodzi nieprzeparta ochota do śpiewania. I Nina téż, leżąc z zamkniętemi oczyma, pozornie nieprzytomna, śpiewała ciągle tę piosnkę, którą jéj pierwsze symptomata choroby przerwały:

„I lato także ma swoje burze,
„I radość z smutkiem wiecznie się plecie,
„Żółknieją listki, więdnieją róże,
„Wszystko przemienne na tym tu świecie!“

Nareszcie otwarła oczy, a obaczywszy śmiertelną trwogę na twarzach wszystkich co ją otaczali, zrozumiała całą prawdę.

— Zdaje mi się, że będę musiała was porzucić. Oh, żal mi was wszystkich! — Ale niemartwcie się. Mój Ojciec kocha mię tak bardzo, że się dłużéj niemoże obejść bezemnie; chce żebym przyszła do niego, i oto wszystko. Niesmućcie się! Ja idę do domu, do mojéj ojczyzny. Za chwilkę i wy tam za mną przyjdziecie.— Wszak was to cieszy, — prawda Edwardzie?

I znowu zapadła w dawniejszą senność, i śpiewała zmienionym, cichym, ale nieskończenie słodkim głosem:

„Żółknieją listki, więdnieją róże,
„Wszystko przemienne na tym tu świecie...“

A cóż robił Klayton w obec tego wszystkiego? — Cóż miał robić? Cóżby robił na jego miejscu każdy z nas, gdyby trzymał w objęciu lubą sercu swemu istotę, a z niéj uciekała dusza, dusza za którą chętnie własnąby oddał? — Z nieopisaną boleścią patrzał na to pasowanie się duszy, chcącéj wydobyć się na wolność, i chciał koniecznie oddalić jeszcze to, co było już nieuniknioném, — co chwila chwytał się czego innego, o czém sądził, że pomoc przynieść może, i znowu lękał się tego użyć, z obawy aby tém jeszcze choréj niesprzyspieszyć końca. — Straszne to są te chwile trwogi, kiedy każde uderzenie zegarowego pendułu, brzmi w naszych uszach jak krok zbliżającéj się śmierci. — Cóż może być okropniéjszego, nad okropność chwil takich!

Troje ludzi stojących przy łożu umierającéj nie straciło ani jednéj sekundy naprożno. Rozcierali zimne jéj członki, i zadawali jéj orzeźwiające środki, które całkiem już działać niemogły.

— Przynajmniéj że nie cierpi, — niech i za to będą Bogu dzięki! — rzekł Klayton, który klęczał schylony nad nią.

Anielski uśmiéch przemknął się po jéj twarzy, otwarła oczy i spojrzała po wszystkich.

— Nie, moi drodzy przyjaciele, nie cierpię nic, — szepnęła. Idę do kraju, w którym żadnych cierpień niema.

Ciebie tylko żal mi Edwardzie. A pamiętasz, coś mi kiedyś powiadał? Teraz na ciebie przyszła koléj — znoś jak na męża przystoi. Bóg powołał cię do wielkiego dzieła, — niedaj się od niego odstraszyć. Przejdziesz chrzest ognia, — ale to potrwa tylko chwilkę, — to przejdzie prędko, bardzo prędko. Edwardzie, pamiętaj o moich ludziach, — powiedz Tomowi, żeby był dobry dla nich. Mój biedny, poczciwy, mój dobry Harry! Oh, czemuż tak prędko odchodzić muszę!...

Głos jéj przeszedł w jęk cichy. Zdawało się, że wszystko życie zbiegło się tylko do mózgu. Widocznie koniec się zbliżał, gdy wtém dały się słyszeć kroki lekarza. Wszyscy pobiegli ku drzwiom, któremi wszedł doktor Butler, blady, chwiejący się od zmęczenia i bezsenności. Nie rzekł ani słowa, ale wzrok jego powiedział wszystkim, że już żadnéj niema nadziei.

Chora poruszyła głową, niby w śnie niespokojnym, otwarła oczy i rzekła:

— Bądźcie zdrowi, ja idę do Ojca!

Oddech jéj coraz słabiał i słabiał. Wszelka nadzieja zginęła. Noc szumiała czarnemi skrzydły, i deszcz szemrał o liście drzew. Wnętrze domu ciche było jak śmierć!

Rozdział XXI.

WĘZEŁ STARGANY.

Klayton pozostał jeszcze w Kanemie przez kilka dni po pogrzebie. Ostatnie polecenie Niny, aby miał pieczą nad jéj ludźmi, było naturalnie bolesnym dla niego obowiązkiem, a ciężki żal, który okazali po jéj śmierci obudził w jego sercu tém żywsze pragnienie dopomożenia im o ile możności. Trochę czasu zeszło mu na przejrzeniu i uporządkowaniu papierów Niny. Listy jéj przyjaciołek popieczętował i poodsélał im, poleciwszy Harremu podołączać do nich zawiadomienie o jéj śmierci.

Przykro mu było bardzo, gdy sobie pomyślał, jak mało będzie w stanie uczynić dla tych nieszczęśliwych istót, które teraz popadły w nieograniczoną władzę takiego człowieka jak Tom Gordon. Straszliwe słowa które wyrzekł ojciec jego przed ogłoszeniem wyroku w sprawie Milly, słowa odnoszące się do władzy panów, nigdy

mu się tak okropnemi nie wydały, jak kiedy widział władzę tę przechodzącą w ręce człowieka, u którego namiętności jedyném były prawem. Przypomniał sobie także, co mu Nina opowiadała o zajściach między Tomem a Harrym, i serce krwawiło mu się, gdy pomyślał, że właśnie krok ten który Nina uczyniła, aby Lizetę przed wyuzdaną chucią swego brata zasłonić, oddawał ją teraz w jego moc bez ratunku.

Wśród takich okoliczności, niemógł dosyć napodziwiać niezachwianego spokoju, z jakim Harry bez przerwy pełnił swoje obowiązki, odwiedzał tych którzy jeszcze byli chorzy, i wszystko co mógł robił, aby oddalić od nich wszelki strach i obawę, jako przystęp chorobie ułatwiające. Przypomniał sobie, że Nina mówiła mu coś o kontrakcie, który Harremu na przypadek jéj śmierci wolność zapewniał, — postanowił więc pomówić z nim o tém. Gdy się tedy zeszli w bibliotece dla przeglądania papierów, zaczął Klayton.

— Harry, podobno exystuje jakiś rodzaj kontraktu czy ugody z właścicielami téj posiadłości zawartéj, mocą któréj zapewnioną masz wolność dla siebie, na przypadek śmierci twéj pani?

— Tak jest, — odrzekł Harry, — exystuje taki kontrakt. Mam prawo zażądać mojéj wolności, za uiszczeniem pewnéj summy, na rachunek któréj już nawet pięćset dolarów upłaciłem.

— Ja założę za ciebie pieniędzmi, jeżeli tylko o to chodzi, — rzekł Klayton bez namysłu. — Pokaż mi ten dokument.

Harry wyszukał żądany papier, a Klayton przejrzał go uważnie. Był to prawny, z wszelkiemi formalnościa-

mi ułożony kontrakt, któremu nic nie brakowało do zupełnéj ważności. Ale Klayton znał prawa odnoszące się do stanu w którym zostawał Harry, i wiedział o tém, że kontrakt taki, w takim przypadku, znaczył tyle co biały arkusz papieru. Jednak wzdrygał się powiedzieć głośno co myślał, i trzymał ciągle pismo przed oczyma, czytając je po kilka razy i ważąc każde jego słowo, bo czuł, że to co powie, zniszczy wszelkie Harrego na dzieje. —

Gdy tak siedział, niewiedząc co począć, wszedł służący i zameldował pana Jekyl, który téż niebawem wszedł za nim do biblioteki.

— Dzień dobry panie Klayton,—zawołał, siadł na krześle, i skinąwszy z niechcenia głową Harremu począł od razu:

— Pan Gordon upoważnił mię, do zajęcia w posiadanie plantacyi, i wszelkich ruchomości, po ś. p. siostrze jego pozostałych. —

Ponieważ Klayton nic się na to nieodezwał, przeto p. Jekyl uważał za stósowne, wygłosić kilka uwag i spostrzeżeń odnoszących się do moralności w ogóle; rzekł więc głosem i tonem odmiennym, którego do tego rodzaju rozmowy wyłącznie używał:

— W ostatnich czasach mieliśmy sposobność doświadczenia naszéj uległości najwyższym Opatrzności boskiéj zrządzeniom. Takie wypadki, panie Klayton, naprowadzają nas na myśli o znikomości rzeczy ludzkich i o śmierci.

Tutaj p. Jekyl zrobił małą pauzę; ale widząc że Klayton trwa uporczywie w swojém milczeniu, poczytał sobie za obowiązek odezwać się znowu.

— Zapewne niemasz żadnego testamentu?

— Nie, niemasz, — odrzekł Klayton.

— Domyślałem się tego, — rzekł p. Jekyl, przybierając napowrót swój ton zwyczajny. — W takim razie naturalnie, cały majątek spada na prawnego dziedzica.—

— Może p. Jekyl zechce przejrzeć ten papier, — rzekł Harry, biorąc swój kontrakt z rąk Klaytona, a podając Jekylowi, który dobył powoli okularów, nasadził je na swój nos śpiczasty, i przeczytał podany sobie papier, a przeczytawszy obrócił się do Harrego.

— I ty myślałaś może, że ten kontraki jest ważny?

— Oczywiście, — odrzekł Harry, — mogę postawić świadków, którzy potwierdzą autentyczność podpisów p. Johna Gordon i Mis Niny.

— O, tu o to niechodzi, bo ja i bez tego znam podpis p. Johna Gordon; — ale wszystkie podpisy na świecie kontraktowi temu niezdołałyby nadać ważności. Widzisz, mój kochanku, — ponieważ niewolnik w obliczu prawa niejest wcale osobą, więc też i kontrakt z nim zawarty być niemoże. Ustawodawstwo gruntujące się na prawie rzymskiém, uważa go *pro nullis, pro mortuis,* te jest jakoby był martwą, nieżywą substancyą; takie jest jego stanowisko w obec prawa. —

— To, o ile mi się zdaje, zowie się też ustawodawstwem chrześciańskiem? — zapytał Harry z goryczą.

— He? — zawołał p. Jekyl podnosząc brwi do góry.— Co takiego?

Harry prwtórzył zapytanie, — a p. Jekyl biorąc je za dobrą monetę odpowiedział:

— Oczywiście. Takie jest boskie rozporządzenie, które trzeba szanować. Daremniebyś szemrał na nie, mój ko-

chany. Czyż garncarz niema prawa, z jednéj bryły gliny lepić piękne naczynia, a z drugiéj ordynaryjne?

— Panie Jekyl, — odezwał się Klayton, — zdaje mi się, że lepiéj będzie poprostu pomówić o interesach.

— Bardzo dobrze; ale przy téj sposobności właśnie muszę nadmienić, że mam od p. Gordona pełnomocnictwo do pozostania tutaj, i do utrzymania w porządku całéj posiadłości aż do jego przybycia. Mam również dać baczność, aby żaden niewolnik plantacyi nieopuścił. Przywiózłem nawet ze sobą kilku urzędników, na wypadek gdybym był zmuszony siłą wyjednać sobie posłuszeństwo.

— Kiedy przyjedzie p. Gordon? — zapytał Klayton.

— Jutro zapewne, — odrzekł p. Jekyl, a potém zwrócił się do Harrego. — Mój chłopcze, przynieś jeno papiery i książki. bo chciałbym przejrzeć rachunki. —

Klayton wyszedł z pokoju zostawiwszy Harrego sam na sam z panem Jekyl, którego nieopuszczała krew zimna. Przeglądał rachunki i najswobodniéj rozmawiał z Harrym, niemyśląc wcale o tém, że jednym ciosem, zniszczył nadzieje całego jego życia.

Gdyby p. Jekyl przy pomocy drugiego wżroku mógł był obaczyć cierpienia które w téj chwili szarpały sercem tego człowieka, kto wie, możeby się był wzruszył choć troszeczkę; — zdarza się czasami, że najzimniejszych dyplomatów wzrusza na chwilkę nieszczęście ludzkie. Ale p. Jekyl, zapomocą pewnego rodzaju dusznéj algiebry wyrachował, że o taką drobnostką kłopotać się niewarto. Są ludzie, którzy w ten sposób zaprzeczają prawie istnieniu wszelkiéj boleści, — byleby ona ich samych niedotykała; — bo dziwna rzecz: że naj-

mniejsza nieprzyjemność, chociażby naprzykład lekki ból zębów, obala wszystkie te filozoficznie rozumowania.

— Zdaje mi się, — rzekł jednak po chwili p. Jekyl, przypatrzywszy się uważniéj Harremu; — zdaje mi się, że tobie coś jest; czyś ty nie chory?

— Na ciele zdrów jestem. — odpowiedział Harry.

— A no, to i cóż ci jest? — zapytał p. Jekyl.

— Co mnie jest? — odrzekł Harry. — Oto to, że całe życie pracowałem na wolność, i myślałem że co rok jestem jéj bliższy; ale teraz widzę, że po trzydziestu pięciu latach tak samo jestem niewolnikiem, jakem był wprzódy, i że niema dla mnie żadnéj nadziei, żebym kiedykolwiek był wolny.

P. Jekyl zauważał nareszcie, że w duszy tego człowieka działo się coś strasznego, że uciskał ją taki ogrom cierpienia, na jakiego obrachowanie nie stać już było jego algiebrę. Miał jednak tylko ciemne jakieś wyobrażenie, że ten człowiek był nieszczęśliwy, a wychodząc z zasady, że nieszczęśliwych pocieszać trzeba, odezwał się:

— Mój drogi, takie jest zrządzenie opatrzności boskiéj!—

— Ja to nazywam zrządzeniem tyranii ludzkiéj!— odparł Harry.

— Podobało się Bogu, — mówił daléj p. Jekyl.— wykląć pokolenie Chama!

— Eh, panie Jekyl, niewspominaj pan o tém! Zresztą, ja tak pochodzę z pokolenia Chama, jak i pan. Ja jestem najstarszy syn półkownika Gordona, i jestem tak biały jak mój brat, do którego, jak pan powiadasz, należę. Przypatrz się pan moim włosom i oczom, i powiedz czy jestem choć trochę do potomków Chama podobny.

— No, no, mój chłopcze, — uspakajał go p. Jekyl.— Niezapalaj się tak; wiesz przecie, że na tym świecie wszystko musi się dziać wedle pewnych reguł ogólnych, i że wszyscy musimy się stósować do pewnych ogólnych zasad, które wprawdzie niekiedy są przykre, no, ale cóż robić? Przytém niewola, uważając ją w ogólności, jest wielkiém dziełem nawrócenia i cywilizacyi téj wyrodnéj rasy.

— Poczekaj jeno pan trochę, tylko Tom Gordon przybędzie, to pan zobaczysz zaraz, jak się to odbywa to nawracanie. Pan to sam wiesz najlepiéj, panie Jekyl;— wy mydlicie oczy takiemi gadaniami północnym wizytatorom, a wiecie doskonale, że ani w Sodomie, ani w Gomorze niedziały się takie rzeczy, jak na naszych plantacyach, gdzie nikt niema żony dla siebie. I pan o tém wszystkiém wiesz, i śmiesz mi mówić o dziełach nawracania? Cóż mają wspólnego z dziełem nawrócenia te wielkie targowiska, na których mężczyzn i kobiety sprzedają? Co mają z niém wspólnego owe psy gończe i strzelcy co na Murzynów polują? — Gdybyś pan był na naszém miejscu, inném okiem patrzałbyś na te rzeczy!

Pan Jekyl z podziwieniem patrzał na mówiącego, i niemógł jakoś zebrać naprędce wyrazów, na oddanie dalszych swoich ulubionych myśli w tym przedmiocie. Zdaje się że wszyscy ci panowie, wyznający podobne jak p. Jekyl zasady, gdyby ich można przenieść w położenie Harrego, nabraliby innego całkiem w tym względzie przekonania. P. Jekyl nigdy jeszcze niemiał przed oczyma praktyczniejszego dowodu różnicy, między *abstrakcyą* a *konkretem*.

Harry straszliwie był wzruszony, gdyż po ojcu odziedziczył był całą jego ognistą, niepowściągnioną gwałtowność. Spokój jakim zwykle okrywał się powierzchu, uniżoność w obejściu i w mowie, były tylko pozorne. Były one podobne do owéj cienkiéj skorupy pokrywającéj z wierzchu strumień lawy, którą lada nowy wybuch palnego żywiołu, z łatwością pokruszyć jest w stanie. W téj chwili był on w rozpaczliwém położeniu, w jakiém nikną z uwagi wszelkie względy. W duchu, widział się już oddanym w ręce człowieka, od którego niespodziewał się ani łaski, ani sprawiedliwości. Położenie to równało się położeniu człowieka, który wisząc nad przepaścią, uchwycił się krzaka dzikiej róży; — piękna, ale słaba gałązka urwała się, i on czuje, że leci w przepaść. —

Wstał, stanął po drugiéj stronie stołu, i drżąc na całém ciele od wzruszenia, zawołał: —

— Panie Jekyl! Dla mnie wszystko się już teraz skończyło! Dwadzieścia lat wiernych usług, za nic mi będą poczytane; — ja, moja żona, i nienarodzone jeszcze nasze dziecko, jesteśmy niewolnikami nędznego złoczyńcy! — Milcz pan, teraz na mnie koléj mówić! Ja cierpiałem, cierpiałem i cierpiałem, — ale teraz już dosyć tego! Wy, którzy się zowiecie pobożnemi, bogobojnemi ludźmi, a dopuszczacie się takiéj tyranii! Wy węże! Wy, jaszczurcze plemię, jak wy się piekła nielękacie! Wy protegujecie złodziejstwo, rozbój, i cudzołoztwo! Wy gorsi jesteście od ostatnich złoczyńców, bo ci przynajmniéj występków swoich w pozór cnoty nieubierają! — A teraz idź pan, i odpowiedz to Tomowi Gordon! Idź pan! — Jam gotów na wszystko! — Niemam nic do zyskania

ani do stracenia! Niechaj się strzeże! Filistynowie najgrawali się z Samsona, wykłuli mu oczy, ale on i tak zburzył świątynią i przywalił ich jéj gruzami. Miejcie się na baczności!

W wybuchu każdéj silnéj namiętności jest zawsze coś strasznego. Harremu żyły na czole ogromnie nabrzmiały, wargi stały się popielate, a z òcz jego padały błyskawice.. P. Jekyl ugiął się pod jego gniewem.

— Przyjdzie czas, — mówił daléj Harry, — w którym musicie zdać rachunek z tego wszystkiego. Miarka którą mierzycie, podwójnie wam zostanie odmierzona.— Pomnijcie na moje słowa!

Harry w uniesieniu mówił tak głośno, że Klayton usłyszał go i wszedłszy po cichu do pokoju, stanął za nim. — Stan Harrego przeraził go i zasmucił, idąc więc za mimowolnym popędem, przystąpił do niego i położywszy rękę na jego ramieniu, przemówił łagodnie:

— Mój przyjacielu, uspokój się; niewiesz sam co mówisz.

— O nie! — Ja wiem co mówię, — i słowa moje spełnią się!

Oprócz Klaytona jeszcze jedna osoba weszła była w téj chwili do pokoju: był to Tom Gordon, ubrany po podróżnemu, z pistoletami za pasem. Przyjechał on za Jekylem, i w sam czas przybył, żeby usłyszeć ostatnie groźne słowa Harrego.

— Stać! — wrzasnął, stając na środku pokoju, — pozwólcie jeno mnie się rozmówić z tym łajdakiem! — No, chłopcze! — mówił daléj utkwiwszy w Harrym

wzrok ponury i złośliwy. Niewiedziałeś zapewne, że twój pan cię słucha, — prawda? — Kiedyśmy się ostatni raz spotkali, powiadałeś, że ja niejestem twoim panem. Poszedłeś skamląc do twojéj pani, i wymógłeś na niéj że kupiła Lizetę, żeby mi ją z drogi usunąć; — a do kogo ona teraz należy? Co? — Widzisz to? — zapytał podnosząc do góry długi, giętki, gutaperchowy szpicrut. Tém zwykłem bić psy moje, kiedy zapomną do kogo należą. — No! Na kolana gałganie! Błagaj o przebaczenie za swoję bezwstydność, albo śmierć tobie!

— Nie zegnę kolana przed moim młodszym bratem! — odparł Harry.

Z okropném przekleństwem ciął go Tom szpicrutem, — ale jakgdyby uderzenie to odskoczyło, Harry wymierzył mu w odwet raz tak silny, że Tom potoczył się przez cały pokój i upadł pod przeciwległą ścianą. Szybko jak myśl, Harry wyskoczył otwartém oknem, spuścił się po werandzie, wsiadł na konia Toma, który jeszcze stał uwiązany u słupa, i popędził jak błyskawica ku swojéj chacie, przed którą właśnie stała Lizeta i prasowała. — Wyciągnął ku niéj rękę i zawołał:

— Prędko! prędko! Siadaj Lizeto! Tom Gordon za nami! — I zanim Tom Gordon opamiętał się po uderzeniu, już jego szybki, czystéj krwi biegun, unosił Harrego i Lizetę przez krzaki i kamienie, aż przybyli na miejsce, na którém Harry już dwa razy spotkał był Dreda. I teraz stał on tam, jakby ich oczekiwał.

— Aż dotąd spełniło się widzenie! — rzekł gdy Harry i Lizeta zsiedli z konia. — Patrz! Oto Bóg obrał cię za swoje narzędzie, i za wodza swego ludu!

— Niema czasu do stracenia! — zawołał Harry.

— Wiem o tém, — odparł Dred. — Chodźcie za mną.

I zanim słońce zaszło, Harry i Lizeta byli już mieszkańcami dzikiego ustronia wśród bagien.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Antykw. Naukowy
Poznań 87.06.20.
- 900,-